

**JERZY BROSKIEWICZ**

**WIELKA, WIĘKSZA  
I NAJWIĘKSZA**



NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA 1981

## W SPRAWIE TYTUŁU

Na okładce dałem tytuł: „Wielka, większa i największa”.

Każdy więc ma od razu prawo spytać: o co właściwie chodzi? Cóż to takiego „wielkiego, większego i największego”? — i będą to całkiem uzasadnione pytania.

Pragnę zatem od razu wyjaśnić, że napisałem książkę o trzech przygodach, z których druga jest większa od pierwszej (też niemałej) — a trzecia bez porównania większa od drugiej. Wydaje mi się, że każdy, kto przeczyta tę książkę do końca, zgodzi się ze mną w powyższej ocenie owych przygód.

I to byłoby w s p r a w i e t y t u ł u na razie wszystko.

Resztę znajdziecie dalej — ja zaś łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szczerego szacunku —

*Autor*

## PRZYGODA PIERWSZA

Czasem, kiedy się idzie jakąś ulicą (na przykład ulicą Piękną) albo jakimś parkiem (na przykład parkiem Ujazdowskim „koło łabędzia”), można spotkać dwie osoby.

Idą sobie razem — jako osoby zaprzyjaźnione — i albo rozmawiają, albo nie. Zależy to od tego, czy chce się im rozmawiać, czy też wolą milczeć.

Jedna z tych osób nazywa się Ika. Wprawdzie takiego imienia nie ma. Ale jeśli przed kilku laty ktoś miał kłopoty z literą „r” i zamiast mówić „rozebrać”, mówił „ozebłać”, a zamiast „Irka”, mówił „Ika” — to wszystko staje się zrozumiałe. Jeśli zaś sama Ika jest zdania, że ma bardzo dobre imię, to i my powinniśmy uważać sprawę za załatwioną.

Ika jest osobą bardzo jeszcze niewysoką. Ponieważ jednak zostało sprawdzone, że rośnie z szybkością jednego centymetra na miesiąc — staje się coraz wyższa. W naszych czasach nie jest to szybkość największa — ale zawsze coś. Trzeba zresztą przyznać, że Ika na razie wystarcza.

Jest to zatem osoba niewysoka, ale za to dość wesoła. Ma oczy ciemniejsze od włosów, brwi ciemniejsze od oczu, trochę zadarty nos i okrągłą brodę, nad którą, kiedy się śmieje, widać z lewej strony dołek „ze śmiechu”.

Osoba druga nazywa się Groszek.

Nie jest to ani imię, ani nazwisko, tylko przezwisko. Nie takie przezwisko, za które człowiek się gniewa, ale do którego się po prostu przyzwyczajają. Z początku Groszkowi trudno było się przyzwyczaić, bo zaczęło się od tego, że ktoś powiedział:

— On ma nos jak groszek.

Żadna to przyjemność usłyszeć coś takiego, ale imię się przyczepiło. Wszyscy się zmówili: Groszek i Groszek. Nos się zmienił z groszka w fasolę, z fasoli w kartofel, z kartofla w zwykły nos — a przezwisko Groszek zostało. Groszek się w końcu z tym pogodził i czasem, przez zapomnienie, mówił na przykład nowym nauczycielom, że nazywa się Groszek. Wynikały z tego pewne nieprzyjemności, bo w spisie było całkiem inne imię i nazwisko, ale i tak kończyło się na tym, że sam nauczyciel wreszcie zaczął mówić — Groszek.

Groszek jest starszy i większy od Iki — nie tak znowu, by to było rażące. Ale na tyle, żeby przy przechodzeniu przez najruchliwsze ulice brać Ikę za rękę. Trzeba jednak przyznać, że też jest niewysoki (choć wyższy od Iki), jego oczy zaś też są brązowe. Brodę ma za to trochę kwadratową, włosy ciemniejsze niż Ika, a zamiast dołka w policzku, dwie zmarszczki jak całkiem dorosły mężczyzna. Jest przy tym od Iki poważniejszy bo twierdzi, że ma więcej do przemyślenia.

Może nawet i ma — ale i tak nie zawsze. Wobec tego można ich czasem spotkać, jak idą jakąś ulicą albo jakimś parkiem i śmieją się na cały głos.

Groszek i Ika są przyjaciółmi. Mieszkają w jednej kamienicy i na tym samym piętrze. Każde z nich ma swoje własne zajęcia i swoje własne godziny rozrywek, lekcji, gry w piłkę i tym podobnie. Równocześnie jednak widują się co dzień, wspólnie wychodzą na miasto — często chodzą nawet razem do kina albo do teatru, oczywiście tylko na poranki.

Przedstawienia wieczorne zostawiają rodzicom.

— Nie należy się wtrącać w ich sprawy — powiada Groszek.

— Rzeczywiście — mówi Ika.

I na ten temat panuje zgoda zarówno między Groszkiem i Iką, jak pomiędzy nimi i ich rodzicami. To się nazywa, że „każdy ma swoje prawa i swoje obowiązki”. Groszek nazwał to kiedyś „wzajemną umową społeczną”, ale ponieważ nie umiał ściśle wytłumaczyć, czy tę umowę się podpisuje, czy nie, przestał się na nią powoływać.

Wszystko to bardzo ładnie, ale nie ma co ukrywać, że czasem bywa gorzej. Czasem zdarzają się kłopoty. Takie same kłopoty, jakie zdarzają się każdemu: niepowodzenie w szkole, nieporozumienie w domu, plama na sumieniu, podarta koszula lub rozbite kolano. To właśnie jest życie i nie ma się co przejmować. Tym bardziej że w podobnych kłopotach najczęściej właśnie daje przyjaźń. Na przykład Groszek pomaga Ika w rachunkach, które lubią się nie zgadzać — a Ika Groszkowi w zszywaniu piłki do siatkówki, która łatwo pruje się na szwach.

Przykładów można by zresztą wyliczyć kilkadziesiąt, ale nie ma na to miejsca ani czasu. Ostatecznie pozostają nam ważniejsze sprawy do opowiedzenia.

Oczywiście Groszek i Ika są to osoby żywe i prawdziwe. Dlatego ich przyjaźń także przechodzi różne koleje. Nie zawsze się na wszystko wspólnie zgadzają, ale może to nawet i dobrze, bo jakże to przyjaźń, kiedy jedno tylko rozkazuje, a drugie tylko słucha?

Na przykład. Kiedy się tylko zaczęli zaprzyjaźniać, Groszek powiedział:

— Masz mnie, Ika, słuchać, bo ja jestem chłopiec.

Ale Ika nie zgodziła się:

— A dlaczego?

Groszka zatkało.

— Przecież jestem chłopiec, i to starszy!

— A ja — powiedziała Ika — jestem dziewczyna, i to młodsza. I co z tego?

Groszkowi taka odwaga nawet się spodobała.

— Więc jak ma być? — spytał.

— Kiedy ty będziesz miał rację — powiedziała Ika — ja mogę ciebie słuchać. Ale jak nie będziesz miał racji i zechcesz tylko rozkazywać, żeby rozkazywać, to ani mi się śni. Jasne?

Groszek zastanowił się.

— Można i tak — powiedział. — Ostatecznie może być równe uprawnienie.

— Ostatecznie? — spytała Ika. — Jak „ostatecznie”, to możemy w ogóle ze sobą nie rozmawiać.

Groszek pokiwał głową.

— Nareszcie wiemy, co to znaczy, że twoja matka powiedziała do mojej matki: „Ika ma charakter”.

— A jak miała powiedzieć? Tylko dorośli mają charaktery. My mamy dopiero charakterki — zamknęła sprawę Ika.

Siedzieli wtedy w słońcu, na podmurówce kamienicy i rozmawiali ze sobą właściwie po raz pierwszy.

Była wtedy wiosna, sam jej początek — zaraz po pierwsiosnkach.

Potem przyszło lato.

Na wakacje pojechali w różne strony. Napisali do siebie po dwie kartki, po jednej na każdy miesiąc wakacji. Ika pisała o górach, w których była, Groszek — o morzu. Kartki były krótkie, ale za to, kiedy spotkali się znowu, zaczęła się taka rozmowa, jakby po godzinie dwudziestej drugiej puszczono obok siebie na pełny regulator cztery radia.

Na wakacjach bowiem zdarzyły się różne przygody: Ika zabłądziła w Dolinie Białego, a Groszek wyplłynął na zatokę w dziurawej łódce. I tak dalej, i tak dalej, Ika widziała zorzę polarną, a Groszek obóz cygański, Ika była na weselu góralskim, a Groszek na kaszubskim.

Po wakacjach zaś, jak wiadomo, przyszła jesień.

Trzeba się było znowu przyzwyczajać do szkoły, do nowych koleżanek, kolegów, do nowych nauczycieli i podziałów godzin. Początkowo wrzesień był bardzo ładny i Groszek nawet rzadziej spotykał się z Iką, bo grało się w piłkę do dwóch bramek, i to na prawym skrzydle.

Ale właśnie w połowie września zdarzyło się coś takiego, co sprawiło, że Groszek

zapomniał nawet o piłce.

Zdarzyło się mianowicie to, że na podwórze ich kamienicy wjechał — a raczej został wepchany — pewien samochód. Groszek właśnie wracał do domu ze szkoły, kiedy ujrzał wtaczające się na podwórze samochodzisko, popychane przez Lokatora z Pierwszego Piętra i gospodarza kamienicy, oraz przyglądającą się temu Ikę.

— Widziałeś coś takiego? — spytała Ika.

— Inwalida! — powiedział Groszek.

— Inwalida? Takiej marki nie ma.

— Pewnie że nie ma — śmiał się Groszek. — Inwalida to znaczy kaleka. A tyle jest wart, co maszyna do szycia na kółkach. Możesz wprawić w niego pedały i pojechać dookoła świata.

Ika przystanęła.

— Ty, Groszek! Kto jeździł w autku z pedałami? Ja czy ty?

— No, niby ja. Ale to było bardzo dawno.

— Dobrze, dobrze. A jakiej marki jest ten in... in... kaleka, nie wiesz i tak.

— A ty wiesz?

— Wiem.

— To powiedz.

— Opel-Kapitan.

Groszek uniósł brwi bardzo wysoko.

— A może Opel-Pułkownik?

Ika wzruszyła tylko ramionami.

— Możesz się spytać. Zakład?

— Zakład.

— Nie — powiedziała Ika. — Jestem uczciwym człowiekiem i nie będę cię nabierać. Ja w i e m, jakiej marki był ten... inwalida. Bo ja się już o to pytałam. Ja nawet wiem, po co on tu będzie stał.

— Po co?

— Żeby go rozebrać na części.

Groszek spojrział na samochód, pokiwał głową.

— To wcale niewesołe zajęcie być rozbieranym na części.

Powiedział to poważnie, Ika też się zamyśliła.

Potem powiedziała również całkiem poważnie:

— Tym razem masz rację.

A samochód toczył się niezgrabnie, chrzęścił i skrzypiał, dzwonił i kaszłał. Karoserię miał poobijaną, porysowane szyby, opony zdarte. Kiedy był młody, wyciągał na pewno „setkę” jak nic. A teraz? Teraz w słońcu wyglądał żałośnie i nieszczęśliwie.

— To nie jest inwalida — powiedział nagle Groszek. — To jest dzielny weteran.

Musiało im się zdawać. Może to była tylko wina słońca. Ale po tych słowach coś się na chwilę odmieniło: lakier karoserii błysnął jak nowy, szyby załśniły, opony zaszurały cicho po kamieniach podwórza i wóz przez kilka metrów toczył się sam na swoje miejsce, lekko tylko mrucząc jak przy zapuszczonym motorze. Pchający go mężczyźni opuścili ręce w zdumieniu.

Lokator z Pierwszego Piętra krzyknął:

— Trzymajcie go!

Ale samochód stał już w kącie podwórza — znów stary i trzeszczący, piszczący zdartymi resorami.

Groszek i Ika przyglądali mu się z szeroko otwartymi oczami. Potem Ika spytała szeptem:

— Czy nie uważasz?...

— Co?

— Czy nie uważasz, że on coś zrozumiał?

— Kto?! — krzyknął Groszek. — On?!

— Tak.

Groszek, chciał się bardzo lekceważąco roześmiać. Ale kiedy spojrział w kąt podwórza, z którego nagle błysnęły odbitym słońcem szkła reflektorów, przycichł. Pokiwał głową.

— Może — powiedział również szeptem — może... Poszli do domu w milczeniu, jakby przeczuwając, że właśnie teraz, że już wkrótce czeka ich Pierwsza Wielka Przygoda.

Już piętnastego września zaczęła się prawdziwa jesień. Od rana padał drobny, niesiony wiatrem deszcz. Drzewa w parku pożółkły przez jedną noc — zamgliły się szyby domów.

Po południu deszcz zgęstniał tak, że nie warto było schodzić nawet na podwórze.

Rodzice Iki musieli jednak wyjść do miasta i byłoby bardzo nudno i pusto w domu, gdyby nie Groszek. Najpierw zatelefonował, czy może przyjść z bardzo pilną sprawą — potem zaraz przyszedł.

— Jesień, co? — powiedział wchodząc z ważną miną i rozcierając zmarznięte ręce.

— Owszem — odpowiedziała Ika. — Bardzo się cieszę, że zauważyłeś. Czy to jest właśnie ta pilna sprawa?

Groszek spojrział na nią z ukosa.

— Nie. Ale cieszy mnie twoja gościnność — mruknął jadownicie.

Ika trochę się speszyła.

— A więc o co chodzi? — spytała.

Groszek nie odpowiedział, tylko podszedł do okna tego pokoju, z którego widać było podwórze.

Podwórze mokło w deszczu. W przeciwległym zaś kącie lśnił wilgotną karoserią samochód „inwalida” — z tej odległości, w cieniu wysokiej ściany; znów ciemny i błyszczący jak za lat swojej młodości.

Groszek wpatrywał się weń przez długą chwilę, Ika już rozumiała, że bardzo pilna sprawa wiąże się z tajemniczym wozem, ale milczenie Groszka znów ją rozżłościło. Odeszła od okna i otworzyła radio. Nad podziałką aparatu powoli rozjarzyło się zielone, magiczne oko.

— Zaraz będzie audycja dla młodszych dzieci — powiedziała Ika. — Chcesz posłuchać?

Ale Groszek spojrział na nią tak nieprzytomnym wzrokiem, jakby w ogóle nie usłyszał zaczepki.

— Dzisiaj znowu zapuścił motor — powiedział powoli.

— Kto?

— On — Groszek wskazał głową podwórze.

Ika poczuła, że bledną jej policzki, ale mimo to znowu wzruszyła ramionami.

— Nie wierzę.

Groszek jednak tym razem wcale się tym nie przejmował, czy mu się wierzy, czy nie. I to właśnie przekonało Ikę, że nie zmyśla.

— Jak wracałem do domu — mówił — specjalnie skręciłem, żeby mu się przyjrzeć. Wszyscy mówią, że to grat... i z bliska wygląda jeszcze gorzej niż grat. Ale kiedy stanąłem kolo niego i zajrzałem do środka, on...

— On? — spytała przejęta Ika.

— On na chwilę zapuścił motor i...

— I co?

Groszek nachylił się ku niej, choć nikt przecież poza Iką nie mógł go słyszeć.

— ... i nawet — szeptał — wyrzucił jedną strzałkę, jakby chciał skręcić w lewo i wyjechać z podwórza.

Zapadło milczenie.

Za oknem wiatr zaciął deszczem o lśniąca w kącie podwórza karoserię. Było bardzo cicho. Groszek i Ika patrzyli przez okno.

W końcu Ika odetchnęła głęboko.

— Co to może znaczyć? — spytała.

Groszek wzruszył ramionami.

Wtedy Ika zaczęła się gładzić wskazującym palcem po nosie, tak jak zwykł robić jej ojciec, kiedy mówił, że „ma pomysł”, i myślał nad tym pomysłem.

W końcu powiedziała:

— A może on tęskni za dawnymi podróżami.

Groszek odwrócił głowę od okna.

— Myślisz?

— Lokator z Pierwszego Piętra — mówiła w zamyśleniu Ika — powiedział dziś ojcu, że „on” zjechał kawał świata. No powiedz sam...

— Co powiedzieć? — zdziwił się Groszek.

— Powiedz sam — mówiła dalej. — Gdybyś ty tak był w Indiach i w Chinach, i w Ameryce, i w Afryce, a potem gdyby cię tak zapchali w kąt podwórza, tobyś nie tęsknił?

Groszek pokiwał głową.

— Pewnie, że tak — powiedział. — Pewnie, że bym tęsknił.

Znów przytulili twarze do szyb. Ale deszcz się wzmaczał, wiatr się wzmaczał — na podwórzu było coraz ciemniej i wszystko nikło w pierwszym, prawdziwym, jesiennym zmierzchu.

W końcu Groszek westchnął:

— Już nic nie widać.

— Nic — powtórzyła Ika.

— Wiesz co? — powiedział Groszek.

— Co?

— Zobaczymy w atlasie, którędy to on mógł podróżować.

— Dobrze.

Ika poszła po atlas do gabinetu ojca — atlas z wielkimi kolorowymi mapami całej kuli ziemskiej, a nawet nieba z wszystkimi gwiazdami.

Groszek tymczasem zaświecił lampę i zaczął delikatnie kręcić gałką aparatu, żeby znaleźć jakąś ładną muzykę z dalekiego świata.

Jasna strzałka płynęła po radiowej skali jak skrzydło samolotu — mijając nazwy nieznanymi miast. Radio szeptało dziesiątkami różnych głosów, czasem zaśpiewało wysokim gwizdem, czasem kilka urywanych cienkich dźwięków wystukało sygnał morskiego telegrafisty.

Groszek przesuwiał się od stacji „Palermo” i „Beromünster”, poprzez „Graz” w stronę „Zagrzebia”, gdy weszła Ika z atlasem.

— Jaką mapę naprzód obejrzymy? — spytała.

Groszek znalazł w końcu ładną, cichą muzykę i zostawiwszy radio w spokoju, podszedł do stołu.

— Oczywiście — powiedział — naprzód cały świat.

— Dobrze.

Rozłożyła go na stole.

Usiedli nad wielką, rozłożoną na cztery strony świata mapą wszystkich oceanów, kontynentów, wysp i półwyspów, gór, jezior i rzek. Z niebieskich mór wychylały się ku nim zielono-żółto-brązowe lądy — za oknem wiatr szumiał jak fale oceanów.

— Indie — przypomniał sobie Groszek — Indie, Chiny i Afryka. Którędy on mógł tam zjechać? Jak myślisz?

Pochylili głowy nad mapą.

— Tu jest Warszawa — powiedziała Ika.

A wtedy w pokoju rozległ się nagle bardzo donośny męski głos. Naprzód odkaszlnął dwa razy, a potem zahuczał:

— Uwaga! Uwaga!

Groszek zerwał się na równe nogi i zasłonił sobą Ikę.

— Co to? — krzyknęła Ika.

A głos powtórzył:

— Uwaga! Uwaga! — i potem już trochę ciszej ciągnął dalej:

— Tu Polskie Radio Warszawa. Podajemy komunikat specjalny.

— Przecież nie nastawiłem na Warszawę i... — zaczął Groszek.

— Ciiicho! — szarpnęła go Ika.

Głos znów przybrał na sile.

— Dzisiaj rano, piętnastego września, na Dworcu Głównym w Warszawie zaginął trzy-letni Jacek Kilar. Ma on niebieskie oczy i ciemne włosy. Ubrany był w granatowy płaszcz, popielate ubranko, popielate buciki i pończochy. Na głowie miał granatowy beret. Ktoko-lwiek wiedziałby coś o losie zaginionego, proszony jest o pomoc; o zawiadomienie najbliż-szego posterunku MO lub matki, Anny Kilar, Warszawa, Miejska 1. Powtarzam: Anna Kilar, Warszawa, Miejska 1.

Głos ucichł.

— Ja naprawdę nie nastawiałem na Warszawę — powtórzył uparcie Groszek. — Patrz, gdzie jest strzałka.

Ika przekrzywiła głowę na bok.

— Widzę! Tylko czemu to oko tak na nas mruga?

Rzeczywiście, zielone magiczne oko radioaparatu to zwiększało, to zmniejszało blask, jakby mrugając do wpatrzonych weń dzieci. W radio, jak przedtem, szumiała daleka, cicha muzyka. Ale gdy Groszek położył dłoń na gałce, znów przyplął ku nim tamten głos:

— Ktokolwiek dowiedziałby się o losie zaginionego Jacka Kilara, proszony jest o pomoc — powtarzał powoli i z naciskiem.

— Ależ my nic nie wiemy! — zawołała Ika.

Magiczne oko zamrugało gwałtownie. Wtedy Groszek spojrział na Ikę, jakby nagle rozjaśniło mu się w głowie.

— Co z tego, że nie wiemy? — krzyknął. — Przecież on powiedział tak: „Ktokolwiek dowiedziałby się...” To znaczy, że nie musi się już teraz wszystkiego wiedzieć. Wystarczy dowiedzieć się później!

Była to jedna z tych ważkich chwil, kiedy Ika pokorniała i cichła myśląc: „Tak, teraz rzeczywiście masz rację”.

Powiedziała to nawet na głos.

A Groszek raz jeszcze powtórzył:

— Ktokolwiek d o w i e d z i a ł b y się o losie zaginionego Jacka Kilara, pro-szo-ny jest o pomoc. Rozumiesz, Ika? Tak nam powiedzieli. A przecież ja wcale nie nastawiałem Warszawy. Rozumiesz, co to znaczy?

— Nie.

— To znaczy, że to powiedziano specjalnie do nas.

— Do nas?

— Tak.

— Ale jak my mamy pomóc? — zaczęła gorączkowo tłumaczyć Ika. — Jak? Jak my możemy się czegoś dowiedzieć? A rodzice tak późno wrócą...

Groszek machnął ręką.

— Ciiicho! Już się mażesz?

— Wcale się nie mażę! — krzyknęła wściekle Ika.



Groszek jednak nie zamierzał wdawać się w kłótnię.  
— Trzeba to przemyśleć — powiedział siadając przy oknie. — Siadaj i myśl.  
Ika miała nadal obrażoną minę, ale usiadła obok przyjaciela. Groszek nie zwracał jednak na nią uwagi. Zasepił się, zmarszczył czoło, założył ręce na piersiach.  
W końcu nieufnie spojrzął na radioaparat.  
— Trzeba jeszcze raz sprawdzić — mruknął.  
A potem spytał podniesionym głosem:  
— Czy to było do nas?  
Cisza. W aparacie tylko coś niewyraźnie zamruczało.  
— Pytam, czy to było do nas? — powtórzył jeszcze głośniej.  
I wtedy usłyszeli donośny, znajomy głos:  
— Uwaga! Uwaga! O-czy-wiś-cie!  
Groszek spojrzął na Ikę i pokiwał głową.  
— A widzisz?  
— Ale jak my właściwie mamy mu pomóc? — zawołała ze złością Ika.  
— Uwaga! Uwaga! — zadudnił oddalający się głos. — Trzeba spróbować.  
I znów słyszeli już tylko szmer dalekiej, zanikającej co chwila muzyki.  
Groszek sięgnął do kieszeni, wyjął chustkę i podał ją Ice.  
— Zamiast się złościć, wytrzymaj sobie nos.  
Kiedy to zostało zrobione, schował chustkę, z drugiej zaś kieszeni wyjął ołówek, notes i zaczął zapisywać.  
— Trzyletni Jacek Kilar. Granatowe: płaszcz i beret. Popielate: ubranko, buty, skarpetki. Niebieskie: oczy.  
— Ciemne: włosy — podpowiedziała Ika.  
— Adres matki?  
— Anna Kilar, Warszawa, Miejska 1. Telefonu nie podano.  
— Albo najbliższy posterunek MO — zapisywał Groszek.  
Ika wzruszyła ramionami.  
— A który może być najbliższy?  
Groszek wreszcie się zdenerwował.  
— Dziecko z ciebie. Najbliższy od tego miejsca, gdzie znajdziemy tego Jacka.  
— A gdzie my go znajdziemy?  
Groszek ze złości złamał ołówek.  
— O, jak rany. A może byś się spytała najpierw: jak go znajdziemy?  
— O to pytam od samego początku — powiedziała zimno Ika, co Groszka trochę speszyło.  
— Trzeba to przemyśleć — powiedział niezbyt pewnie i znów założył ręce na piersiach.  
Minęła minuta, potem druga, trzecia...  
Groszek westchnął:  
— Trudna sprawa. B-a-ardzo trudna.  
— Spodziewam się — burknęła Ika.  
— Nie mamy środków — wzdychał Groszek. — Żeby tak przynajmniej jakiś rower... albo... przynajmniej kilka złotych... albo... Bo rzeczywiście — wybuchnął — jak i gdzie go szukać, tego Jacka?  
Ale Ika się nie odezwała. Groszek pochylił się znów nad notesem.  
— Granatowe — mruczał — płaszcz i beret. Popielate...  
— Groszek, patrz! — krzyknęła Ika.  
Krzyknęła takim głosem, że Groszek zerwał się na równe nogi.  
Ika stała przy oknie wskazując wyciągniętą ręką ciemność za oknem.  
— Co... — zaczął Groszek. I urwał.

Urwał, albowiem dostrzegł to, na co wskazywała Ika: oto w głębi ciemnego już całkiem podwórza, tam gdzie stał „on”, to rozjarzały się, to gasły dwa światła. Najpierw świeciły żółtym, łagodnym blaskiem jak reflektory jadącego przez miasto samochodu — potem rozjaśniały się ostrym, białym światłem niczym oczy pędzącego wielką autostradą wyścigowca — i wreszcie... gasły. I znowu: żółte światła, białe światła i ciemność; żółte światła, białe światła — i ciemność.

— Daje sygnały — powiedział zdyszany głosem Groszek.

Ika spozrzała nań oczami, które zaświeciły jak u kota.

— Słuchaj. On n a m daje te sygnały.

— Tak myślisz?

— Jestem pewna.

— I myślisz, że w ten sposób... że przy jego pomocy...

— Będziemy mogli odnaleźć tego chłopca — powiedziała Ika jasnym, pewnym głosem.

— Idziemy?

— Idziemy? — powtórzył nieśmiało pytanie.

Ale w Ikę wstąpił teraz wielki duch. Tak to już między nimi bywało, że kiedy jedno zaczynało się wahać, drugie nabierało pewności za dwoje — kiedy jedno ulegało zmęczeniu, drugie stawało się dzielniejsze niż kiedykolwiek. Tym więc razem, kiedy Groszek stracił na chwilę odwagę i pytał siebie, czy nie należałoby tego wszystkiego jeszcze raz od samego początku przemyśleć, Ika zaczęła się zachowywać jak kapitan wojennego okrętu.

— Ubieramy się. Bierz sweter, pelerynę, szal... Słyszysz?

— Ale...

— „Alować” będziesz potem. Teraz nie ma czasu. Musimy zdążyć, zanim rodzice wrócą. Aha... na wszelki wypadek weź broń.

Groszek od razu poczuł się pewniej. Bez słowa wsadził do kieszeni duży korkowiec, szyję owinął szalem, narzucił pelerynę.

Od progu raz jeszcze się rozejrzeli. Wszystko było w porządku. Lampa i radio zgaszone, krzesła na swoich miejscach, książki poukładane porządnie na półce.

— W drogę — powiedział Groszek.

— W drogę — powtórzyła Ika.

Ale w samym progu zatrzymali się jeszcze na pół sekundy, a Groszek silniej ścisnął Ikę za rękę. Bo oto za oknami jeszcze raz błysnęły wpierw żółte, a potem białe światła. Gdy zaś znowu zapadła ciemność, w ciemnościach tych mrugnęło ku nim jeszcze raz, jak na pożegnanie, zielone, magiczne oko radioaparatu.

Na podwórzu było już całkiem ciemno. Z kilku okien padały mgliste prostokąty światła, nie sięgając nawet ziemi. A wiatr? A deszcz? To już w niczym nie przypominało połowy września, tylko najbardziej przenikliwy, zimny i mokry listopad. Krople deszczu siekły po twarzach jak różgi, wiatr gwizdał w antenach i rynnach, a jeśli się nawet na chwilę przyczajął, to tylko po to, by potem tym zajadlej szarpnąć za poję płaszcz, podbić nogi, miotnąć deszczem.

Co gorsza, w kącie, w którym stał „on”, nie błyskały już żadne światła. Była tam tylko ciemność i najczarniejsza noc. Ale czy myślicie, że jeśli raz się nabrało odwagi, oddechu w płuca, jeśli się raz coś postanowiło — to byle noc czy deszcz, czy wiatr mogą człowieka zawrócić z drogi?

Otóż nie!

Przodem szedł Groszek — bo on zawsze lepiej widział w ciemnościach — a Ika nawet pogwizdywała jedną z tych melodii, które nie wiadomo skąd się pamięta, a które przypominają się tylko w marszu.

W pewnej chwili Groszek przystanął.

— Słyszysz? — spytał.

Ika przestała gwizdać i wtedy ona też usłyszała: tuż przed nimi mrucało coś jak ogromny, łagodny kot.

A mówiąc po prostu: jak cichy motor gotującego się do drogi samochodu. Równocześnie ciemności tuż przed nimi rozproszył nikły, delikatny blask. Postąpili jeszcze jeden, potem drugi krok — i oto stanęli już przy aucie, nad którego kierownicą zajaśniały w tej właśnie chwili światła zegarów

— Dobry wieczór — powiedziała cicho Ika, a Groszek szurnął nogami.

Nikt nie odpowiedział, tylko drzwiczki wozu bez szelestu szeroko odchyliły się ku nim.

— Trzeba zdjąć peleryny — powiedział Groszek — żeby nie zamoczyć siedzeń. Ty widzisz... — zająknął się — ...ty widzisz, co to za wóz?

Rozjaśnione światłem zegarów wewnątrz wozu lśniło nieskazitelnym połyskiem lakieru, niklu i skóry. Jakby wóz zjechał prosto z taśmy fabrycznej na pierwszą swą drogę.

— Dobry wieczór — powtórzyła Ika zdejmując pelerynę. — Wsiadamy, panie... panie Kapitanie.

I pierwsza wsunęła się na miękkie siedzenie. Za nią wszedł Groszek — i lekko zatrzasnął drzwi.

Wtedy obok zegarów zaświeciła podziałka samochodowego radioaparatu i poważny, ale miły głos powiedział:

— Dobry wieczór. Nie jestem wprawdzie zwykłym kapitanem, ale możecie ostatecznie tak mnie nazywać. Czekam na was już od godziny.

Groszek chciał rzecz wyjaśnić, ale tylko odkaslnął. Za to Ika odpowiedziała tak swobodnie, jak dobremu znajomemu:

— Bardzo przepraszamy, ale o całej sprawie zostaliśmy zawiadomieni przed kilku zaledwie minutami.

Głos mruknął coś z lekkim niedowierzaniem i Ika chyba się zarumieniła. Tym bardziej że Groszek zerknął na nią nieprzyjaźnie.

— Przepraszam, Kapitanie, ale w gruncie rzeczy zostaliśmy zawiadomieni wcześniej. Tylko że... musieliśmy sprawę przemyśleć — powiedział z naciskiem.

— Cha, cha, cha — roześmiał się Kapitan — rozumiem... to wszystko było... trochę dziwne, co?

— Właśnie — powiedział Groszek.

— Właśnie — szepnęła Ika.

— Moi drodzy — powiedział Kapitan — dziwić się będziemy potem. A teraz... jazda! No, no... — głos stał się nagle bardzo surowy — proszę tylko niczego nie dotykać. Ja prowadzę siebie sam. Macie prawo jazdy? Nie macie. A więc?

— Bardzo przepraszam — szepnął Groszek cofając ręce od kierownicy.

— Nie ma za co — powiedział łagodniej już Kapitan. — Umowa stoi?

— Tak.

— Więc jedziemy. Dworzec Główny, prawda?

— Tak jest.

A więc zaczęła się podróż. Motor zaszumił mocniej — lekko zgrzytnął pierwszy, potem drugi bieg — i oto Kapitan wraz z Iką i Groszkim, zaświeciwszy światła, wysunął się powoli z bramy na wilgotny asfalt ulicy. Zahuczała cicho wycieraczka na szybie i Kapitan ruszył od razu czterdziestką w stronę Głównego Dworca.

Wspaniale się prowadził. Jechał niby szybko, najszybciej, jak pozwalały przepisy. Ale jak mądrze, jak płynnie i — delikatnie. Prześlizgiwał się wśród innych pojazdów migocząc światłami sygnałowymi, miękkim łukiem przeskoczył skrzyżowanie.

— Brawo, Kapitanie! — zawołała Ika.

On jednak miał jeszcze do niej pretensje.

— Przepraszam — powiedział sucho — ale podczas jazdy przez miasto nie rozmawiam.

— To ja przepraszam — bąknęła całkiem już skruszona Ika.

Nowy zakręt, chwila postoju przed światłami na nowym skrzyżowaniu — i oto rozjarzyły się przed nimi ogromne okna Głównego Dworca.

Groszek trącił Ikę w bok i wskazał na wielki zegar nad wejściem.

— Patrz. Do powrotu rodziców mamy jeszcze cztery godziny czasu.

— To nie traćcie tego czasu — wtrącił się Kapitan, hamując naprzeciw głównego wejścia. — Ja tu czekam.

Groszek i Ika bez słowa naciągnęli znów peleryny na ramiona i wyszli z samochodu, kierując się w stronę dworcowej hali.

Sami wiecie, jak to jest na Dworcu Głównym. Nie trzeba mieć trzech lat, żeby się tam poczuć zgubionym albo zaginionym. Takie chwile bezradności zdarzają się nawet trzydziestoletnim, całkiem dorosłym ludziom. I czy to takie dziwne? Przecież nie. Bo proszę: pod wejście zajeżdżają nieustannie samochody, do drzwiczek podbiegają tragarze odbierając walizki podróżnych, od przystanków tramwajowych, autobusowych i trolejbusowych bez przerwy ciągną sznury obciążonych walizkami pasażerów, w hali dworcowej tłumi przed kasami, kioskami, informacją, wejściami na peron, ciągle ktoś kogoś nawołuje, żegna się, wita, upomina, ciągle słychać głos mikrofonu: „Uwaga! Uwaga! Pociąg pośpieszny Warszawa-Praga-Paryż odjeżdża z toru pierwszego peronu pierwszego. Proszę wsiadać, drzwi zamykać!” — albo: „Pociąg osobowy do Wrocławia stoi na torze drugim, peronie trzecim”, albo: „Dyżurny Miciak wzywany jest do kierownictwa ruchu”, albo: „Pociąg pośpieszny Moskwa-Berlin wjeżdża na tor trzeci przy peronie piątym”...

A w taki właśnie ścisk, gwar i tłum weszli Groszek i Ika. Nie można się więc dziwić, że w pierwszej chwili zabrakło im trochę odwagi. Bo dotąd wszystko właściwie robiło się jakby samo, jakby poza nimi. A co teraz?

Groszek spojrzał na Ikę — Ika na Groszka. Przystanęli na samym środku hali dworcowej. Dokoła przetaczał się rozkrzyczany tłum podróżnych. Ktoś mówił: „Owiń się dobrze szalem”, a ktoś inny obiecywał: „Zaraz do was napiszę, jeszcze dziś napiszę”.

— No i co? — zapytała wzrokiem Ika.

— Gdzie go szukać? — odpowiedział tak samo Groszek.

A na głos powiedzieli równocześnie:

— Co robimy dalej?

Ucieszyli się, bo to niby dobra wróżba. Ale wróżba wróżbą, a co robić dalej, nie wiadomo.

— Tutaj go nie ma — powiedział Groszek.

— Oczywiście.

— Gdyby tu był, to sami dorośli od razu by go znaleźli.

— Masz rację.

— Ale — dalej myślał na głos Groszek — mogły tutaj zostać jakieś ślady.

— Mógł go także ktoś widzieć — pomogła Ika.

— Zapamiętać.

— Zauważyć, co się z nim stało.

Ale tego zdania Ika już nie dosłyszała, bo w tej właśnie chwili wpadł akurat pomiędzy nich jakiś spóźniony jegomość z dwoma wielkimi walizkami. Popchnął Ikę w jedną stronę, Groszka w drugą — i głową naprzód rzucił się dalej w tłum.

— Panie! — wrzasnął wściekły Groszek. — Wisła się pali czy co?

I chciał Ice powtórzyć tamto zdanie, ale nagle zorientował się, że Iki nie ma przy nim.

Dookoła kłębił się znowu tłum obcych, wysokich ludzi, zajętych swoimi sprawami. Ale Iki nie było.

— Ika! — krzyknął Groszek, rzucając się w tę stronę, w którą odepchnął ją tamten śpieszący się jegomość.

Uderzył kogoś łokciem w biodro, głową w brzuch, wplątał się w czyjś płaszcz i — wszystko daremnie. Zgubili się.

Ktoś coś krzyknął za nim, ktoś nawet zaklął dość wstrętnie, więc Groszek powtórzył kilka razy „przepraszam”, a potem przystanął, odetchnął głęboko i policzył naprzód od jednego do dziesięciu, a potem odwrotnie, to znaczy od dziesięciu do jednego: dziesięć, dziewięć, osiem, siedem i tak dalej. Ojciec bowiem nauczył go, że w ten sposób najlepiej opanowuje się rozpierzchłe myśli.

Rzeczywiście opanował je. Ale co z tego? Ładnie zaczęli poszukiwania — od tego, że się zgubili.

— Zaraz — powiedział do siebie Groszek — tylko spokojnie. Tylko spokój może nas uratować. Trzeba przemyśleć, jak ją teraz odnajdę? Po pierwsze, mogę pójść do dyżurnego ruchu i poprosić, żeby ją wywołano przez megafon. Ale to i wstyd, i strata czasu. A po drugie? Co po drugie? Aha! Już wiem.

I oto w tłumie podróżnych, na samym środku hali dworcowej warszawskiego Głównego Dworca rozległo się głośnie, a nawet rozdzierające pianie koguta. Nie był to jednak żaden kogut.

Po prostu był to Groszek, który przymknawszy oczy i wspiąwszy się na palce piał raz po raz.

Oczywiście natychmiast zebrał się dokoła spory tłumek.

— A jemu co?

— Biedne dziecko.

— Chuli gaństwo! Żadne biedne dziecko!

— A może chory? — gadali ludzie jeden przez drugiego.

Groszek jednak nie zwracał na nic uwagi, tylko znowu zapiał jak na alarm. Trochę przy tym poczerwieniał, bo ktoś już całkiem głośnie zawołał: „Lekarza!”, ktoś inny: „Milicja!” — a ktoś trzeci ujął go za rękę pytając srogo:

— Co to ma znaczyć? — i to właśnie był milicjant.

Na szczęście w tym samym momencie odezwał się tuż obok spokojny głos Iki:

— Bardzo przepraszam, obywatelu milicjancie, ale to mój braciszek.

— To czemu pieje? — uśmiechnął się do ładnej dziewczynki milicjant. Uśmiechnął się, ale mimo to nie zdjął jeszcze ręki z ramienia Groszka.

— Bo on jest bardzo młody i nie bardzo mądry — odpowiedziała z czarującym spojrzeniem Ika, pociągnęła Groszka za rękaw i dygnęła. — Bardzo przepraszam, ale już musimy iść, bo mamusia czeka. Do widzenia, obywatelu milicjancie.

Milicjant zasalutował bardzo elegancko. Ludzie rozstąpili się — ktoś powiedział: „Jaka urocza dziewczuszka”, a inny: „Jaka mądra i opiekuńcza”, Ika natomiast wyciągnawszy Groszka z tłumu natychmiast przestała się czarująco uśmiechać, tylko syknęła:

— Czyś ty zwariował?

— Nie — odpowiedział spokojnie Groszek.

— A co to miało znaczyć?

Groszek ujął ją za rękę i odprowadził w wolniejszy kąt pod ścianę, zaraz koło budki telefonicznej z napisem „Aparat nieczynny”. Dopiero wtedy powiedział:

— Po pierwsze: bądź łaskawa więcej się nie gubić. Dobrze?

— Ale... — zaczęła Ika.

— Żadne „ale”! My mamy kogoś znaleźć, a nie gubić siebie nawzajem. A po drugie, wiedziałem, co robię.

— Jak to wiedziałeś?

— Oczywiście!. Bo gdzie ciebie zawsze można znaleźć? Przede wszystkim tam, gdzie się robi jakieś zbiegowisko. A ponieważ zbiegowisko nie chciało zrobić się samo, to ja je własnoręcznie zrobiłem. Właśnie przez pianie.

— Całkiem idiotyczne pianie — burknęła mniej już pewnie Ika.

Ale Groszek czuł swą przewagę.

— Pianie samo w sobie było, i owszem, idiotyczne — powiedział. — Ale cel okazał się dobry. Znalazłaś się czy nie?

— No... no tak — przyznała w końcu Ika. — Ale...

— Moja droga — przerwał Groszek — powtarzam: żadne „ale”. Mamy coś innego do roboty niż mówić godzinami o pianiu. Tak?

— Tak.

— A więc słuchaj — napuszył się Groszek. — Mój plan jest następujący. Naprzód musimy zrobić wizję lokalu.

— A cóż to znowu?

— Bardzo zwyczajnie: jak się gdzieś coś złego stanie, to milicja zaczyna wszystko od tego, że idzie na to samo miejsce, do tego samego lokalu, i ogląda.

— Co ogląda?

— O, jak rany! — zdenerwował się Groszek. — Ogląda, jak coś złego w ogóle mogło się stać, i to jest właśnie wizja lokalowa. A może... lokalna?

— Aha — zamyśliła się Ika. — No dobrze. Ale jak to coś złego stało się nie w lokalu, tylko na przykład na dworcu, to już nie jest wizja lokalowa, tylko dworcowa. Albo peronowa.

— Bardzo możliwe — powiedział. — To idziemy.

— Dokąd?

— No tam, gdzie on się zgubił.

— A gdzie on się zgubił?

— Przecież na dworcu.

— Groszek! — powiedziała groźnie Ika. — Przecież na dworcu jest dziesięć peronów, cztery poczekalnie, trzy restauracje, dwadzieścia kas, Izba Matki z Dzieckiem, dwie świetlice i w ogóle. Jaką ty wizję chcesz oglądać? Peronową, restauracyjową czy poczekalniową? Co? I tu pokiwała z politowaniem głową, bo Groszek spojrział na nią bezradnie.

— Rzeczywiście — powiedział. — To trzeba przemyśleć.

Ale Ika zbuntowała się.

— Ja jestem innego zdania. Teraz nie ma co myśleć. Teraz trzeba się dowiadywać.

— Czego znowu?

— Jak to, czego? Przecież jeśli chcesz oglądać tę swoją wizję, to musisz wiedzieć, gdzie mały się zgubił. Czy jeszcze w pociągu, czy już na peronie, czy w poczekalni... tak czy nie?

— No... rzeczywiście. Ale gdzie się tego dowiesz?

— Trzeba się popytać.

— Kogo?

— A wszystkich w bufecie i przy biletach, i może nawet milicjanta.

— Aha — roześmiał się Groszek — ...już ci powiedzą.

— A dlaczego nie mieliby powiedzieć?

Groszek pokiwał głową.

— Oj, ty, ty. Przecież gdyby oni sami wszystko wiedzieli, toby go już dawno znaleźli. Trzeba wymyślić coś innego.

Ika nieco przygasła. To, co mówił Groszek, rzeczywiście brzmiało przekonująco. Rozejrzała się, jakby szukając pomocy. Jej wzrok padł na budkę telefoniczną z napisem „Aparat nieczynny”.

Wtedy wciągnęła głębiej oddech.

— Poczekaj tu na mnie — powiedziała.

— Gdzie znowu... — zaczął Groszek.

Ale Ika nie dosłyszała już tego pytania, bo po prostu weszła do budki z napisem „Aparat nieczynny” i zdjęła słuchawkę. Obróciła się przy tym plecami do drzwi kabiny, żeby nie patrzeć na Groszka, który z bardzo wymowną miną popukał się w czoło.

— Hallo — powiedziała Ika. — Tu mówi Ika. Szukam małego Jacka Kilara. Hallo!

W słuchawce coś zabrzęczało.

— Hallo! — powtórzyła z naciskiem Ika. — Poszukuję trzyletniego Jacka Kilara, który dziś w południe zgubił się na dworcu. Hallo, hallo!

W słuchawce znów coś zabrzęczało, potem zaterkotało, zahuczało, zahuczało, zaskrzyphiało — i w końcu odezwał się zgryźliwy, bardzo zakatarzony głos:

— Czego tam znowu? Czytać nie umiesz? Nie widzisz, że jestem nieczynny?

Ale Ika wcale się nie spieszyła.

— Bardzo pana przepraszam — odpowiedziała z naciskiem — ale to jest całkiem wyjątkowa historia. Dziś rano zgubił się tu trzyletni chłopak i dorośli jeszcze go nie znaleźli. A teraz już jest wieczór, późno i zimno, i deszcz pada.

— Że deszcz pada, to wiem lepiej od ciebie — przerwał jej aparat. — Nie znoszę wilgoci, kabel mi zacieka i dlatego jestem nieczynny.

— Ale ten chłopiec... — wtrąciła Ika.

— Już słyszałem — nie dał jej dokończyć — o co chodzi?

— Czy nie mógłby pan udzielić nam informacji? — zaczęła znowu Ika.

— Informacja zero trzy — znowu przerwał jej aparat.

— Ale z pana nieużytek! — krzyknęła odkładając słuchawkę. — Wstyd!

Nim jednak zdążyła się odwrócić i wyjść z kabiny, aparat zadzwonił tak ostro, jakby nigdy w życiu nie był nieczynny.

Ika zdjęła słuchawkę z groźnym błyskiem w oczach.

— Hallo — powiedziała — o co chodzi?

Głos tym razem był już o wiele grzeczniejszy.

— Moja droga — mówił — nie ma się co tak denerwować.

— Słucham — powiedziała oschle Ika.

— Sądzę bowiem — ciągnął dalej coraz grzeczniejszy głos — że choć nie jestem informacją, bo informacja telefoniczna ma numer zero trzy, to...

— Wiem, co to jest zero trzy — wtrąciła ostro Ika.

— ...to jednak — mówił głos — spróbuję zebrać wam pewne informacje. Nie odkładaj słuchawki i czekaj. Zgoda?

— Zgoda.

Drzwi od kabiny skrzypnęły cicho. To wszedł Groszek. Już nie pukał palcem w czoło.

— Do kogo dzwonicz? — spytał tylko i dość nawet grzecznie.

Ika zmierzyła go wzrokiem raczej ironicznym.

— Zbieram informacje — powiedziała. — Cicho!!

Przycisnęła przy tym silniej słuchawkę do ucha, bo zaczęły się w niej odzywać coraz to inne głosy.

Najpierw mówił ten pierwszy:

— Hallo, hallo! Tu aparat z hali dworcowej, kabina trzecia. Kto z kolegów wie coś o okolicznościach zgubienia się trzyletniego chłopca dziś rano? Hallo, hallo! Mówi aparat kabiny trzeciej. Czy widziano chłopca na peronach, w poczekalniach, w restauracji?

A potem zaczęły się odzywać inne, dalekie głosy.

— Hallo! Tu telefon restauracyjny. Nikogo takiego nie zaobserwowaliśmy. Skończyłem.

— Hallo, hallo! Tu automat z poczekalni. Chłopca w poczekalni już szukano. O ile nam wiadomo jednak, nie było go tutaj. To wszystko.

— Hallo! Tu centralka z biura ruchu. Obserwowaliśmy dzisiaj, jak zwykle, perony. Przypadkowo szczególnie uważnej obserwacji podlegało wyjście z peronu trzeciego, na którym zatrzymał się pociąg z Krakowa. Jak wiadomo, tym właśnie pociągiem miał przyjechać zaginiony chłopiec. Otóż oświadczamy, że chłopiec taki wyżej wymienionego peronu nie opuścił.

— Jak to? — krzyknęła Ika. — Więc gdzie jest?

— Hallo! Proszę nie przerywać — odezwał się tamten głos. — Nasze informacje są ściśle. Zaginiony chłopiec nie opuścił peronów, nie wszedł też na teren dworca. Należy zatem przypuszczać, że albo dotychczas przebywa na peronach, albo też opuścił dworzec innym pociągiem.

— To straszne — szepnęła Ika. — Jakim pociągiem?

— Co się stało? — gorączkował się Groszek. — Co się stało, Ika?

Ale Ika dała mu znak, żeby był cicho. Głos z centrali ciągnął dalej:

— Uwaga! Uwaga! W tej chwili otrzymaliśmy informację z sieci podmiejskiej. Otóż aparat dyżurnego ruchu w Truszewie zauważył podobnego chłopca w towarzystwie dwóch dorosłych mężczyzn na dworcu truszewskim. Chwileczkę.

Słuchawka na chwilę umilkła, a tymczasem do drzwi kabiny ktoś zastukał. Kilka osób bowiem, widząc rozmawiającą przez telefon Ikę, ustawiło się w kolejce — a pierwszy z nich, stary, gruby pan z zagniewaną miną, pukał w szybę.

Ale w tej chwili odezwał się znów głos centrali:

— Uwaga! Osoby te, jak podaje Truszewo, nadal znajdują się w bufecie dworca truszewskiego. Chłopiec śpi na ławce, mężczyźni piją piwo i rozmawiają. Uwaga! Uwaga! Uwaga! Jak informuje nas aparat milicji dworcowej, rysopis jednego z nich pokrywa się częściowo z rysopisem listu gończego, rozesłanego za znanym oszustem Eustachym Kużewikiem. Różnica polega na tym, że ten ma wąsy, których jeszcze wczoraj Kużewik nie miał. To wszystko. Skończyliśmy. Dziękujemy.

— To ja dziękuję! — zawołała Ika. — Bardzo dziękuję!

Wybiegła z kabiny ciągnąc Groszka za sobą przez tłum hali dworcowej. Groszek zrozumiał, że w tej chwili nie czas na pytania.

Wypadli na dwór, na wiatr i deszcz. Kapitan stał na swoim miejscu — w długim rzędzie parkujących samochodów. Gdy dopadli do wozu, drzwiczki, jak zwykle, same się odchyliły, zaświeciły też światła reflektorów i zegarów.

Obok, w dużym, lśniącym De Lux, drzemał wsparty o szybę kierowca. Na widok ruszającego Kapitana, którego kierownicy nikt nie dotykał, z dwojgiem dzieci na przednich siedzeniach, wpięty wytrzeszczył oczy, a potem zaczął przecierać je kułakami.

Kiedy odjął ręce od oczu, samochodu już nie było widać. Wzruszył więc tylko ramionami.

— Co to się człowiekowi nie wyśni — mruknął i znów ułożył się do drzemki.

Kapitan zaś już wyskoczył z zajazdu przed dworcem, Ika powtarzała szybkim głosem uzyskane przy pomocy sieci telefonicznej wiadomości — a Groszek i oczywiście sam Kapitan słuchali uważnie.

Na koniec Ika powiedziała nieśmiało:

— A wreszcie powiedzieli, że jeden z tych ludzi, z którymi jest chłopak, wygląda jak jakiś... ry... rysopis z jakiegoś listu. Listu gonionego. Nie... z listu... gończego. Co to znaczy, Groszek? Rysopis listu gończego? Co to takiego?

— To jest... — zaczął Groszek.

— To znaczy... — powiedział i znów utknął.

— To jest taki... — powiedział i umilkł.



Wtedy roześmiał się sam Kapitan. Tak się zaśmiał, że aż musiał na chwilę przyhamować. A potem, gdy znowu ruszył pełnym pędem i kiedy za oknami poczęły migać pierwsze, rosnące wydłuż podmiejskiej szosy drzewa, wyjaśnił już całkiem poważnie:

— Rysopis to jest po prostu opis człowieka, jakie ma oczy, włosy, wzrost i tak dalej. Używa się go przede wszystkim wtedy, kiedy nie ma czyjejs fotografii. A list gończy to jest takie publiczne ogłoszenie, a raczej wezwanie do ludzi, żeby pomogli w odnalezieniu jakiegoś złoczyńcy. Rozumiecie już?

— Tak.

— A jak się ten od rysopisu nazywał?

— Eustachy Ku... Ku... Kużewik — przypomniała sobie Ika. — Tylko że tamten nie miał wąsów, a ten ma.

Zapadło milczenie. Kapitan pędził teraz lśniącym, ciemnym gościńcem w stronę Truszewa. Drzewa migają, deszcz osiadał na szybie.

Groszek poruszył się trochę niespokojnie.

— Sprawa jest poważniejsza, niż myślałem — powiedział.

Kapitan po chwili potwierdził:

— To prawda! — I spytał: — Jaki macie plan?

— Trzeba rzecz przemyśleć — powiedział Groszek.

A więc zaczęli przemyślać. Kapitan kładł się miękko na zakrętach i wyskakiwał z nich na największym gazie. Chwilami lekko drżał pod bocznymi uderzeniami wiatru. Upojony szybkością nucił wszystkimi swymi cylindrami jakąś niską, samochodową melodię, jakąś piosenkę, w której była mowa o wielkim pędzie, dalekich drogach, szosach wśród gór i nadmorskich gościńcach.

W pewnej chwili Ika podniosła głowę.

— Mam pewien plan — rzekła trochę nieśmiało, a potem opowiedziała o owym planie.

— To jest bardzo dobry plan — powiedzieli równocześnie Kapitan i Groszek.

W poczekalni, czyli w bufecie truszeńskiej stacji, pusto było, cicho i nudno. Zatrzymywały się tu tylko pociągi bocznych linii, złożone ze starych wagonów, toczące się powoli przez małe stacyjki. W Truszewie robiło się gwarno tylko trzy razy dziennie — kiedy odjeżdżał poranny do Warszawy, a potem, kiedy powracały warszawski popołudniowy i warszawski wieczorny. A poza tym? Było właśnie pusto, cicho i nudno. Trzy czy cztery osoby w bufecie nigdy nie czyniły gwaru i bufetowa mogła spokojnie robić ciepłe skarpetki na drutach dla całej swojej wyjątkowo licznej rodziny.

Tym razem też nikt nie przeszkadzał jej w owym zajęciu. Popołudniowy warszawski przyjechał przed dwoma godzinami i prawie wszyscy podróżni opuścili dawno budynek stacyjny. W bufecie zostało tylko dwóch mężczyzn z małym chłopczykiem — czekających na połączenie z wieczornym pociągiem do Kuśmidrowa. Chłopczyk od godziny już spał na ławce, zaś obaj dorośli zamówili po jednym dużym piwie i przez cały ten czas nad kuflami coś szepotali.

Chłopczyk, jak od razu zauważyła bufetowa, był bardzo ładny i ładnie ubrany. Miał niebieskie oczy, ciemne włosy, granatowy płaszczyk, beret, a ubranko i butki — popielate. Przez pierwszą godzinę budował pracowicie studnię z zapatek pytając tylko co jakiś czas:

— A kiedy mamusia przyjdzie?

Potem znużył się i budowaniem, i pytaniami — więc usnął wyciągnawszy się na ławce. „Jak laleczka” — pomyślała sobie bufetowa, która miała sztuczny kok i czułe serce.

Obaj mężczyźni natomiast wcale nie byli zbyt piękni. Jeden z nich, niski i gruby, który nazywał siebie „wujkiem” chłopczyka, ubrany był nawet owszem, owszem — nawet elegancko — i miał dość miłą twarz o śmiesznych, czarnych wąsach. Głos jego jednak był jakiś

dziwny. Jakby za lepki, za grzeczny, za słodki.

Drugi zaś mężczyzna, chudy, niczym stara czapla, nic już w sobie miłego nie miał. W dodatku w ogóle nie chciał patrzeć człowiekowi w oczy i — ogólnie biorąc, od pierwszej chwili bardzo się bufetowej nie spodobał.

Należy zresztą przypuszczać, że gdyby bufetowa posłyszała rozmowę obu jegomościów, to już nie o podobaniu się byłaby mowa, ale o wiele gorszych uczuciach.

Rzecz w tym jednak, że nie słyszała — i dlatego mogła spokojnie robić dalej ciepłe skarpety. Oni zaś też na pozór spokojnie dalej sobie szeptali. Wcale jednak spokojni nie byli. Przede wszystkim Chudy, któremu ze zdenerwowania wystąpiły na policzkach duże, czerwone plamy.

— Ja mam dość tych twoich interesów — szeleścił zakatarzonym głosem. — Na porywacza dzieci też się nie nadaję.

Gruby nieprzyjemnie się uśmiechnął.

— Ty się w ogóle do niczego nie nadajesz. Ja cię przy sobie nie trzymam.

— To oddaj mi moje pieniądze — zasyczał Chudy.

— Nie mam żadnych twoich pieniędzy — uśmiechnął się jeszcze nieprzyjemniej ten z wąsami.

Chudego ze złości aż zatkało.

— Jak to? Przecież ci wszystkie oddałem.

— Nie pamiętam.

— Nie pamiętasz? — Chudy podniósł głos tak oszałamiająco, że aż bufetowa spojrzała niespokojnie znad okularów. Ale Gruby z wąsami od razu czule się do niej uśmiechnął.

— Nie pamiętamy, proszę pani — powiedział — o której odjeżdża pociąg do Kuśmierzowa.

— O dziewiętnastej zero dwa — wyjaśniła oschłym głosem. — To znaczy, za godzinę.

Nastała chwila ciszy. Leżący na ławce chłopczyk podniósł głowę, zamrugał oczami i spytał:

— Mamusia jeszcze nie przyszła?

Pan z wąsami uśmiechnął się tak słodko, jakby był jedną wielką landryną.

— Nie — zagruchał słodko. — Ale wkrótce przyjdzie.

Chłopczyk skrzywił się, ziewnął i potem znowu przykrył oczy. Wtedy ten z wąsami zaszeptał bardzo groźnym szeptem. Tak groźnym, że Chudy skulił ramiona.

— Zapamiętaj sobie — szeptał Gruby — że mnie na tobie nie zależy i że gdyby nie ja, złapałiby cię już dziesięć razy. Sam dobrze wiesz, że jesteś tchórz, nedorajda, pijak i łazęga. Jeśli ja cię nie uratuję, zginiesz marnie. Mów zaraz, kto zauważył dziś w Warszawie, że dworzec jest obstawiony przez milicję?

— Ty — szepnął Chudy.

— A kto — ciągnął tamten — wpadł na genialny pomysł, żeby od razu odjechać innym pociągiem?

— No... ty... — przyznał Chudy.

— A kto był taki mądry — mówił Gruby — żeby poderwać tego chłopaczka, pytam? Ty mówisz, że na porywacza się nie nadajesz. A nie rozumiesz, co to za mądrość, durniu. Nikomu jeszcze do głowy nie wpadło, iż n i e j e s t on moim ukochanym siostrzeńcem... a co najważniejsze, nikomu n i e m o ż e wpaść do głowy, że ci oto dwaj mili panowie z przemiłym chłopczykiem po prostu wieją przed milicją. Czy groźny przestępca może mieć dziecko na ręku?

Chudy niepewnie pokiwał głową.

— Jego pewnie także już szukają.

Gruby uśmiechnął się bardziej niż lekceważąco.

— Ale w Warszawie na dworcu. Bo tutaj nie. Komu mogło wpaść do głowy, żeby taki

szczeniak potrafił sam wyjechać z Warszawy?

Chudemu jednak to wszystko nadal nie bardzo się podobało.

— Ty za mądry jesteś! — krzyknął.

— Dla ciebie na pewno — śmiał się Gruby. A... a nie dasz mi pieniędzy? — pytał już pokornie Chudy.

— Nie — powiedział stanowczo Gruby — bo od razu wszystko przepijesz. Mogę ci najwyżej kupić jeszcze jedną butelkę piwa. Ale tylko jedną.

Chudy westchnął. Widać zrozumiał, że nic mu już nie pomoże.

— Na drugi raz — powiedział — oddam ci na przechowanie stare gazety, a nie żadne z ciężkim strachem kradzione pieniądze. Daj te dwa złote na piwo.

— Kradzione nie tuczy — zachichotał Gruby. — Masz.

Chudy raz jeszcze westchnął — i podszedł do bufetu po piwo.

Stuk jego kroków obudził śpiącego na ławce chłopczyka. Znowu podniósł głowę i spytał:

— Mamusia jeszcze nie przysłała?

— Nie, moje dziecko — powiedział Gruby. Chłopak rozbudził się całkowicie, usiadł, poprawił zsuwający się na ucho berecik.

— To ja do niej pójdę — postanowił po chwili.

Ale gruby jegomość od razu wytrzeszczył oczy i zaczął groźnym głosem:

— Nie idź, dziecko. Niech cię Pan Bóg broni. Na dworze jest ciemno, wilki chodzą i mogą cię zjeść. Mamusia zaraz tu przyjedzie, jak ty pójdziesz jej szukać, sam gotoweś się zgubić. I co wtedy będzie?

Chłopak przekonany pokiwał głową.

— Wtedy będzie źle. To ja jeszcze poczekam.

Gruby jegomość odetchnął z ulgą i wyciągnął z kieszeni zapałki.

— Masz — powiedział — zbuduj sobie studnię.

— A mogę dwie? — spytał chłopak.

— Możesz.

Chłopczyk zajął się pracowicie budowaniem studni na sąsiednim pustym stole. Gdy zaś Chudy wrócił ze swoim piwem i nalał go sobie do kufla, obrócił się grzecznie i powiedział:

— Smacznego panu.

Chudy burknął pod nosem „dziękuję”, a jego przyjaciel zmrużył chytre oko.

— Za szczeniaka — szepnął — też dostaniemy kilka ładnych groszy okupu. Nie interesuje cię to?

Chudy jednak ciągle był niepewny siebie, zmarszczył smutne czoło i ptasi nos.

— Mnie interesuje coś innego. Czy w tym twoim Kuśmidrowie nas nie capną? — mruknął.

— Zwariowałaś? — nadał się Gruby. — Mam tam melinę jak złoto.

Chudy westchnął chyba po raz dwudziesty tego popołudnia.

— Chciałbym już w niej być.

Gruby wzruszył ramionami i okazując, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę z głupcem, zasłonił się gazetą.

A więc znów zapadło milczenie.

Za bufetem migały zawzięcie druty bufetowej — po chwili chudy jegomość zdrzemnął się nad piwem, gruby zaś nad gazetą. Tylko chłopczyk w granatowym płaszczku i berecie biedził się nad swoją — bardzo zresztą krzywą — studnią z zapałek i nucił nie znaną nam bliżej z melodii piosenkę o słowach następujących:

*A mamusia idzie,*

*A mamusia idzie,*

*A mamusia idzie,  
Idzie do nas już!*

Nic więc dziwnego, że gdy otwarły się drzwi, chłopczyk aż podskoczył na krześle, przewracając swą krzywą studnię. Ale jego roześmiana w pierwszej chwili twarz znów posmutniała. W drzwiach bowiem wcale nie ukazała się ta osoba, o której śpiewał i której oczekiwał — tylko jakiś całkiem obcy, ubrany w długą pelerynę, zmarznięty chłopiec.

Chłopiec uklonił się od drzwi i powiedział do wszystkich:

— Dobry wieczór.

Wtedy malec w granatowym bereciku zawołał z nową nadzieją:

— Chłopczyku! Nie widziałeś mojej mamusi?

— Nie — odpowiedział chłopiec.

— Szkoda — westchnął Granatowy Berecik i broda lekko drgnęła. Od razu jednak pochylił się nad nim gruby i przymilny pan z wąsami i zaczął czule pocieszać:

— Przecież ci mówiłem, że mamusia już jedzie pociągiem i zaraz do ciebie przyjdzie. Za pół godziny... pociągiem do Kuśmidrowa.

— Przepraszam bardzo — powiedział tamten starszy chłopiec podchodząc do stolika, przy którym siedział Granatowy Berecik. — Czy nie mógłbym się przysiąść? Ja też jadę... jadę do Kuśmidrowa.

Gruby jegomość z wąsami wpatrzył się uważnie w ciemne oczy chłopca, a jego własny wzrok zrobił się nagle ciężki i zimny jak od nie wypowiedzianej groźby.

— Tam też jest miejsce... — zaczął oschle, wskazując przeciwległy kąt bufetu, ale chłopiec mu przerwał:

— Bo ja wiozę pieniądze dla tatusia — pochwalił się wszystkim z bezmyślnym uśmiechem — i nie chcę być taki sam.

Usłyszawszy to zdanie, gruby pan od razu się zmienił. Spojrzał na chłopca z nieoczekiwaną przyjaźnią i z ojcowską niemal troską — rozpromienił się, rozwarł ramiona.

— I co? — dziwił się. — To ty samotnie podróżujesz? A dużo masz tych pieniędzy?

Chłopiec spuścił oczy.

— Tatuś zabronił mówić — bąknął niepewnie.

Ale gruby pan już go chwycił za łokieć, przyciągnął do siebie, poklepał po ramieniu i znów szeroko się uśmiechnął.

— No siadaj, chłopcze! — zawołał. — Siadaj z nami. Będzie nam weselej podróżować. Cieszysz się?

— Bardzo się cieszę — powiedział chłopiec.

— A ja nie — westchnął pijący drobnymi łykami swoje piwo chudy i smutny mężczyzna.

Chłopiec w pelerynie uklonił się grzecznie jeszcze raz i usiadł koło Granatowego Berecika.

— Chcesz? — powiedział. — Zbuduję ci świetną studnię.

— Dobrze — uśmiechnął się Berecik. — A jak ty się nazywasz?

— Groszek — powiedział chłopiec.

Tak więc Groszek wykonał pierwszą część planu, podług której miał odnaleźć w budynku truszczyńskiej stacji chłopczyka w granatowym płaszczyku i berecie oraz jego fałszowanych opiekunów.

Trzeba zresztą przyznać, że Groszek wykonał nawet więcej, niż przewidziano. Nie tylko bowiem odnalazł tych, których poszukiwał, lecz zdołał też się do nich przysiąść — a nawet, dzięki pomysłowi z „pieniędzmi dla tatusia”, zainteresował sobą grubego jegomościa w

sposób zgoła przez plan nie przewidziany. Doszło do tego, że teraz już nie on będzie musiał pilnować ich, by mu nie znikli z oczu — ale właśnie oni będą się o niego troszczyć. Cała więc sprawa rozwijała się jak należy.

Prawdą jest jednak i to, że choć wszystko szło na razie jak należy, Groszek czuł się w tej chwili bardzo samotny.

Kapitan z Iką odjechali, by wykonać drugą część planu. A zatem Groszek był zdany na własne siły. Nie ma zaś co ukrywać: w porównaniu z siłami dwu dorosłych przeciwników były one raczej mizerne.

Mimo to wszystko byłoby w porządku, gdyby nie... czas. Tak — właśnie czas. Mężczyźni mieli odjechać pociągiem do Kuśmidrowa — a więc za niespełna pół godziny. Groszek wiedział zaś, że do tego odjazdu dopuścić nie może.

Cała nadzieja w Ice — że w ciągu owej pół godziny zdąży wypełnić drugą część planu. A jeśli nie? Co wtedy? Groszek nie wiedział jeszcze dokładnie, jak postąpi, ale siedząc obok małego Jacka i budując dlań studnię z zapalek przysięgał sobie, że go już spod swojej opieki nie wypuści ani nigdzie uwieźć nie pozwoli.

— Ja nie umiem budować takiej studni — powiedział malec. — Bardzo ładna.

Groszek uśmiechnął się.

— A ty jesteś bardzo miły szkrab.

— Co to znaczy szkrab? — spytał wesoło chłopczyk.

— Szkrab? — zastanowił się Groszek. — Szkrab to po prostu... po prostu maluch.

— Aha — powiedział Granatowy Berecik. — Ale za rok już nie będę maluchem, prawda?

— Prawda.

Gruby jegomość uważnie przysłuchiwał się tej rozmowie, Chudy zaś ciągle drzemał nad swoim piwem.

Podniósł głowę dopiero wtedy, gdy Gruby przysuwając się do Groszka spytał:

— A nie mógłbyś mi, mój chłopcze, zmienić stu złotych?

„Aha — pomyślał Groszek — chcesz się przekonać, czy mam pieniądze?” Pomyślał tak i uśmiechnął się grzecznie.

— Niestety, nie mogę, proszę pana — powiedział. — Po pierwsze dlatego, że tatuś nie pozwolił mi w ogóle wyjmować pieniędzy, a po drugie, mam tylko pięćsetzłotowe banknoty.

— Co? — powiedzieli równocześnie obaj mężczyźni.

Groszek aż się zakaszał, by ukryć triumfujący wyraz twarzy. Po sposobie, w jaki zawołali to swoje „co”, wiedział już, że będą chyba nawet gotowi wyrzec się jazdy do Kuśmidrowa, by tylko nie stracić go z oczu. Chudy aż wytrzeszczył oczy pytając:

— A na co te pieniądze, chłopczyku? Co?

Groszek zastanowił się przez chwilę, jakby wahając się, czy może obcym ludziom zdradzić taką tajemnicę.

W końcu odpowiedział:

— Bo... bo tatuś kupuje telewizor.

— Aha — mruknął Gruby kiwając głową. — Musi być tego kilka ładnych tysięcy. Prawda?

Groszek postanowił teraz już wyraźnie zagrać scenę podejrzliwości.

— Nie wiem, proszę panów — powiedział sucho.

Kątem oka widział, jak szturchnęli się łokciami. Ale zaraz potem spojrzął na zegar — do przyjazdu pociągu pozostało już tylko piętnaście minut.

— Kiedy w końcu przyjedzie mamusia? — powiedział Granatowy Berecik po raz pierwszy kapryśnym i zniecierpliwionym głosem.

— Tylko ciszej, moje dziecko — odezwał się Gruby. — Tylko ciszej.

Ale Granatowy Berecik widocznie postanowił się zbuntować. Bez żadnego uprzedzenia

nabrał nagle powietrza w płuca i ryknął jak lokomotywa:

— A ja nie chcęęę!— Nie chcęęę!— Gdzie mamusiaaaaaa? ;

Tamtych dwóch aż zatkało. Bufetowa zerwała się z miejsca. Chwilę wszyscy trwali w bezruchu, a chłopak, bez śladu zresztą łez w oczach, ryczał coraz głośniej:

— A ja nieeee chcęęęę!

Pierwszy oprzytomniał Gruby. Podbiegł do bufetu po jakąś czekoladkę. Chudy zaś, chcąc też uspokoić małego, zaczął stroić wesołe miny. Jacek jednak na widok owych pięknych min rozdarł się jeszcze głośniej. Gruby przybiegł z czekoladką, ale czekoladka też nie pomagała.

Groszek widział wyraźnie, że mężczyźni zaczynają się denerwować. Chudy rozglądał się już na boki i spozierał w stronę drzwi — ale Grubemu strach nie był w głowie.

Policzki nabiegły mu rumieńcami wściekłości, a głos zasyczał z groźbą:

— Jacek! Cisza!

Jacek spojrział w oczy „wujka” i umilkł na chwilę, a jego własne oczy zaczęły się robić coraz większe i większe.

Groszek natomiast wcale się tym niby nie interesował. Ale w środku? Napięty był już jak struna.

Do przyjazdu pociągu zostało tylko dziesięć minut. Dziesięć minut może czasem ciągnąć się jak guma do zucia — na przykład wtedy, kiedy grozi wywołanie do tablicy z tego przedmiotu, o którym poprzedniego dnia, podczas przygotowywania lekcji, akurat się zapomniało. Teraz zaś zegar pędził, jakby miał wskazówki z odrzutowym napędem.

I oto nagle Gruby nachylił się nad chłopczykiem.

— Wstawaj — powiedział. — Idziemy do mamusi. Tylko bądź cicho.

Powiedział to takim głosem, że Groszek zacisnął pięści. Co on zamierza? Przez głowę przemknęły mu wszystkie straszne historie o kidnaperach — o porywaczach mordujących dla zatarcia śladów porwane dzieci.

Do przyjazdu pociągu pozostało już tylko sześć minut. W bufecie nikt obcy się nie zjawiał — nie było też widać Iki, od której w tej chwili zależało niemal wszystko. A za chwilę ci dwaj gotowi znów porwać malca, zniknąć w pociągu, zgubić ślad.

Wskazówka zegara znów przeskoczyła nową minutę, z daleka zaś nadbiegł wysoki gwizd pociągu.

Gruby niby się uśmiechnął.

— Słyszysz, Jacuś? — powiedział. — Mamusia jedzie. Idziemy?

Groszek pomyślał z rozpaczą, że Jacek musiał mieć do czynienia tylko z bardzo dobrymi ludźmi, bo jego zasadniczą cechą była przede wszystkim ogromna ufność do nich. Teraz także — choć z oczami jeszcze bardzo lśniącymi — od razu się roześmiał, zeskoczył z krzesła, klasnął w ręce.

— Idziemy, idziemy!

Nie ma co ukrywać — Groszek nie wiedział, jak postąpić. Krzyczeć? Bić się? Bronić Granatowego Bercika korkowcem i pięściami? Niewiele by to pomogło — nie na dłużej niż na minutę. Mimo to zerwał się.

I dopiero teraz się okazało, jak mądry był pomysł z pieniędzmi. Gruby jegomość ujął już wprawdzie Jacka za rękę, ale jeszcze nie ruszał w stronę wyjścia.

Zwrócił się jeszcze do Groszka:

— A kawaler — spytał swym słodkim głosem — nie idzie? Prosimy, prosimy...

Groszek skrzywił się.

— Eee... pociąg jeszcze nie zajechał. A na dworze deszcz i wiatr...

Chudy trącił przyjaciela w ramię.

— Eustachy... daj pokój. Chodźmy. Ja ciebie błagam, Eustachy.

Ale pan Eustachy nie zwracał nań żadnej uwagi. Wyciągnął rękę w stronę Groszka.

— A co? — pytał niby bardzo przyjacielsko. — Przecież się nie roztopimy na deszczu. A w towarzystwie zawsze przyjemniej. No... niech kawaler poda mi rękę, żebyśmy się nie zgubili. Tylko prędeż... już słycać pociąg.

Istotnie. Wskazówka zegara zbliżyła się do oznaczonej godziny na odległość jednej tylko minuty. Granatowy Berecik aż podskakiwał w miejscu, ciesząc się z przyjazdu mamusi — za oknami zaś zaszumiał coraz bliższy stukot kół i sapanie nadjeżdżającej lokomotywy.

Groszek poczuł, że nagły gniew unosi mu niemal włosy na głowie.

— Nie pójdę! — krzyknął.

Skoczył w stronę Jacka, pociągnął go ku sobie, osłonił peleryną i wyrwał z kieszeni swój blaszany pistolet.

— On też nie pójdzie nigdzie! — wrzasnął jeszcze głośniej. — A wy... ręce do góry!

— Jezus! — szepnął Chudy.

— Jezus Maria! — pisnęła bufetowa.

— Co ty...? — zaczął groźnie Gruby postępując krok w stronę Groszka, który poczuł, że nagle robi mu się bardzo sucho w ustach.

— Stać! — krzyknął raz jeszcze.

I wtedy, właśnie wtedy, rozwarły się z trzaskiem drzwi i dziewczęcy głos pisnął radośnie:

— Wujaszku! To ja!

A potem...

Zanim jednak zostanie wyjaśnione, co oznaczał ów okrzyk i co się w ogóle potem stało, należy jeszcze w kilku słowach opowiedzieć o tym, co przez cały ten czas robili Kapitan i Ika — a przede wszystkim o tym, czy wykonali i jak wykonali swoją część planu.

Kiedy Groszek wysunął się z wozu, który z wygaszonymi dla ostrożności światłami przystanął przy truszewskiej stacji, Ika głęboko westchnęła.

Tak to już bowiem jest, że w niektórych chwilach ma się bardzo wielką ochotę na samodzielność, na — jak powiadał Groszek — „zosiosamosizm”. Na to, że wszystko — ja sam. Właśnie jak Zosia Samosia.

Ale potem? Kiedy w końcu zostaje się samemu?... Ach, jak wtedy chciałoby się być właśnie we dwójkę, w grupce, a nie tylko w towarzystwie własnych niespokojnych myśli.

Wprawdzie Ika była jeszcze pod opieką i w towarzystwie Kapitana, ale już za chwilę, za kilka minut będzie musiała wykonać najważniejszą część planu całkiem samodzielnie. Tak — to wcale nie było proste. Bo nie sztuka być odważnym, kiedy jest się odważnym. Sztuka być odważnym dopiero wtedy, kiedy koło serca zaczyna coś łaskotać, a po łopatkach chodzą zimne mrówki. To zaś właśnie czuła Ika w chwili, w której Groszek znikł w drzwiach truszewskiej stacji, a Kapitan powoli i ostrożnie ruszył w dalszą drogę.

Oboje milczeli. Kapitan minął jedną, potem drugą ciemną uliczkę. W końcu nagle się zatrzymał.

— Uwaga, Ika — powiedział cicho swoim niskim głosem. — Widzisz ten kiosk?

Po przeciwległej stronie małego placu świecił jasnym oknem i drzwiami niewielki kiosk. W jego zaś wnętrzu widać było kilka osób stłoczonych przy ladzie.

Wśród nich zaś mignęła peleryna i czapka milicjanta.

— Widzę — szepnęła Ika.

— Idziesz? — spytał Kapitan.

Ika wciągnęła głęboko oddech.

— Oczywiście — powiedziała. — A... gdzie pan będzie czekał?

— Ja już sam zadbam o to — obiecał Kapitan — by we właściwej chwili być na właściwym miejscu. Uważaj tylko, żebym się nie musiał dorosłym zbytnio rzucać w oczy. Na

razie czekam tutaj...

— To ja idę — zdecydowała Ika.

Wyszła z samochodu szamocząc się z peleryną, którą od razu zaczął szarpać za poły wiatr. Przed drzwiami kiosku na moment przystanąła — tak, w środku był milicjant. A więc? Teraz wszystko zależało od tego, czy jej wysłucha. Jeszcze raz odetchnęła głęboko i szarpnęła klamką drzwi.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał i wszyscy obecni tu mężczyźni odwrócili się w jej stronę.

Milicjant był młody i bardzo wysoki — wyglądał też na bardzo ważnego. Ujrawszy Ikę uniósł brwi w górę.

— A co ty tu robisz, mała? — spytał. — Sama, o tej porze?

Na takie powitanie Ika nie była przygotowana. Mężczyźni skupieni przy ladzie, za którą stała ładna ekspedientka, wybuchnęli śmiechem, a milicjant postąpił krok naprzód.

— No, co tu robisz? — powtórzył.

Ika poczuła, że rumieni się ze wstydu i złości, bo nie znosiła, jak się z niej śmiano, a szczególnie, jak ją traktowano niczym przedszkolaka.

— Właśnie pana szukam — powiedziała ostro.

— O, ho, ho! — zdziwili się wszyscy, a milicjant nachmurzył się nieco.

— A to dlaczego?

— A dlatego — palnęła Ika — że na stacji jest teraz słynny oszust i porywacz dzieci, a pan zamiast go łapać, pije tutaj piwo.

Teraz dopiero wszyscy ryknęli jak żubry. Tylko milicjant poczerwieniał, całkiem jak Ika.

— Co za oszust? — spytał. — Jak wygląda? Ciszej, obywatele! — krzyknął.

Nastała chwila ciszy — a Ika poczuła, że dla odmiany błędnie. Przecież nic nie wiedziała o wyglądzie tego oszusta. W dodatku nawet jego nazwisko wyleciało jej w tej chwili z głowy. Co robić? Jak przekonać tych ludzi, że mówi prawdę?

— On... on jest z listu gończego... — zaczęła nieśmiało.

Ale milicjant już zaczynał być zły. Objął służbę w Truszewie od bardzo niedawna i truszewskie dzieci nieraz już mu dokuczyły. Przypuszczał więc, że i teraz to dziewczynsko pozwala sobie na lepsze dowcipy.

— Oho, panie plutonowy — powiedziała ładna ekspedientka. — Tu chcą panu pomóc tacy dorośli obywatele, a pan taki niegrzeczny?

Milicjant poczerwieniał jak transparent.

— Z jakiego listu znowu? Co to za żarty? Co za oszust?

— Prawdziwy oszust — krzyknęła niemal z rozpaczą Ika. — Nazywa się... nazywa się... Eustachy!

I w tej chwili wszyscy obecni, nawet ekspedientka, znowu ryknęli śmiechem.

Milicjant zaś pochwycił Ikę za ramię.

— Eustachy? — pytał. — I nic więcej, tylko Eustachy?

A potem podprowadził Ikę do drzwi i przemocą wyprowadził za próg.

— Kto ci pozwolił stroić sobie żarty z mojego imienia? — krzyknął.

— O, ho, ho, ho! — śmieli się ludzie. — Eustachy, Eustachy...

Drzwi trzasnęły i Ika została na zewnątrz, na wietrze i deszczu.

Chciało jej się płakać z rozpacz i złości. Bo co to za nieludzki pech, żeby trafić akurat na milicjanta z takim samym imieniem jak ów oszust i porywacz. I co teraz robić?

W końcu nie udało się powstrzymać kilku łez. Kiedy jednak dobiegła do Kapitana, w głębi uliczki, w nikłym świetle latarni ujrzała jakiś inny mundur milicjanta.

— Eustachy — chlipnęła raz jeszcze i... nagle przypomniała sobie nazwisko: Kużewik. Tak, Kużewik. A równocześnie z tym przypomnieniem błysnął jej w głowie n o w y



p o m y s ł. Nachyliła się do okna Kapitana.

— Proszę, panie Kapitanie — powiedziała szybko — proszę zajechać pod stację, dobrze? Ja zaraz tam będę.

— Zgoda — zawołał Kapitan i posłusznie zapuścił motor.

Ika zaś puściła się pędem za drugim, niknącym w głębi ulicy milicjantem.

Teraz już nie chciało się jej płakać. Wprost przeciwnie.

A mimo to właśnie teraz zaczęła głośno szlochać — i szlochając wołać:

— Panie milicjancie! Obywatelu milicjancie!

Tęgi, niemłody już milicjant o okrągłej twarzy odwrócił się natychmiast i podbiegł w stronę Iki.

— A cóż tam... cóż się stało, koleżanko? — pytał, troskliwie biorąc Ikę za ramiona.

Wyglądał tak miło, że przez ułamek sekundy zawahała się, czy nie powiedzieć mu po prostu wszystkiego zwyczajnie i bez ogródek.

Ale nie! Bo co będzie, jeśli i on nie uwierzy? Czas płynął — nie wiadomo, jak tam Groszek daje sobie radę. Nie! Ika czuła, że tym razem nie może już ryzykować, więc nadal żałośliwie szlochając wydusiła z siebie:

— Zgubiłam się, obywatelu milicjancie. Miałam... miałam tu spotkać swojego... swojego wujcia na stacji... i... i nie znalazłam ani stacji, ani wujcia, ani... ani...

Milicjant roześmiał się bardzo sympatycznie.

— Ależ, koleżanko — mówił miłym, ale i nieco zakatarzonym głosem. — Któż widział tak płakać, koleżanko?

Ika uspokajała się niby powoli, ale musiała się dobrze pilnować, by nie uśmiechnąć się zwycięsko.

„No tak — pomyślała sobie — łyzy to też bywa sposób na kłopoty z mężczyznami”. Pomyślała tak nie bez racji, bo milicjant rzeczywiście bardzo troskliwie się nad nią pochylał.

— No — mówił — już dość, dość. Zaraz znajdziemy i stację, i wujcia.

Teraz dopiero Ika uznała za stosowne uśmiechnąć się. Klasnęła nawet w ręce.

— O, wujcia, wujcia!... Wujcio — trzepała szybko — jest taki miły. Miał czekać na stacji...

— Chodźmy więc — powiedział milicjant biorąc Ikę za rękę i kierując się w stronę stacji.

W głębi ulicy mignęło tylne, czerwone światełko Kapitana jak przyjazne mrugnięcie okiem, Ika więc roześmiała się wesoło i dalej pytlowała językiem, terkocząc niczym rozpedzona maszyna do pisania:

— A nie zna obywatel milicjant mojego wujcia? On jest bardzo wesoły i... i nazywa się Eustachy Kużewik. Nie zna go pan?

— Jak się nazywa? — spytał ostro milicjant przystając w pół kroku.

— Przecież powiedziałam już — odrzekła grzecznie — Eustachy Kużewik. Pan Eustachy Kużewik.

Milicjant ujął ją jeszcze silniej za rękę i ruszył krokiem tak szybkim, że musiała niemal biec. Mimo to mówiła dalej:

— A jaki jest wesoły. Czasem dla zabawy przypina sobie takie śmieszne wąsy i... i tak paradnie wtedy wygląda.

— Przypina sobie wąsy? — spytał milicjant.

— Tak, tak — potakiwała Ika. — W rodzinie nawet nim się martwią i mówią, że on się jeszcze dochrapie.

— Dochrapie?

— Tak. Ale, obywatelu milicjancie — dziwiła się Ika — czy rzeczywiście chrapanie może komuś zaszkodzić? A wujcio taki jest paradny i miły, że aż nie wiem.

— Aż nie wiesz? — mruknął milicjant.

Na końcu uliczki błysnęły już światła stacji, gdy z daleka dał się słyszeć gwizd pociągu, Ika poczuła, że blednie ze strachu: a co będzie, jeśli oni zechcą uciec tym właśnie pociągiem?

Widocznie jednak coś podobnego musiało przemknąć przez myśl milicjantowi, bo nagle — ciągnąc Ikę za sobą — zaczął biec w stronę stacji.

Pociąg zbliżał się. Coraz wyraźniej było słyszeć turkot kół i szum parowozu. Ale do wejścia na stację zostało już tylko dwadzieścia... już tylko dziesięć... już tylko dwa kroki.

Milicjant szarpnął drzwiami. Drzwi z hukiem trzasnęły o ścianę i wpadli do środka.

Pierwszą osobą, którą ujrzeni, był Groszek. Groszek osłaniający ramieniem i peleryną małego chłopczyka (w granatowym bereciku i płaszczu, a w popielatych bucikach i spodniach) — Groszek blady i gniewnie zmarszczony, wyciągający dłoń z korkowcem ku wielkiemu, grubemu mężczyźnie, który właśnie podnosił rękę do ciosu.

I wtedy Ika wrzasnęła:

— Wujaszku! To ja!

A potem... — właśnie p o t e m, gdy Gruby zwrócił ku niej zdumioną twarz, skoczyła ku niemu. Skoczyła jak żbik, jak lampart i jak ryś. A sięgnąwszy po wielki czarny wąs zerwała go jednym ruchem — i natychmiast uskoczyła wstecz.

Mężczyzna ryknął wściekle. Wąs wionął przez powietrze. Korkowiec Groszka wystrześlił. Kobieta za bufetem pisnęła przeraźliwie — i od tej chwili wszystko zaczęło się dziać błyskawicznie.

Jeszcze głośniej od pozbawionego wąsów mężczyzny ryknął swoje „stać” milicjant, wyszarpując z kabury prawdziwy już pistolet. Obaj tamci mężczyźni rzucili się ku drzwiom na peron. Bufetowa znikła za ladą. A w niewielkiej salce rozległ się taki trzask, jakby walił się świat.

Oto pędzący za uciekinierami milicjant potknął się i pistolet wypalił mu w dłoni, a kula odbita rykoszetem zahuczała nad głowami niczym szerszeń. Sam huk strzału podziałał na chudsze z uciekających jak cios pałką. Padł na ziemię, podcinając nogi Grubemu — i obaj skłębili się na progu drzwi, w których stało kilku podróżnych.

— Ręce do góry! — krzyczał milicjant. — Ręce do góry!

Obaj oszuści podnosili się z ziemi, wyciągając do góry ręce, gdy Groszek mruknął do Iki:

— My tu już niepotrzebni. Gdzie Kapitan?

— Zaraz przy wejściu — padła równie cicha odpowiedź.

Groszek nachylił się do Granatowego Berecika.

— Idziemy do mamusi?

Malec klasnął w ręce.

— Ale... ale nie będziecie tu już więcej tak wesoło strzelać? — spytał jeszcze.

— Nie.

— To chodźmy — powiedział Granatowy Berecik. — Prędko, prędko.

I wyszli.

Gdy więc milicjant, skuwszy obu przyjaciół, Chudego z Grubym, obejrzał się w stronę drzwi, nie ujrzał nikogo. Zamrugął, jakby nie wierząc własnym oczom — a potem zwrócił się do Grubego.

— Kużewik! — powiedział ostro. — Gdzie ta wasza siostrzenica?

Gruby puchł w oczach i nieprzytomnie mrugał oczami.

— Jaka znowu... siostrzenica? Co za diabeł?

— On przecież był z siostrzeńcem — pisnęła bufetowa. — Z takim ślicznym, małym chłopcem...

Ludziom patrzącym na Grubego musiało się wydawać, że lada chwila krew tryśnie mu z twarzy. Przez długą chwilę poruszał bezgłośnie wargami. W końcu zaś wolną od kajdanek ręką rozluźnił kołnierz i dopiero wtedy wybuchnął:

— Lipa! Lipa i granda! Ja nie mam żadnej rodziny! To obywatel władza powinien wiedzieć, co za diabeł urwał mi wąsa?

Milicjant uśmiechnął się groźnie.

— Tylko ciszej, szanowny obywatelu. W sądzie i tak wszystkiego się dowiemy. A diabłów nie ma. Są tylko takie ptaszki jak wy. Jazda... na komisariacie już dawno za wami tęsknią.

Gdy wychodzili na dwór, w głębi szosy zamigotało czerwone tylne światło jakiegoś samochodu.

Zamigotało i znikło za zakrętem.

Granatowy Berecik nie miał widocznie w zwyczaju dziwić się czemukolwiek, bo bez wahania wybiegł wraz z Groszkiem i Iką ze stacyjnego budynku i równie bez wahania rozsiadł się między Groszkiem a Iką na przednim siedzeniu Kapitana.

— Bardzo lubię jechać autem — powiedział wesoło, gdy Kapitan ruszył ostro z miejsca. — Bardzo!

— To świetnie — odezwał się ze śmiechem Kapitan. — Jedziemy teraz na Miejską?

— Tak, tak, tak! — zawołał chłopczyk. — Ja tam mieszkam. Ale... — zatroskał się nagle — ...ale przecież mamusia miała przyjechać tu pociągiem. Co teraz będzie?

Dopiero teraz, wydechujący w milczeniu swe zmęczenie, niepokój i pośpiech, Groszek z Iką odzyskali równocześnie głos.

— Pociągiem? — zawołała Ika. — Ha, pociągiem?

— Mamusia? — gderał Groszek.

I Ika:

— Żadna mamusia...

I Groszek:

— Żadnym pociągiem...

A potem jedno przez drugie:

— Przecież to byli oszuści i porywacze.

— Oni ciebie okłamali.

— Oni ciebie ukradli.

— I porwali.

— Jak ty mogłeś tak pójść z obcymi ludźmi?

— Przecież to mogło bardzo źle się skończyć.

Granatowy Berecik wodził oczami od Iki do Groszka i od Groszka do Iki, a gdy umilkli na chwilę, by zaczerpnąć oddechu, powiedział bardzo potulnym głosem:

— Przepraszam. Czy wy zawsze tak razem mówicie?

Groszka i Ikę na dłuższą chwilę zatkało.

W końcu Groszek odezwał się bardzo łagodnie:

— Czekaj, Ika. To jest mały chłopczyk. Tylko spokojnie. Dobrze?

— Ufff... — westchnęła Ika. — Niech się uspokoję. No... już!

— Świetnie — mruknął Groszek. — Pozwól więc, że ja tę sprawę wyjaśnię.

I tu zwrócił się do Granatowego Berecika:

— Nazywasz się Jacek Kilar?

— Tak — przytaknął z przekonaniem chłopczyk — Jacek Kilar.

— Zgubiłeś się dziś na dworcu?

— Tak. Ale od razu mnie znalazł ten obcy wujek — uśmiechnął się Jacek.

— A więc zapamiętaj sobie, że nie był to żaden wujek, tylko oszust i porywacz, który chciał ciebie zabrać, ukraść, a może nawet zabić. Zapamiętaj też sobie, że na przyszłość musisz uważać, żeby się tak więcej nie gubić.

— A teraz już się znalazłem? — spytał Jacek.

— Akurat — burknął Groszek. — To nie ty się znalazłeś, tylko myśmy ciebie znaleźli. A wszystko mogło się źle skończyć. Ty jesteś mały chłopczyk i musisz bardzo uważać na obcych ludzi. Rozumiesz?

— Rozumiem — powiedział Jacek. — A wy nie jesteście obcy?

Kapitan zdaje się parsknął cichym śmiechem i tym razem Ika powiedziała ostrzegawczo:

— Groszek, tylko spokojnie. To jest mały chłopczyk.

— Dobrze — powiedział po chwili Groszek. — My nie jesteśmy obcy. Ja się nazywam Groszek, a ona Ika i wieziemy ciebie do domu.

— Bardzo się cieszę — powiedział cichutko Jacek.

Za oknami samochodu migąły już światła miasta. Kapitan śpieszył się. Płynął niemal nad jezdnią — z gazem wychodził z zakrętów, lekko mijał nie tylko wlokące się tramwaje, ale i wielkie lśniące limuzyny.

Ika rozczuliła się.

— My też się cieszymy, że już wracasz do swojej mamusi — powiedziała cienkim głosem — ale na przyszłość musisz uważać, żeby się nie gubić i nie chodzić tak łatwo za wszystkimi.

— Ale — odpowiedział — dlaczego? Ja przecież tak wszystkich lubię.

Groszek westchnął.

— Wszystkich lubić nie można.

— A dlaczego?

— Bo nie wszyscy są dobrzy — wyjaśnił Groszek.

Jacek kiwnął głową. Kapitan właśnie skręcał w Miejską, wyłączył gaz i zaczął hamować, gdy Jacek ujął Ikę i Groszka za ręce.

— A nie moglibyście — powiedział nieśmiało — tak zrobić, żeby wszyscy byli dobrzy?

Zapadła chwila milczenia. Groszek i Ika spojrzeli na siebie trochę nieprzytomnie. Na szczęście wyratował ich Kapitan. Zatrzymał się i zawołał:

— Miejska jeden. Proszę wysiadać, bo późno!

Groszek i Ika wysiedli wraz z Jackiem, weszli do bramy, potem weszli na pierwsze piętro.

— To tu — powiedział chłopczyk. — Przyjdziecie jeszcze kiedyś do mnie?

— Przyjdziemy, przyjdziemy — obiecali.

Potem ucałowali go, szybko zbiegli niżej i jeszcze na moment zatrzymali się.

Słychać było, jak Jacek stuka do drzwi raz i drugi, jak po chwili drzwi się otwierają — i wreszcie usłyszeli dwa okrzyki łamiące się w radości:

— Jacek! Synku! — i: — Mamusiu!

Wtedy Groszek z Iką szturchnęli się łokciami, uśmiechnęli do siebie i wybiegli na ulicę.

Gdy Kapitan ruszył z miejsca, Ika powiedziała trochę niepewnym głosem:

— Ogromnie dziękujemy, panie Kapitanie. Bez pana nie potrafilibyśmy nic zrobić.

— Masz rację, Ika — przytaknął Groszek. — Jesteśmy ogromnie wdzięczni, panie Kapitanie.

Kapitan lekko się roześmiał.

— Moi drodzy — powiedział. — Dobraliśmy się. I chyba dokonamy jeszcze wielkich rzeczy. Mam nadzieję, że będziecie mnie częściej odwiedzać.

— Ależ... — zaczął Groszek.

— Ależ już jutro do pana przyjdziemy! — krzyknęła Ika.

— Jasne! — krzyknął Groszek. — O ile tylko można.

— Trzeba — powiedział Kapitan skręcając na przyciszonych światłach w bramę ich kamienicy i zatrzymując się przed wejściem do klatki schodowej, w której mieszkali. — A

więc do jutra.

— Do jutra, do jutra...

— Dobranoc, dobranoc...

Wbiegli na drugie piętro pędem. A potem szybko i pozejmowali peleryny, rozsiedli się przed radiem, zaświecili lampy.

Za oknem szumiał deszcz i wiatr, w pokoju jednak było cicho, trochę sennie, ciepło. Zielone magiczne oko radioaparatu znów zamigotało, jakby do taktu wesołej melodii, która rozwinęła się na radiowej fali jak kolorowy i wspaniały ogon nieznanego ptaka.

Groszek i Ika milczeli. Wszystko to trochę przypominało sen, trochę dziwny film, który się wokół nich przetoczył. Byli bardzo szczęśliwi, ale i bardzo zmęczeni. Nie chciało się nawet rozmawiać.

W pewnej chwili ostro zadźwięczał dzwonek telefonu.

Ika podniosła słuchawkę.

— Halo, słucham... — powiedziała.

Tymczasem ktoś tam naprzód chrząknął, potem jakby kichnął, pomruczał do siebie „ta wilgoć, ta wilgoć” — i dopiero wtedy odezwał się zakatarzony głos — tym razem nawet całkiem miły głos:

— Tu aparat z kabiny trzeciej na Głównym Dworcu. Zostałem upoważniony przez kolegów do złożenia wam gratulacji. Osobiście też życzę wszystkiego najlepszego.

— Dziękuję bardzo — dygnęła Ika.

Zaś radio odezwało się w tejże samej chwili:

— Ja również wam gratuluję.

— Dziękuję bardzo — skłonił się Groszek.

Potem znów słuchali muzyki, patrzyli na siebie, uśmiechali się. Czuli zmęczenie i smak Wielkiej Przygody. To był piękny dzień.

Na koniec — tuż przed powrotem rodziców Iki — Groszek powiedział:

— To jednak trzeba przemyśleć.

— Co znowu? — spytała sennie Ika.

— Jak zadziałać, żeby wszyscy byli dobrzy.

Deszcz ustał i przez noc zamienił się w mgłę. Wczesnym popołudniem mgła zgęstniała tak, że trzeba było zaświecić światła w mieszkaniach. Na ulicy zaś, o dziesięć kroków nic nie było widać.

Oczywiście u jednych i drugich rodziców od razu zaczęło się narzekanie: taki to klimat, co to za klimat, w tym klimacie... i tak dalej, i tym podobnie.

Groszek wysłuchał tego naprzód u siebie w domu, potem zaś u Iki, bo ojciec Iki kładł właśnie pasjansa, podśpiewując:

*Co za klimat,*

*Co za klimat,*

*Co za dziwny klimat.*

Podśpiewywał tak na melodię „pije Kuba do Jakuba”, podczas gdy Ika kończyła rachunki. Kiedy skończyła, Groszek szturchnął ją w bok.

— Niezły klimat, co?

Ika pokiwała głową.

— Nie masz większych zmartwień?

Ale Groszek miał tym razem rację.

Powiedział:

— Przy takim klimacie jak dzisiaj można nawet w dzień pójść do Kapitana i żadne ludzkie oko tego nie zobaczy. Zobaczy czy nie?

— Tatusiu! — zawołała Ika. — Czy możemy wyskoczyć z Groszkiem na podwórze? Ojcu wychodził pasjans, więc zaśpiewał znowu na tę samą melodię:

*Ale tylko na podwórze  
Skoczyć można.  
Dalej nie!*

Ale potem powiedział bardzo wystraszonym głosem:

— Błagam was. Z drugiego piętra lepiej nie wyskakujcie. Zejdźcie zwyczajnie schodami.

— Dowcipy — mruknęła Ika.

Wyszli milcząc, bo mimo wszystko w jasny dzień, choćby nawet tak ciemny i niezwykle zamglony jak dziś, nie bardzo chciało się wierzyć w to, co było, w całą tamtą historię i przygodę, i w to, czy Kapitan dotrzyma tego, co obiecał, czy czeka na nich, czy pamięta, czy zechce pamiętać?

Drzwiczki były lekko uchylone. Ale biednie i zwyczajnie — dzięki wyrwanym zawiąsom. Mgła ściekała po szybach, karoseria przekrzywiła się na pękniętym resorze. Po prostu — sam smutek.

To już na pewno nie był on, wczorajszy Kapitan, towarzysz wierny i przyjaciel.

Spojrzeni na siebie bez słowa. A potem — żeby przynajmniej powspominać — odchyłili skrzypiące drzwiczki i zasiedli przy wygiętej, odrutowanej kierownicy.

Nie chciało się mówić nawet szeptem. Nawet myśleć nie bardzo się chciało. Za szybą kłębiła się mgła — było bardzo cicho.

Ale w tę ciszę zaczął, wpięrw niedostrzegalnie, niedosłyszalnie i z daleka, a potem coraz jaśniej i bliżej, wpływać jakiś głos. Nucący, rozśpiewany głos. Głos znajomy. Coraz bliższy, cieplejszy, weselszy głos.

Śpiewał tak, jak tylko umie śpiewać nadjeżdżający z daleka szybki, rozpędzony wóz. Akompaniował sobie gwizdem opon po asfalcie, melodią syreny, szumem wiatru.

Tak! To był On!

Śpiewał — i śpiewając powracał. W piosence było coś o szosach nadmorskich i górskich przełęczach, o szlakach pustynnych i palmach uciekających z drogi jak strusie, o smaku benzyny i błysku przecinających noc reflektorów.

I wreszcie, już całkiem blisko; zabrzmiały trzy ostatnie słowa:

— Witajcie, witajcie, witajcie!

A po tych słowach jeszcze długą chwilę było cicho — zanim Ika spytała szeptem:

— To pan, Kapitanie?

— To ja — powiedział Kapitan.

Groszek wciąż jeszcze milczał.

Kapitan był wielce wesół.

— Podróżowałem sobie nieco — mówił. — Odwiedziłem kilka starych kątów. Taką jedną śnieżystą przełęcz alpejską, zieloną zatokę Bizerty i mały kawałek pustynnej drogi koło oazy Kattara. Lubię to. Bardzo to lubię.

Groszek oprzytomniał.

— Ale — powiedział — przepraszam. Myśmy tu przez cały czas byli. Razem z panem.

I...

— Cha, cha, cha... — śmiał się Kapitan.

— Pewnie — wtrąciła grzecznie Ika — pewnie dusza pana Kapitana...

— Cha, cha, cha... — trząsał się i skrzypiał ze śmiechu Kapitan. — Zabobony! Trele-

morele i przesady! Wy myślicie, że ja sobie wędrówkę dusz urządzam? Cha, cha, cha...

— Więc? — spytał Groszek.

— Więc co? — powiedziała Ika i Kapitan nagle spowaźniał.

— Ach, moi drodzy — westchnął. — W moim wieku? W moim wieku można jeszcze wyskoczyć tu i ówdzie, wieczorem, ukradkiem. Ale podróżować? Podróżować można już tylko w pamięci.

— Ahaaa... — powiedzieli Ika z Groszkiem. A potem jedno przez drugie:

— Ale gdzie pan był?

— I kiedy?

— I w jakich krajach?

— I na jakiej pustyni?

— A co to za Bizerta?

— A jak się nazywała ta oaza?

Wreszcie zaś zdarzyło się to, co się zdarzyć musiało i oboje powiedzieli równocześnie i równiuteńko jak na komendę:

— Niech nam pan to opowie!

— Ho, ho, ho... — śmiał się znów Kapitan. — Kto was tak wytresował?

— Życie — burknęła Ika.

Ale Groszek się nie peszył.

— Niech nam pan to opowie.

— Ale co?

— Wszystko.

— Dzieci! — zawołał Kapitan. — Litości!

Ika poczerwieniała.

— Litości? Dobrze. Ale tylko nie: dzieci. Niech pan lepiej mówi nam po imieniu. Dzieci są w przedszkolu.

— Przepraszam — powiedział Kapitan. — Przepraszam — mówił dalej — już nie będę, moi drodzy. Ale... ale od czego zacząć?

— Ja zwykle zaczynam od początku — wyjaśnił Groszek.

— Dobrze. Niech będzie od początku.

Na początku była taśma — zaczął Kapitan. — Rosłem na niej ani za szybko, ani za powoli. Była to, jak sami rozumiecie, taśma fabryczna, na której montowano mnie, montowano, aż zmontowano.

Szerzej się nad tym nie rozwiode, bo właściwie wiem o całej historii tylko ze słyszenia. My, proszę was, zaczynamy się rozglądać po świecie dopiero po pierwszym solidnym łyku benzyny. A to się dzieje później, już po zejściu z taśmy.

Muszę się zresztą przyznać — choć tu, w Warszawie, brzmi to trochę... niedobrze — że rzecz działa się w Niemczech. Bo ja właśnie stamtąd pochodzę. Ale umówmy się, że porządny samochód tak jak porządny człowiek potrafi zachować swoją porządność na każdym miejscu kuli ziemskiej. Jesteście tego samego zdania? To świetnie.

Działo się to tuż przed ostatnią Wielką Wojną. Wiadomo. Nie był to dobry czas na pierwszy obrót kół dla porządnego samochodu. Ale nikt sam sobie ani miejsca, ani czasu urodzin nie wybiera. Tak, tak... Bardzo dawno to było. Wasi rodzice jeszcze wtedy na pewno szkół nie skończyli. A wy? O was nikomu się nawet jeszcze nie śniło.

Na pewno słyszeliście i wiecie, że właśnie wtedy, kiedy po raz pierwszy poczułem smak benzyny i świata, w Niemczech był szczególny urodzaj na łotrów.

Ja jednak miałem szczęście. Pierwszy człowiek, którego spotkałem, który po raz pierwszy nakarmił mnie i ożywił, był właśnie porządnym człowiekiem. Nazywał się Emil — i

w mojej rodzonej fabryce sprawował funkcję objeżdźacza nowych wozów.

Pamiętam jak dziś. Widzieliśmy się po raz pierwszy. Ale kiedy tylko dotknął kierownicy, od razu poczułem, że zna mnie do ostatniej kulki w kulkowym łożysku — że przejrzał mnie, jak to się u nas mówi, od opon do dachów. I pomyślałem sobie: „Ten to potrafi zrobić ze mnie maszynę”.

Ja zaś, jeszcze zanim usiadł za kierownicą, już miałem wielką treść. Bałem się. Po prostu bałem się kompromitacji, jakichś defektów i wad, które mógł we mnie wykryć. Byłem przecież jeszcze taki nie dotarty i nieśmiały. I wstyd — w pierwszej chwili, właśnie z tego strachu, zakrztusiłem się benzyną i motor mi zgasł.

Ale wtedy Emil powiedział tylko spokojnie:

— Odwagi, Kapitanu! Bez nerwów!

I delikatnie nacisnął starter, jakby miał but z łabędziego puchu. Od razu poczułem się lepiej. Zaskoczyłem — i pojechaliśmy.

Nie macie pojęcia, co to była za rozkosz być sobą i poznawać własne możliwości. Owych kilka, spędzonych z Emilem, pierwszych godzin życia — to była ostra szkoła. Czułem w nim przyjaciela. Ale ten przyjaciel chciał sobie i mnie uprzytomnić do ostatniego zrywu, kim właściwie jestem. Góra nie góra, potok nie potok, las nie las — jakby chciał we mnie wmówić, że wszystko potrafię. Nawet latać.

Potrafiłem wiele. Z wyjątkiem latania, oczywiście. Pod koniec obaj byliśmy bardzo zmęczeni i bardzo z siebie nawzajem zadowoleni. Wracaliśmy szosą wśród łąk i prześwietlonych słońcem lasów. Poznałem, co to jest szczęście. Emil powiedział mi kilka dobrych słów — nawet bardzo dobrych. Zaśpiewał mi nawet piosenkę.

Ale kiedy zajechaliśmy z powrotem na fabryczny dziedziniec, nagle obskoczyło nas kilku mężczyzn. Dwaj byli w mundurach z trupimi czaszkami. Po drgnieniu rąk Emila na kierownicy poczułem, że chce zawrócić. Byłem gotów. Ale bramę za nami już zamknięto. A ja jednak nie umiałem latać.

Zabrali go ze sobą. I nigdy już go nie ujrzałem.

Ale... ale zapamiętałem sobie tamte twarze i tamte mundury. Pomyślałem sobie, że choć góra z górą się nie spotka, to ja jednak może się jeszcze z nimi zobaczę. I jeszcze zapłacę.

Ogólnie rzecz biorąc, miałem szczęście. Udało mi się wyemigrować. Sprzedano mnie do Francji poczciwemu staremu lekarzowi, z którym tłukłem się w Pirenejach po małych wioskach i miasteczkach. Lekarz był samotnikiem i jedyną istotą, do której chętnie mówił, byłem ja.

Polubiłem starego doktora, on mnie lubił. Starłem się więc go nie zawieść, i nie zawiodłem go nigdy.

Ale, moi kochani, to już był czas wojny. Takiej wojny, przed którą nie można się było ukryć w żadnym zakątku ziemi.

I w końcu znów ujrzałem ludzi w szarzielonych mundurach, z trupimi główkami na czapkach.

Tym razem nie skrzywdzili mi doktora, bo zdążył się przed nimi ukryć. Ale za to zabrali mnie ze sobą. Rozumiecie? Mnie.

W pierwszej chwili postanowiłem, że nie. Nie uda się im mnie uprowadzić. Od razu na pierwszym kilometrze wytopiłem sobie świecę. Ale oni byli uparci. Wymienili świecę — i dalej w drogę.

No i tak się zaczęło. Przystąpiłem do swojej prywatnej wojny. Pokazałem, co to naprawdę znaczy złośliwość „przedmiotów martwych”.

Pędzili mnie po szosach i miastach. Ale wcale im to na zdrowie nie wychodziło. Choć nie należy to do przyjemności, psułem się co krok. A to kabel, a to cylindry, a to skrzynka biegów. Wiecie, co to znaczy sabotaż? Słyszeliście! No więc właśnie ja s a b o t o w a ł e m.

Chcieli na przykład gdzieś ukradkiem i cicho po kogoś nocą zajechać? Wtedy ja strze-



lałem spalinami jak armata albo włączałem syrenę, wyjąc niczym straż pożarna.

Próbowali kogoś gonić? Na pierwszym wirażu puszczałem wentyl — i guzik z pogoni. Albo kiedy któryś z nich chciał pojechać z jakąś swoją wybraną w sobotę za miasto, psułem się tak, że całe popołudnie spędzał leżąc pod moim podwoziem, ja zaś skrapiałem go oliwą i smarem.

Wiecie, jak mnie przewali? Przeklęty Diabeł. Prawda, że ładnie? W diabły i anioły nie wierzę, ale ta nazwa całkiem mi odpowiadała. Uzyskałem ją zaś od chwili, którą lubię wspominać.

Było to pod Marsylią. Marsylia to jest takie cudowne, białe miasto nad niebieskim morzem. Pasjami lubiłem zatrzymać się czasem na nadmorskim bulwarze, patrzeć w horyzont, a nocą w odbijające się na falach gwiazdy i rozmyślać na przykład o tym, czy na innych planetach też są samochody.

Ale mniejsza o to. Owego dnia, kiedy „oni” zaczęli nazywać mnie Przeklętym Diabłem, Marsylia lśniła w słońcu piękniej niż kiedykolwiek, lecz nie myślałem o tym. Miałem bowiem gonić jakiegoś dowódcę francuskich partyzantów, którego ci z trupimi główkami chcieli przychwycić.

Z początku byłem posłuszny. Ucieszyło mnie, że za moją kierownicą siadł najważniejszy z tych, którzy mną jeździli. Postanowiłem, że popamięta ten dzień.

Z początku więc byłem posłuszny i rozpędziłem się, jak tylko mogłem. Tamten uciekał marną starą „renówką”, która już wtedy była takim inwalidą, jakim ja teraz jestem. Nic więc dziwnego, że po kilku zaledwie kilometrach zacząłem następować jej na opony.

Czekałem na odpowiednią chwilę. Wiedziałem, że do strzelaniny nie dojdzie, bo „oni” mówili, iż chcą tamtego wziąć żywcem. Pędziliśmy nadmorską szosą: sto metrów pod górę, wiraż, dwieście metrów w dół, znowu wiraż, znowu w górę i wiraż, i w dół...

Byłem kilka metrów za „renówką”, a „oni” już zaczęli śmiać się i krzyczeć z okrutnej radości, kiedy wreszcie pokazałem, co potrafię. Otóż nagle, bez uprzedzenia, na ostrym prostym spadku, przy szybkości bliskiej setki, wpadłem w piekielnie ostry... skurcz hamulców.

Z trudem utrzymałem równowagę ślizgając się po asfalcie i wpijając weń opony tak, by zatrzymać się jak najgwałtowniej. Starłem je sobie prawie do dętki. Ale udało się.

Pytacie, co się udało? Nie tylko to, że „renówka” bezpiecznie uciekła, ale to przede wszystkim, że z tych łotrów, co we mnie jechali, zrobiła się... kasza: kierowca huknął czołem o ramę okna, drugi rozbił mi nosem szybę, tamci z tyłu skłębili się do niemożliwości i jeden z nich złamał sobie rękę na głowie drugiego.

„Renówka” uciekła, ja poza zbitą szybą byłem cały — ale po nich musiała przyjechać sanitarka. I właśnie wtedy nazwali mnie „Przeklętym Diabłem”.

Ale chwila mojej prawdziwej zemsty przyszła dopiero wtedy, kiedy ich oddział przerzuciono do Afryki, gdzie właśnie Niemcom zaczęło się już robić bardzo gorąco.

W Afryce jest zawsze bardzo gorąco. Pod afrykańskim słońcem zdaje się czasem, że osie miękną ci jak topione masło, a kierownica zamienia się w kółko z plasteliny. Niemcom jednak było o wiele goręcej niż innym, po prostu dostawali już takie baty, że nawet piach na Saharze topił się ze śmiechu na szkło.

Kiedy pierwszy raz znalazłem się w pobliżu prawdziwej bitwy, wcale mi jednak do śmiechu nie było. Bo dopiero wtedy zrozumiałem, co to jest wojna. I mówię wam... i zapamiętajcie sobie: nie ma ani pod słońcem, ani pod gwiazdami nic straszniejszego niż wojna.

Ci z trupimi główkami wcale się zresztą do bitwy nie pchali. Martwiło mnie to. Postanowiłem bowiem, nawet za cenę najwyższą, dojechać do celu. I nawet wtedy przyczaiłem się na jakiś czas — zacząłem chodzić normalnie, bez niespodzianek, zachowywałem się jak normalny, zdrowy wóz.

Aż wreszcie przyszła taka noc, kiedy we wszystkich stronach świata zaczęła trząść się i płonąć ziemia — i kiedy moim „panom” pozostała już tylko ucieczka.

Na szosie panował straszliwy tłok: ciężarówki, sanitarki, czołgi, auta sztabowe i wozy pustynne, wszystko przemieszało się jak w zbiornicy złomu. Co chwila nalot — co chwila artyleryjski ostrzał. Krzyk ludzi, jęk motorów... powiadam wam: piekło. Wiedziałem, że lada chwila mogę wylecieć w powietrze wraz z „nimi”. Ale wcale mi się to nie uśmiechało. To byłoby zbyt łatwe i w gruncie rzeczy przypadkowe. Można dla dobra sprawy zginąć. Ale o wiele lepiej jest żyć dla dobra sprawy.

Udało mi się w końcu wyskoczyć z tłoku na boczną, pustą dość drogę. I tu z miejsca ruszyłem jak wyścigowiec najwyższej klasy zawodniczej. Drogę już znałem. Pamiętałem ją zresztą lepiej niż oni. Prowadziła ona do wielkiego wzniesienia, gdzie rozwidlała się na dwie strony. W lewo wiodła droga ucieczki — na prawo zaś trakt skręcał wstecz, właśnie w stronę tych, przed którymi tak moi „panowie” uciekali. W trzasku nocnej bitwy trudno było się zresztą nawet rozeznąć w stronach świata. Ale ja czułem pod oponami drżenie ziemi i wiedziałem lepiej niż cokolwiek na świecie, skąd zbliża się przeznaczenie.

Na szczyt wzniesienia wyleciałem jak ptak — i nie dając się nawet opamiętać kierowcy, sam, na dwóch niemal kołach, popędziłem w prawo. Ominąłem światłami lewą odnogę drogi, tak że w pierwszej chwili mogłoby się wydawać, iż rozwidlenia jeszcze nie minęliśmy.

A kiedy wreszcie zorientowali się, że nie tędy droga — było już za późno. Gnałem nierównym, zrujnowanym traktem w dół, naprzeciw nadjeżdżającym kolumnom goniącej Niemców armii.

Byłem w tej chwili tylko sobą. Ale znowu byłem Przeklętym Diabłem. Droga spadała szerokim łukiem w dół — i nic, nic nie mogło mnie zatrzymać. Byłem dla czterech ludzi z trupimi główkami na czapkach pędzącym przeznaczeniem i pędzącym więzieniem.

Drzwiczki mogliby otworzyć tylko granatami. A hamulce? Tym razem zachowywałem się tak, jakbym nigdy w życiu nie miał hamulców. Ani nożnych, ani ręcznych, ani moralnych, ani w ogóle żadnych. No i zawiozłem ich w sam środek nadjeżdżającej kolumny czołgów.

Sam zahamowałem i sam grzecznie otwarłem drzwiczki. Ale zrobiłem to dopiero wtedy, kiedy otoczyli nas tamci żołnierze.

Och, moi drodzy! To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu. Wziąłem do niewoli czterech łotrów — i pomogłem ludziom w ukróceniu ich łotrów. A sam mogłem wreszcie, jako ochotnik, przystąpić do pracy po tej stronie, gdzie należało.

Od tego dnia robiłem, co tylko było w moich możliwościach. A do warsztatów zaglądałem bardzo rzadko — i jedynie wtedy, kiedy naprawę brakło mi już sił.

Kapitan znowu umilkł na dłuższą chwilę. Podwórze było ciche — tylko z daleka dolatywał niski i gęsty szum miasta, jak bardzo odległy pogłos pędzących przez pustynię wojennych kolumn.

Groszek i Ika też milczeli.

W końcu Kapitan ocknął się z zamyślenia.

— Tak — powiedział. — Wtedy właśnie zacząłem swe wielkie podróże.

Pytacie, gdzie byłem? — mówił. — Gdybym chciał opowiedzieć o wszystkim, musielibyśmy na ową opowieść poświęcić chyba cały tydzień, i to od świtu do nocy.

Miałem zdrowy organizm i obudzone przez Emila poczucie własnych możliwości. Nie próżnowałem więc, bo nie chciałem próżnować.

Najpierw pracowałem w polowym szpitalu, a zaprzyjaźniłem się wówczas ze swoim nowym kierowcą prawie tak jak z Emilem.

Był to młodziutki chłopak, wesoły i roześmiany, bardzo zakochany w swojej narzeczonej. Nazywał się Gamal. Nazywał się tak dziwnie, ponieważ był Egipcjaninem.

Miał tylko jedną wadę. Lubił za szybko jeździć. Lubił się popisywać i ścigać nawet wtedy, kiedy nie było po temu żadnej potrzeby.

Radziłem sobie z tym dość łatwo. Kiedy tylko poczułem, że Gamal z poważnej jazdy zaczyna robić zabawę — sam regulowałem szybkość. Mógł sobie naciskać gaz aż do deski, i to raz po raz. Jeśli jednak działo się to niepotrzebnie, odmawiałem posłuszeństwa i nie jechałem szybciej, niż tego wymagały przepisy czy też zwykły zdrowy rozsądek.

Dlaczego? A dlatego, że żaden porządny samochód, który ma choć kroplę oleju w skrzynce biegów, nie lubi mieć wgniecionego boku ani rozbitych zderzaków z tego tylko powodu, że kierowca ma niedostateczną ilość oleju w głowie.

Gamal zresztą zrozumiał w końcu, co się dzieje, i przestał źle się bawić.

Raz tylko zdarzyło się tak, że postąpiłem wbrew swoim zasadom — i właśnie wtedy, kiedy Gamal chciał jechać powoli, ja zacząłem ścigać się z... samolotem.

Stacjonowałem wówczas w oazie Kattara, leżącej o dwieście kilometrów na południowy zachód od Aleksandrii. W Afryce prawie już nie było Niemców, bronili się jeszcze tylko w Tunisie. Pracowało się zatem w spokojnych warunkach.

Ale, ale... czy wiecie, co to jest oaza?

Otóż oaza to jest skrawek raj, który można odnaleźć na okrutnej i groźnej pustyni.

Patrzcie tylko.

Kapitan powiedział: „Patrzcie tylko”.

I wtedy przednia szyba Kapitana, na której leżała nieruchoma, ciemnoszara ściana mgły, zaczęła się powoli rozświetlać, błyskać i lśnić niczym ekran włączonego telewizora.

— Co to jest? — szepnęła Ika.

— To jest moja pamięć i wasza wyobraźnia — powiedział Kapitan. — To jest oaza Kattara.

— Jak pięknie — szepnął Groszek.

Było bardzo pięknie. Pod czystym, jarzącym się od słońca niebem białe domki bez okien, o kopulastych dachach, i wysokie, nieruchome palmy. Przed jednym z domków stały dwa wielbłądy zapatrzone w przestrzeń, obok nich kucnął Arab w czarnym burnusie. Z drugiego domku wyszła dziewczyna z dzbanem na głowie. Miała cudowne, wielkie oczy, a szła jak tancerka.

Przed trzecim zaś, największym domkiem, stał sam Kapitan. Był czysty i lśniący, skromny, lecz elegancki.

— To ja — powiedział Kapitan. — A to Gamal.

Z domku wyszedł młody mężczyzna niosąc brezentowy worek, uśmiechnął się nie wiadomo do kogo, wsiadł do Kapitana i od razu ruszył.

Teraz obraz zaczął się już przesuwać niby na filmie.

Oto po przejechaniu przez mały zagajnik palmowy i półko czarnych traw, na którym pały się trzy osiołki, nagle za wysoką wydumą ukazało się ich oczom szarozółte, jak lwia skóra, morze piasku.

— A to jest Sahara — powiedział Kapitan.

Był to widok wielki... Też piękny, lecz i groźny.

Ciemna droga płynęła poprzez wydmy nagie i lśniące w słońcu. Nawet niebo, choć tak jasne, traciło swą barwę wobec pustynnej ciszy i bezruchu. Samo stawało się szarozółte, ciężkie i pustynne.

— Sahara? — szepnął Groszek.

— Tak — potwierdził Kapitan, a obraz pustyni powoli zatarł się, ściemniał i odpłynął w mrok.

Otóż tego dnia — mówił dalej Kapitan — mieliśmy przewieźć wraz z Gamalem pocztę z oazy do Aleksandrii, w Aleksandrii zaś odebrać szczepionki i lekarstwa dla znajdującej się w oazie stacji epidemiologicznej.

W tamtą stronę droga była łatwa. Nawet upał nie dokuczał zbytnio. Po czterech godzi-

nach byliśmy na miejscu i Gamal miał nawet czas zajrzeć do narzeczonej. Mieszkała ona na wybrzeżu. Tak więc ukryty w cieniu dwu młodych palm spędziłem rozkoszną godzinę, przyglądając się płynącym w stronę portu statkom.

Do Kattary wyruszyliśmy późnym popołudniem. I kiedy tylko wjechaliśmy znów na trakt wiodący przez pustynię, poczułem niepokój. Niebo było jeszcze całkiem czyste, ale na wysokich wydmach zaczęły się podnosić małe kłęбки piasku. Nikogo zaś, kto nieco zna pustynię, podobne zjawisko nie cieszy ani trochę.

Gamal nie zwrócił na to uwagi. Był szczęśliwy i rozmarzony. To nucił ciche piosenki miłosne, to znowu opowiadał mi o swojej dziewczynie. Lubiłem ją. Ale tym razem ani mi w głowie było słuchać o jej ustach, oczach i uśmiechu.

Czułem po prostu, jak mi z niepokojem miękną opony i zasycha w karburatorze. Czułem bowiem, że skądś, z boku, nadciąga burza. Słońce zaczęło szarzeć, wydmy powoli nabrały koloru ciemnej stali.

Gamal wiół lekarstwa. Kazano mu jechać ostrożnie i powoli. Nie śpieszył się więc. A ja — choć przeczuwałem, co się święci — na razie byłem mu posłuszny.

Musicie jednak wiedzieć, że piaskowa burza na Saharze to gorsze od wszystkich europejskich zamieci, piorunów i gradów. Niesiony wiatrem piasek ma szybkość kuli i jadowitość zmii. Wciśnie się wszędzie — do cylindrów, do łożysk, do osi... wszędzie. Przeżyłem taką burzę na otwartej pustyni tylko raz — właśnie wtedy — i wiem, że jest tylko jedna gorsza od niej rzecz: zderzenie z dziesięciotonową ciężarówką na wirażu, nad przepaścią.

Toteż kiedy poczułem pierwszy, słabszy jeszcze, ale już groźny nacisk wiatru, zacząłem śpieszyć się — mówiąc po „ludzku” — na własną rękę. Dodawałem szybkości najpierw powoli i łagodnie. W końcu jednak, zdenerwowany do ostatnich granic, szarpnąłem dość ostro.

Wtedy dopiero Gamal zbudził się z rozmarzenia. Zrozumiał, co się w naturze dzieje. Zaklął, nacisnął gaz — i ruszyliśmy naprzód co sił.

Jechaliśmy na zachód, prosto w poszarzałe, ale wciąż oślepiające słońce. Blask raził nieznosnie. Mimo to gdzieś na pięćdziesiąt kilometrów przed oazą, właśnie pod słońcem, na zachodzie, dostrzegłem samolot. Po sylwetce i po głosie motorów rozpoznałem typ maszyny używanej wówczas najczęściej do pracy sanitarnej. Takie latające pogotowie ratunkowe...

Ale właśnie ów głos bardzo mi się nie spodobał. Był bowiem głosem motorów, którym zabrakło sił. Ludzie nazywają to „defektem”. Ale sprawa jest o wiele groźniejsza niż to niewinne niby słowo.

Szczególnie na Saharze, nad którą zbiera się burza piaskowa.

Wjechaliśmy właśnie na najgorszy odcinek drogi. Gamal znowu zwolnił ze względu na bezpieczeństwo wiezionych lekarstw. A ja nagle w głosie tamtych motorów postłyszałem najwyraźniej to, co wy nazywacie wołaniem o ratunek.

Wiatr zaczął już unosić całe potoki piasku, wzbierające jak powódź. Słońce przygasło za ścianą piaszczystego deszczu.

Co miałem robić?

Wiedziałem już, że samolot będzie wkrótce zmuszony do lądowania. Za pięć, za dziesięć minut. Wiedziałem też, że stracił szybkość do tego stopnia, iż bez kraksy się nie obejdzie. Że wobec tego Gamal powinien wtedy znaleźć się jak najbliżej lądowiska, pomóc ludziom, zapobiec — o ile potrafi — pożarowi maszyny.

Tymczasem Gamal w ogóle jeszcze nie dostrzegł samolotu.

Wahałem się tylko chwilę. A potem ruszyłem w pogoń za samolotem co sił w motorze. Miałem nadzieję, że lotnik będzie usiłował lądować przy drodze.

Na wybojach popsutej jeszcze przez czołgi szosy zacząłem podskakiwać i trząść się w biegu jak wariat. Skrzynki z lekarstwami niebezpiecznie zatrzeszczały. Wścikły Gamal zdjął nogę z gazu, nacisnął hamulec — ale tym razem nic to nie pomogło. Mimo strzykania w amortyzatorach, mimo opętanych skoków i wstrząsów, mimo że piasek zaczął mi już wciskać

się pod maskę, gnałem za samolotem, który coraz wyraźniej zaczął przypadać do ziemi.

Na szczęście Gamal dojrzał w końcu samolot. Zrozumiał mnie nawet. Przestał ściągać hamulce, nacisnął gaz do deski i jedną ręką przytrzymał cenne szczepionki, leżące obok niego na siedzeniu.

Nie wiem, jak to się stało. Poczułem tylko ostry ból w pękniętym resorze. Czy to był kamień, czy wybój? Nie wiem i już nigdy nie będę wiedział. Pędziliśmy dalej. Samolot już przypadał ku ziemi na najbliższą wydmy, przechylając się groźnie na prawe skrzydło.

Na szczyt wydmy wyskoczyliśmy właśnie w tej chwili, gdy maszyna uderzając o ziemię tuż obok drogi przeokołowała raz i drugi, a prawe skrzydło pękło jak zapalka.

Z motoru podniósł się dym.

Dzielące nas od miejsca katastrofy sto metrów przebiegłem w trzy sekundy — i wszystkimi czterema kołami zaryłem się w piaszczystą zaspę.

Gamal natychmiast wyskoczył z gaśnicą ku samolotowi. W tej samej chwili z kabiny samolotu wygramolił się jakiś człowiek, ciągnąc za sobą drugiego. Ten drugi stracił chyba przytomność, bo leciał bezwładnie.

Gamal puścił strugę piany do wnętrza kabiny i smuga dymu na chwilę w ogóle znikła. Wtedy pomogłem przenieść nieprzytomnego pilota do mnie.

Gdy tylko umieścili rannego na tylnym siedzeniu, natychmiast ruszyłem. Pęknięty resor przeszywał bólem do ostatniej śrubki. Cylinder, świece i osie zacierał piasek. Ale musiałem ruszyć — mimo wszystko i wbrew temu wszystkiemu.

Odjechałem nie dalej niż dwieście metrów, gdy przez ryk i świst wiatru przedarł się głuchy huk — i błysnął płomień. To wybuchł zbiornik benzyny śmiertelnie zranionego samolotu. Wtedy zrozumiałem, że gdybym nie zdążył na czas ruszyć, zginęlibyśmy wszyscy. On zginął. Ja jednak żyłem. Dzięki mnie żyli też ludzie.

A co dalej?

Do bazy pozostało zaledwie dwadzieścia kilometrów. Wśród burzy i ciemności, walcząc z bólem, z piaskiem, z mrokiem — wlokłem się do Kattary przez całą śmiertelną godzinę. Chwilami zdawało mi się, że w miejsce smarów i olejów mam już w sobie tylko piasek — że zamiast benzyną napojono mnie jałową wodą. Zdawało mi się, że to jest ostatnie dwadzieścia kilometrów mego życia. Ale mimo to wlokłem się dalej. Gdybym ugrzązł, osłabł i poddał się, niewart byłbym nawet tego, by nazwać siebie szmelcem.

Na moim tylnym siedzeniu jęczał ciężko ranny człowiek, a musiałem ratować też Gamala i tamtego drugiego. No i co tu dużo gadać, siebie też b a r d z o chciałem uratować.

Ludzie mi zresztą pomogli. Ja im — oni mnie. Raz i drugi, kiedy już zabrakło energii, a opony bezradnie grzęzły w piaszczystych zaspach, podparli mnie własnymi ramionami. I tak w końcu dobrnęliśmy, ramię w ramię, wspomagając się wzajemnie, do Kattary.

Muszę wam zresztą powiedzieć, że gdy podjechaliśmy pod pierwszą kępę, Gamal mnie ucałował — w kierownicę. Ale zrobił to, mówiąc między nami, za wcześniej, bo ze wzruszenia rozkleiłem się całkiem. Stałem na amen.

Byliśmy jednak już uratowani. Ranny pilot, lekarz, Gamal — i ja.

Po tygodniu zaś zaczęliśmy nawet po trochu o tym wszystkim zapominać. Jeden pilot chodził po oazie skrzywiony i z obandażowaną głową. Gamal natomiast dostał order — a ja dostałem świetny, nowy resor.

Szczerze się zresztą przyznam, że osobiście wolę dobry resor od najlepszego orderu.

Tu Kapitan się zaśmiał.

— Tak — powiedział — wolę być reperowany niż dekorowany. A wy?

Ika z Groszkiem spojrzeli po sobie.

— My — powiedziała nieśmiało Ika — nie byliśmy jeszcze ani reperowani, ani dekorowani.

Ale Groszek potrząsnął głową.

— A dentysta?

— Co dentysta?

— No... — mruknął Groszek — ...tego... a reperowanie zębów?

— To ja — powiedziała stanowczo Ika — wolę być jednak dekorowana niż reperowana.

— Masz rację — powiedział Groszek.

Kapitan aż się zakaszłał z uciechy. Gdy zaś wykaszłał już się i wyśmiał do syta, zaczął mówić dalej:

— Wkrótce po tym urlopie zdrowotnym i zmianie resora musiałem się pożegnać z Gamalem. Byłem jeszcze na jego ślubie, ale już w tydzień po weselu przeniesiono mnie do służby w misji Czerwonego Krzyża.

Było to równo piętnaście lat temu. Miałem jechać, jak już wam mówiłem, przez Persję i Afganistan do Indii. Kiedy...

I tu nagle Kapitan umilkł.

W mgłę i mroku zaś tuż obok Kapitana rozległ się nieco niespokojny głos:

— Groszek! Ika! Gdzie jesteście?

Kapitan milczał. Drzwiczki na oderwanych zawiasach smętnie zwisały. Było zimno.

— Tu jesteśmy, tatusiu! — krzyknęła Ika wyskakując z auta.

Groszek zdążył zasunąć za sobą drzwiczki, zanim ukazała się przed nimi postać ojca Iki.

— Co wyście właściwie robili? — spytał. — Podróżujecie może tym gratem?

— Trochę — mruknęła Ika.

Ojciec roześmiał się.

— I gdzieżeście zajechali? Do Afryki?

Z ojcem Iki można było rozmawiać. Toteż Groszek też się roześmiał.

— I owszem — powiedział.

A Ika:

— Byliśmy w oazie...

— W oazie Kattara — mówił Groszek. — Mniej więcej dwieście kilometrów na południowy zachód od Aleksandrii.

Ojciec pokiwał głową.

— Kattara? To chyba pomyłka. Przy takiej pogodzie musieliście raczej zawędrować do oazy kataru.

— Nie! Kattara!

— Kattara? — zastanowił się ojciec. — Jest coś takiego?

— Jest! — powiedział Groszek.

Już w windzie ojciec powiedział z fałszywym współczuciem do Iki:

— Moje biedne dziecko. Matka jest jednak zdania, że nie Kattara, tylko właśnie... kataru. Przygotowała już aspirynę. Kwiat lipowy też.

I mrugnął do Groszka.

— Trudno — powiedziała Ika. — Jak się ma matkę lekarza...

— Dobranoc — ukłonił się przed swymi drzwiami Groszek.

— Dobranoc. Wpadnij jutro — powiedzieli równocześnie ojciec i Ika.

— Wpadnę — ukłonił się jeszcze raz Groszek. — Musimy to przemyśleć.

— Co? — spytał ojciec. — Aspirynę?

Ale tym razem nie otrzymał odpowiedzi, bo mama Iki miała coś do powiedzenia o panującej w jesieni grypie. A najśmieszniejsze było to, że ojciec też musiał zażyć aspirynę.

Na wszelki wypadek.

## PRZYGODA DRUGA

We wtorek jeszcze była mgła. W środę trochę padało. W czwartek spiker zapowiedział przez radio, że „nad Polskę nadchodzi od południowo-zachodniej strony wielki wyż barometryczny o tendencji stałej” — i matka Iki zapowiedziała, że na sobotę i niedzielę dorośli jada do Kazimierza nad Wisłą.

A w piątek naprawdę zaczęła się złota pogoda. Może nawet doszłoby do rozmowy na temat: dlaczego tylko dorośli mają prawo do wypoczynku? — gdyby Groszek nie przypomniał Ice, że pod nieobecność rodziców będą mieli więcej czasu na rozmowę z Kapitanem. Wobec tego Ika zrobiła się bardzo grzeczna, co ojca trochę zaniepokoiło.

— Co ona taka grzeczna? — powiedział w zamyśleniu.

— Skończ artykuł — odpowiedziała matka Iki — bo znowu zatrujesz sobie wyjazd. I nie tylko sobie.

— To jednak trzeba przemyśleć — mruknął ojciec, skończywszy artykuł. I nie mógł przez dłuższą chwilę zrozumieć, z czego żona i córka się śmieją.

W sobotę wszystko zostało ustalone: kto kim ma się opiekować, co wolno, a czego nie wolno, gdzie obiad, a co na kolację.

Ojciec Groszka przypomniał mu, że w gruncie rzeczy uważa już syna za mężczyznę — a matka powiedziała Ice, że mężczyznami zawsze trzeba się opiekować.

Ojciec Iki pozostawił córce „dodatkowy fundusz dyspozycyjny” (to znaczy pieniądze na krem i poranek kinowy) — mama Groszka zrobiła bezy i trochę pomartwiła się nad „biedactwami”.

Ale Groszek powiedział:

— Pracujecie ciężko i należy wam się odpoczynek także od nas. Już to przemyślałem.

Wtedy wszyscy zaczęli się śmiać, a najgłośniej ojciec Iki.

W sobotę, zaraz po obiedzie, dorośli wyjechali, a Ika z Groszkiem poszli naprzód na spacer do Łazienek.

W Łazienkach była złota jesień, wśród której pływały łabędzie, a całkiem małe dzieci krzyczały w wózkach jak kawki, Ika karmiła ryby, a Groszek łabędzie.

Około czwartej zawrócili do domu — oczywiście z jedną tylko myślą: o Kapitanie.

Od poniedziałku bowiem składało się tak, że nie zdołali zajrzeć do Kapitana. Nie bardzo nawet mogli znaleźć czas na rozmowę o tym wszystkim. A było jasne, że jedno bez drugiego nie powinno odwiedzać przyjaciela. Tak się umówili i umowy dotrzymani, chociaż to wcale nie było najłatwiejsze. Jak to nazwać?

— To się nazywa lo-jał-ność — oświadczył Groszek z pewną ostrożnością, bo czasem mu się wymawiało -„jolałność”.

A teraz wracali ze spaceru, koło pomnika Chopina, i Groszek znowu powiedział swoje:

— To trzeba przemyśleć.

— Co?

— Dlaczego on n a s właśnie wybrał?

— Kapitan?

— Tak.

Przeszli uważnie w poprzek Alei, a potem Ika powiedziała:

— Jest jeszcze jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

— Jaki?

— Można Kapitana po prostu o to zapytać.

— Aha! — powiedział Groszek i dodał z niezadowoleniem: — Ty jednak lubisz sobie

ułatwiać życie.

— Nie — śmiała się Ika.

— A co?

— Ja tylko nie lubię go sobie utrudniać.

— Akurat.

— Mówisz „akurat” — powiedziała Ika — bo wiesz, że mam rację. Zawsze mówisz „akurat”, kiedy wiesz, że mam rację. Mój tato też zawsze mówi „akurat”, kiedy mama ma rację.

— Akurat.

— A widzisz — powiedziała. — Mam rację?

Przeszli dwie ulice w milczeniu. Groszek udawał, że gwizdże, Ika obejrzała wystawę z sukniami balowymi, potem wystawę księgarń. W końcu Groszek powiedział takim głosem, jakby mu ktoś od dziesięciu minut gderał nad głową:

— Oj, masz, masz. No i co z tego?

— Nic — uśmiechnęła się grzecznie Ika. — Bardzo mnie to cieszy.

— Mnie też — burknął Groszek.

— A więc co? Zapytamy go?

Ale musiała jeszcze dwa razy to powtórzyć, zanim odpowiedział:

— Zapytamy.

Na podwórzu jednak przy Kapitanie stał Lokator z Pierwszego Piętra i przyglądał się samochodowi.

— Znowu pech — mruknęła Ika. Ale Lokator z Pierwszego Piętra ujrawszy ich uśmiechnął się bardzo serdecznie.

— Moje uszanowanie — powiedział. — Bardzo się cieszę, że państwa widzę. Mam pewną prośbę.

— My również — uklonił się Groszek, Ika tylko dygnęła. A Lokator z Pierwszego Piętra wpięty potarł nie dogoloną brodę, potem zaś wskazał na Kapitana.

— Postanowiłem go, proszę was, wyremontować — powiedział.

Stał tyłem do samochodu, więc nie mógł widzieć tego, co ujrzeli Groszek z Iką: jak Kapitan zadrzał z radości i na przemian wyrzucił z obu stron strzałki kierunkowe.

— Jeszcze mi chyba trochę posłuży — powiedział jak zawsze miły i jak zawsze nie dogolony Lokator z Pierwszego Piętra. — Boję się tylko...

Groszek i Ika grzecznie czekali.

— Boję się tylko — powtórzył zafrasowany Lokator z Pierwszego Piętra — że zanim oddam go do remontu, to dzieciaki z drugiego podwórza rozdziobią mi go na kaszkę manę. Dzisiaj przyłapałem czterech, jak rozkręcali koło.

— Skandal! — krzyknęła Ika.

— Rzeczywiście — mruknął groźnie Groszek. — Kto im pozwolił?

— Ja nie — powiedział Lokator z Pierwszego Piętra. — Ale właśnie... Ale właśnie — powtórzył trąc brodę — chciałbym w a s o coś poprosić.

— Słucham — powiedział Groszek, a Ika tylko dygnęła.

— Czy nie moglibyście się nim zaopiekować przez dwa najbliższe dni? Mam bardzo pilną pracę i nie mogę co chwila zbiegać na podwórze. Tylko czy wy moglibyście...

— Ależ moglibyśmy! — krzyknęła Ika.

— Oczywiście! — krzyknął Groszek.

— Jasne!

— Jak drut!

— Co? — spytał ogłuszony krzykiem Lokator z Pierwszego Piętra.

— Popilnować! — powiedzieli równocześnie Ika i Groszek.

— Ach, szanowni państwo! — zawołał Lokator z Pierwszego Piętra. — Wdzięczność



ma będzie bez miary.

— Przepraszam — powiedziała surowo Ika. — Czy pan sobie z nas żartuje?

— Ależ... ależ nie! — zawołał przestraszony Lokator i powtórzył, że n a p r a w d ę będzie niezwykle wdzięczny za opiekę i starania, i prosił, by posiedzieli sobie w środku Kapitana i — jeśli tylko zechcą — podróżowali, dokąd zechcą, a przy tym Groszkowi uściśnął rękę trzy razy, Ice dwa razy i w końcu roztapiając się w uśmiechach, wdzięcznościach i wzruszeniach poszedł sobie do domu.

— Uff! — westchnęła Ika z ulgą. A gdy Lokator z Pierwszego Piętra znikł w klatce schodowej, objęła maskę Kapitana i uściśnęła ją z całej siły.

— Tak się cieszę, Kapitanie.

— Ja też — powiedział Groszek.

— A ja najwięcej — mruknął głos Kapitana. — Ale... ale uwaga!

— Cze... — zaczął Groszek. Chciał powiedzieć: „czemu”, rozejrzawszy się jednak, urwał. Pytanie było już niepotrzebne. W wejściowej bowiem bramie ukazało się, jak na zamówienie, czterech chłopców z sąsiedniego podwórza. Trzech młodszych i mniejszych, a jeden starszy i większy od Groszka.

— Ty, Ika, tylko się nie wtrącaj — powiedział Groszek.

— Zobaczymy — powiedziała Ika.

Czterej chłopcy przeszli powoli podwórze udając, że nikogo nie widzą. Prowadził ich chudy blondyn o niewinnej twarzy, który dopiero na dwa kroki przed Groszkiem przystanął i bardzo się niby dziwił.

— Dzień dobry — powiedział Groszek. — O co chodzi?

Blondyn naprawdę się zdziwił, że powiedziano mu „dzień dobry”. To go speszyło — i sam coś bąknął pod nosem.

— O co chodzi? — zapytał Groszek.

Blondyn zaczął być zły.

— Twoje auto?

— Nie.

— To zmywaj się w podskokach!

— Nie zmywaj się ani w podskokach, ani bez podskoków — powiedział zimno Groszek.

— Nie?

— Nie!

— A dlaczego nie?

Groszek pokiwał głową. A potem uśmiechnął się.

— Bo proszono mnie, żebym popilnował auta przed dziećmi i złodziejami.

Blondyn otworzył usta. Zamknął — i znowu otworzył. Wpierw zrobił się bladoczerwony, potem całkiem czerwony.

— Kto jest dzieciak, a kto złodziej? — spytał zaciskając pięści.

— Dzieciak jest ten — powiedział Groszek — kto odkręca koło po to, żeby je zepsuć. A złodziej jest ten, kto to robi, żeby sobie koło poderwać. Jasne?

— Tobie się zaraz ciemno zrobi! — wrzasnął blondyn.

— Spokojna głowa — powiedział Groszek. — Czterech na jednego czy jeden na jednego?

Blondyn zaśmiał się.

— Won — powiedział do trzech mniejszych piegowatych chłopców. — Sam go załatwię. „Dzień dobry” mówi. Pękołek i blamdzia!

— Chwileczkę — powiedział Groszek. — Kto pierwszy leży na ziemi, ten przeprosza i zmywa się w podskokach. Dobra?

— Dobra! — krzyknął blondyn całkowicie już czerwony.

— Groszek — powiedziała Ika — tylko nie skrzywdź dziecka.

— Nie skrzywdzę — mruknął Groszek w tej właśnie chwili, kiedy blondyn wrzeszcząc coś niezrozumiałego rzucił się nań z pięściami.

Ale blondyn zaraz umilkł. Zamiast bowiem trafić pięścią w nos Groszka, trafił w powietrze. Równocześnie coś złapało jego drugą rękę i wykręciło ją, coś chwyciło go w pól, przerzuciło w powietrze, przekoziółkowało, gruchnęło o ziemię i nadal wykręcając rękę klęknęło mu na plecach. Mówiąc zaś ściśle, był to tylko Groszek, który przykląkł nad leżącym i trzymał go przy ziemi, nie dając się poderwać.

— Miało być jeden na jednego — krzyknęła Ika i trzech chłopcy cofnęli się o krok.

— Mów: przepraszam — powiedział Groszek.

— Co to było? — stęknął blondyn.

— To było dżudo — wyjaśnił grzecznie Groszek. — Mów: przepraszam.

Milczenie. W końcu po czwartej daremnej próbie wyszarpięcia ręki blondyn coś szepnął.

— Nie słyszę — powiedział Groszek.

— Przepraszam.

— Aha! Czy jestem dla ciebie pękołkiem? — spytał jeszcze Groszek.

— N... nie.

— A może jestem blamdzią?

— N... n...nie!

— Bardzo mnie to cieszy — powiedział Groszek i puścił blondyna. — A teraz zmywaj się stąd w podskokach.

Blondyn wstał, nie spojrzawszy nikomu w oczy, odwrócił się i poszedł w stronę bramy. Za nim powoli i ze smutkiem szli trzech piegowaci malcy.

— Hej! — krzyknął Groszek. — Do widzenia!

Ale oni nawet się nie odwrócili.

— Bardzo ładnie — powiedziała Ika.

— Brawo! Brawo! Brawo! — zawołał Kapitan. — Gratuluję!

— Bo my — powiedział Groszek na pozór niedbale — nie znosimy chuligaństwa, Kapitanie!

— Ciekawe — zaśmiał się Kapitan. — Wydawało mi się, że ktoś, kto stale musi coś przemyśliwać, w takich sprawach nie potrafi dawać sobie rady.

— Nie te czasy! — mruknął Groszek.

Potem rozsiedli się wygodnie na przednim siedzeniu i wszyscy troje przez chwilę pomilczeli. Tak jak zazwyczaj, po długim niewidzeniu, lubią sobie wspólnie pomilczeć prawdziwi przyjaciele.

W końcu Ika odezwała się pierwsza:

— Chcieliśmy o coś pana zapytać. I coś panu powiedzieć.

— Słucham — mruknął Kapitan.

— Właśnie my... — zaczął Groszek.

Ale Ika nie dopuściła go do głosu.

— Po pierwsze — powiedziała — musimy powiedzieć, że było nam smutno bez pana. My nie lubimy takich różnych słodkich, czułych słówek. Co, Groszek?

— Człowiek woli jedno słodkie ciastko od tysiąca słodkich słówek — powiedział Groszek.

— Właśnie — mówiła Ika. — Ale musimy panu powiedzieć, że cały dzień był nic niewart i całkiem popsuty przez to, że nie mogliśmy pana odwiedzić ani porozmawiać z panem.

— Otóż to! — przytaknął Groszek.

— Po drugie — mówiła Ika — chcieliśmy spytać, dlaczego i z jakiego właściwie powodu w ł a ś n i e z nami pan się zaprzyjaźnił, właśnie nam pomógł w odnalezieniu Jacka i właśnie nam opowiadał o sobie?

— Otóż to! — powtórzył Groszek.

— A po trzecie — mówiła Ika — co było dalej? Którędy pan jechał do Indii? Jak wyglądają Indie? Którędy pan do nas przyjechał? Skąd się pan wziął w Warszawie? Gdzie pan jeszcze był i...

— ...i weź trochę na wstrzymanie — przerwał jej Groszek.

Kapitan najpierw hucznie się zaśmiał. A zaraz potem przeprosił:

— Bardzo przepraszam. Ale od chwili, w której się dowiedziałem, że nie pójde jeszcze na śmietnik, co chwila ogarnia mnie chęć do śmiechu. To zrozumiałe, prawda?

— Prawda — przyznał Groszek, Ika natomiast zawzięcie milczała.

— Przepraszam cię, Ika — powiedział Groszek.

— Ach, nie szkodzi. Miałaś rację.

Kapitan znów się zaśmiał.

— Zmieńmy temat. A raczej wróćmy do tematu. A więc...

— A więc? — spytali już oboje.

— A więc — mówił Kapitan — po pierwsze, muszę wam wyznać, że ja też miałem popsuty tydzień. Byłem nawet trochę niespokojny, czy nie zapomnieliście o mnie.

— Ależ... — zawołali.

— Wiem, wiem — potakiwał Kapitan — teraz wiem, że po prostu się nie składało. Czasem się nie składa.

— Otóż to! — mruknął Groszek.

— Po drugie — mówił już bardzo serio Kapitan — zaprzyjaźniłem się z wami, bo po prostu doszedłem do przekonania, że warto. Nie nazwaliście mnie starym gratem, lecz dzielnym weteranem. Nie rozkręcaliście mi kół, tylko zwróciliście się o pomoc w ważnej sprawie. Kiedy doszło do trudnej próby, zachowaliście się jak należy. Wykazaliście rozum tam, gdzie trzeba było myśleć, a odwagę tam, gdzie trzeba było ryzykować. To bardzo ważne. Mogą przecież się zdarzyć o wiele trudniejsze problemy.

— To znaczy: sprawy — zwrócił się do Iki Groszek.

Ika uśmiechnęła się bardzo słodko. Aż za słodko.

— Czy nie chciałaś może powiedzieć: zagadnienia? — spytała.

— A po trzecie — przerwał grożącą kłótnię Kapitan — jest już późno i czas na kolację.

— To są skutki twego gadulstwa — mruknął Groszek, ale Ika na szczęście nie dosłyszała.

— A po kolacji? — spytała.

W głosie Kapitana zabrzmiała jakaś niezwykajna nutka.

— Po kolacji... chyba porozmawiamy — powiedział. — Ale dopiero jak się ściemni.

Ika odgrzała kolację, a Groszek nastawił radio i nakrył do stołu. Kiedy pili herbatę, skończyła się właśnie audycja muzyczna i spikerka powiedziała:

— Tu Warszawa. Podajemy dziennik wieczorny.

— Uff — westchnęła Ika — zmień falę.

— Nie ma mowy — powiedział Groszek. — Człowiek powinien wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Ika wzruszyła ramionami tak, jak zazwyczaj robiła to mama Groszka podczas różnych dzienników — natomiast Groszek przesiadł się na fotel koło radia z taką miną, jaką na podobne okazje przybierał zwykle ojciec Iki.

— Ze świata — zaczęła spikerka

Na świecie, jak to na świecie.

Spikerka opowiedziała o tym, co i w związku z czym stwierdził jeden amerykański minister, a także, co o tym stwierdzeniu myślą inni zagraniczni ministrowie.

Potem było kilka bardzo trudnych słów o nowym odkryciu dwóch czeskich i jednego szwedzkiego profesora w...

— W czym? W czym? — spytała Ika.

— W dziedzinie biochemii — powiedział Groszek.

— Co to jest?

— Ciiicho — zdenerwował się Groszek nie zwracając niby uwagi na uśmiech Iki, który nie bez racji mówił: tyle wiesz o tej biochemii, co i ja.

Ale zaraz potem spikerka podała następną wiadomość:

— Od kilkunastu godzin nad środkową Afryką szaleją szczególnie silne huragany i burze piaskowe.

— Burze piaskowe? — spytała Ika. — Takie jak...

— Ciii... — rozzłościł się już szczerze Groszek.

— Powszechnie zaniepokojenie — mówiła dalej spikerka — budzą losy pasażerskiego samolotu francuskich linii lotniczych, który wystartował dziś z lotniska w Brazzaville i od chwili wejścia w strefę burzową nie daje znaku życia. W samolocie, wraz z załogą, znajdowało się siedemdziesiąt osiem osób. Poszukiwania trwają.

Po sekundzie przerwy spikerka podawała już następną wiadomość, ale Groszek przestał słuchać. Wstał.

— Siedemdziesiąt osiem osób — powiedział.

— Jak się nazywało to lotnisko?

— Brazzaville.

— A gdzie to jest?

Groszek wyszedł na chwilę do pokoju z książkami — i wrócił z atlasem. Odszukał wielką mapę Afryki i bez słowa rozłożył ją na stole. Oboje pochylili się nad żółto-brązowo-zielonym kontynentem, obrzeżonym błękitnymi plamami oceanów i mórz.

— Tutaj — powiedział Groszek — Brazzaville... To jest we Francuskiej Afryce Ekwatorialnej.

— Ekwatorialnej? — zdziwiła się Ika.

— Tak... Ekwatorialna to znaczy równikowa.

— Dlaczego?

— Oj, dlaczego, dlaczego! — parsknął ze złością. — Bo ekwator to znaczy równik.

Ika oczywiście obraziła się.

— Dobrze, dobrze... a co to znaczy biochemia?

Wzruszył ramionami.

— Wiem, ale nie powiem.

Ika chciała się bardzo szyderczo roześmiać, ale zamiast tego spytała:

— A to co znowu?

— No wiecie! — powiedział Groszek. — Czkawki dostała czy co?

Istotnie. Było się czemu dziwić. Bo spikerce, która teraz zaczęła podawać wiadomości z kraju, zaczął się jakoś dziwnie przerywać tekst. Co kilka słów, wypowiedanych wyraźnie, odzywał się z głośnika wysoki, regularny pisk.

Było to nawet śmieszne.

— Jak podaje nasz kielecki korespondent — rozlegało się z głośnika — fabryka... pi-pi-pi, paa-paa-paa, pi-pi-pi, z nadwyżką. Wykonano... pi-pi-pi, paa-paa-paa, pi-pi-pi... oraz grzejników elektrycznych.

— Hi, hi, hi — roześmiała się Ika — ...pi-pi-pi... z nadwyżką!

Ale Groszek nagle bardzo spoważniał.

— Czeka! — krzyknął. — To jest...

I urwał.

Spikerka już umilkła. Za minutę miał się zacząć koncert symfoniczny. A tymczasem

tamten szybki sygnał nie ustawał: pi-pi-pi... paa-paa-paa... pi-pi-pi. I znowu: trzy krótkie dźwięki, trzy długie, trzy krótkie.

— Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie... — szepnęła Ika. — Co to jest?

— To jest — powiedział Groszek — ...SOS! Rozumiesz? SOS!

— SOS?

— Tak.

Patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami.

— Ktoś wzywa pomocy! — powiedział Groszek.

— Ktoś woła o ratunek — powtórzyła cicho Ika.

Sygnał odezwał się jeszcze tylko raz i umilkł.

Z głośnika zaś przemówiła przyjemnym, łagodnym głosem spikerka z Katowic:

— Rozpoczynamy koncert symfoniczny z udziałem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Jana Krenza, weźmie w nim udział skrzypaczka Wanda Wiłkomirska. Jako pierwszy punkt programu usłyszymy, w wykonaniu orkiestry, uwerturę do opery Wolfganga Amadeusza Mozarta „Wesele Figara”.

Po krótkiej chwili rozległa się muzyka. Było tak, jakby cały tłum skrzypiec, śpiesząc się bardzo i śmiejąc serdecznie, wbiegł po szklanych schodach w górę.

Groszek i Ika tym jednak razem zapomnieli o muzyce.

Ktoś przecież wzywał pomocy. Ktoś sygnałem „SOS” wołał o ratunek.

Gdzieś na morzach i lądach szalały burze. Oceanami płynęły góry lodowe grożąc losom okrętów. Na samoloty czyhała mgła. Nad środkową Afryką wybuchły huragany i właśnie tam zaginął wielki samolot pasażerski.

Patrzyli na siebie w milczeniu. To już nie była sprawa z małym chłopczykiem, który zgubił się na dworcowym peronie. Oto przed chwilą przypłynął ku nim rozpaczliwy sygnał — usłyszeli go jak krzyk o pomoc we mgle.

Kto to jednak wołał? Skąd? Dlaczego? — Nie wiadomo.

Ice pociemniały oczy. Ale tym razem Groszek wiedział, jak postąpić.

Zmarszczył surowo czoło i zamknął atlas.

— Narzuć płaszcz — rozkazał krótko. — W każdym razie musimy poradzić się Kapita-  
na.

Ika skinęła głową i podbiegła do okna. Ale głos jej od razu się załamał.

— Groszek — powiedziała — Groszek. On nie daje żadnych znaków. To na nic.

— Żadne „na nic”! — krzyknął.

Zacięła tylko wargi i, nim on zdążył wyłączyć radio, pogasić lampy i porwać płaszcz, już była na schodach.

Dopędził ją dopiero w bramie.

A więc jesteście — powiedział Kapitan.

— Jesteśmy — powtórzyli.

— Siadajcie — mruknął uchylając drzwiczki. Jego głos był bardzo poważny.

— Usłyszeliście sygnał? — spytał.

— Tak.

— Zrozumieliście go?

— Tak — szepnęła Ika.

Ale Groszkowi to nie wystarczało.

— Usłyszeliśmy i zrozumieliśmy — powiedział ostro. — Ja znam alfabet Morsego i oboje wiemy, co to znaczy SOS. Ale nie wiemy, dlaczego akurat m y ś m y ten sygnał usłyszeli? I kto go nadał? I skąd? I czy ten sygnał był właśnie do nas skierowany? My chcemy...

— My chcemy wiedzieć — przerwała mu Ika.

I teraz ona mówiła:

— Przecież to straszne: słuchać czyjegoś wołania o pomoc i nie wiedzieć kto, dlaczego, skąd? I nie móc przyjść z pomocą! Ani zaradzić! Chcemy wiedzieć...

— Chcemy wiedzieć... czy to do nas? — krzyknął w końcu Groszek.

— Do was — powiedział Kapitan.

Spodziewali się właściwie takiej odpowiedzi. Ale kiedy padła, kiedy została wypowiedziana głośno, po prostu przytłoczyła ich. Nagle zabrakło tchu w gardle, a wszystkie myśli rozpiezchły się, jakby rozpedził je mocny wiatr.

— Ale... dlaczego? — spytał w końcu szeptem Groszek.

— Dlaczego właśnie do nas? — powtórzyła Ika.

— Bo tylko wy — odpowiedział Kapitan — możecie pomóc tym, którzy potrzebują pomocy.

— Jak to: my?

— Cóż my możemy pomóc?

— Słuchajcie — rzekł surowo Kapitan. — Nikt was do niczego nie będzie zmuszał. To jest sprawa, nad którą silni i dorośli ludzie zawahaliby się także. Ale właśnie tym razem oni nic nie potrafią zrobić. Bo tylko wy możecie coś zdziałać.

— Ale jak? — powtórzył gorączkowo Groszek. — I w ogóle kto to...

— Kiedy usłyszeliście sygnał? — przerwał mu Kapitan.

— Podczas dziennika wieczornego!

— Zaraz potem, jak była wiadomość o burzach nad Afryką!

— I o zaginionym samolocie!

— A więc właśnie — powiedział Kapitan. — To właśnie ten samolot.

Tym razem nie odpowiedzieli nic.

Już nic nie rozumieli. To już było absolutnie zbyt dziwne i zawikłane, by dało się cokolwiek powiedzieć. Groszek chciał spytać: aż w Afryce? — a Ika: tak strasznie daleko? — ale po prostu zabrakło im słów.

— Na samym początku burzy uderzenie piorunu zniszczyło radiostację tego samolotu niemal całkowicie — mówił Kapitan. — Potem nastąpiła awaria jednego z silników. Samolot lecąc nad pustynią został przez burzę zniesiony daleko z kursu. W końcu zaś musiał wylądować, uszkadzając podwozie. Na szczęście, pasażerom ani załodze nic się nie stało. Ale sytuacja jest bardzo groźna. Burza trwa. Samolot nie ma zapasów wody ani jedzenia. A ponieważ został zniesiony z trasy, ludzie nie wiedzą, gdzie go szukać. Szukają ich już dwanaście godzin i ciągle w złych stronach. A taki samolot na Saharze to jak ziarnko piasku na ogromnym placu. Załoga zaś nie jest w stanie nikogo zawiadomić o miejscu lądowania.

— Przecież słyszeliśmy sygnał — odezwał się Groszek.

— Tylko wy — powiedział Kapitan. — I tylko dlatego, że my, wy i ja jesteśmy w przyjaźni. Nikt inny z ludzi go nie pochwycił ani nie usłyszał.

— Dlaczego?

Kapitan lekko odchrząknął, jakby chciał ukryć wzruszenie.

— Radioaparat tamtego samolotu — powiedział — został bardzo ciężko... właściwie śmiertelnie ranny. Mimo to spróbował, kosztem największego wysiłku, nadać jeszcze kilka ostatnich sygnałów. Nie był już w stanie ani w mocy, zawiadomić ludzi. Ale chciał przynajmniej nam, tym maszynom, które ludziom służą i są ich przyjaciółmi, dać znać, że i on, i cały samolot starali się do ostatka wypełnić swój trudny obowiązek.

A ponieważ — ciągnął dalej Kapitan — ponieważ w naszym maszynowym świecie stało się już wiadome, żeście się ze mną umieli nie tylko zaprzyjaźnić, ale i porozumieć, skierowano ten sygnał tutaj.

— Kto skierował?

— Niektóre anteny radiowe. Jak na przykład anteny radiostacji z Kapsztadu, Paryża,

Oslo i Kijowa. Te, które pochwyliły sygnał, by przekazać go dalej. Przekazały go zatem do Warszawy, a tutaj ja doradziłem waszemu radiu, by go wam podało.

— Jak to się stało? — spytała zdumiona Ika.

— Mamy swoje sposoby — mruknął Kapitan — my, maszyny zwyczajne, utrzymujemy szerokie stosunki międzynarodowe. W przeciwieństwie do maszyn wojennych, które...

— Ja przepraszam — przerwał Groszek.

Głos mu drżał i łamał się z przejęcia.

— My usłyszeliśmy sygnał i zrozumieliśmy go. Przybiegliśmy do pana od razu, bo zrozumieliśmy także, że to coś bardzo ważnego. I... jesteśmy gotowi zrobić wszystko! — wybuchnął. — Prawda, Ika?

— Tak — powiedziała spokojnie i wyraźnie Ika.

— Ale — pytał w wielkim wzburzeniu Groszek — ale co my właściwie mamy zrobić?

Kapitan znowu odchrząknął.

— Tak — szepnął — wiedziałem.

A potem:

— Dziękuję wam — powiedział głośno. — Nie zawiedliście mego zaufania.

Ika podniosła głowę.

— To my dziękujemy — oświadczyła — i postaramy się nie zawieść tego zaufania.

Groszek spojrział na nią nie bez szacunku. Ale nadal okazywał niezadowolenie.

— Wszystko pięknie, ładnie — burknął — tylko że czas ucieka, a pan nas przecież do Afryki nie zawiezie.

Od razu zrobiło mu się przykro. To nie było 1 o j a 1 n e wobec Kapitana. Ale Kapitan nie obraził się.

— Słusznie — przytaknął — trzeba się śpieszyć.

— A więc?

— A więc, po pierwsze: musicie sobie uprzytomnić, że tym razem to już będzie ogromnie poważna sprawa. Jesteście jeszcze bardzo młodzi i...

— We dwójkę — powiedziała ostro Ika — jesteśmy już prawie pełnoletni. I już się zastanowiliśmy.

— No dobrze. Ale przecież jeszcze nic nie wiecie — zaśmiał się Kapitan.

— To nie nasza wina — parsknęła jak kot, a Groszek z przekonaniem pokiwał głową.

Kapitan chyba się zawstydził.

— Zgoda — powiedział zakłopotanym głosem. — Rzeczywiście, gładzę jak stary gramofon. A więc, po drugie: musicie przygotować się na podróż samolotem, bo ja was rzeczywiście do Afryki nie dowiozę.

— Sa-mo-lo-tem? — spytali.

— Tak.

Groszek oblizał zaschłe wargi.

— Jakim samolotem?

— Moi drodzy — rzekł Kapitan. — Na jednym z lotnisk czeka już na was bardzo szybka, dwuosobowa maszyna. Jest to „Jak”, wprawdzie nie pierwszej młodości, ale w takich wypadkach można na nas weteranów liczyć. On was przewiezie na miejsce i po drodze wytłumaczy, co macie dalej robić. Czy jesteście gotowi do drogi?

— Chwileczkę — mruknął Groszek. — Światła pogaszone. Radio, telewizor i gaz wyłączone. Kurki pozakręcane. Zgoda. Jesteśmy gotowi.

Kapitanowi rozbłysły zegary jak kocie oczy.

Zaświecił reflektory, zapalił motor i bez słowa i szmeru przemknął przez podwórze, potem ostrożnie wychylił się z bramy, a na jezdni od razu ruszył tak ostro, że nagłe szarpnięcie przycisnęło ich do oparcia.

Kiedy zaś wyskoczyli już z miasta i otworzył się przed nimi biały od światła reflekto-

rów trakt gościńca, Groszek spytał:

— Ale dlaczego wcześniej Kapitan nam o tym wszystkim nie powiedział?

Kapitan uważnie minął trzy ciężarówki, przeskoczył na pełnym gazie dwa zakręty i dopiero wtedy odpowiedział:

— Po pierwsze, nie mieliśmy jeszcze ustalonych wszystkich szczegółów. Było dużo ochotniczych zgłoszeń od różnych samolotów i musiały się w związku z tym wypowiedzieć aż dwa mózgi elektronowe, zanim wybraliśmy „Jaka”. A po drugie, miejsce tamtego lądowania udało się nam zlokalizować dopiero w ostatniej chwili. Dopiero wtedy, kiedy usłyszeliście sygnał.

— Aha! — powiedziała Ika.

A potem trąciła Groszka łokciem.

— Ty — szepnęła. — Co to znaczy: zlo-ka-li-zo-wać?

Groszek mądrze odchrząknął, ale nic mu to nie pomogło. Nie zdążył też nic zastępczego wymyślić, bo akurat Kapitan zatrzymał się przy zamkniętym przejeździe kolejowym i dosłuchał pytanie Iki. Nie roześmiał się, bo to ostatecznie nic śmiesznego, że będąc bardzo młodą osobą nie zna się różnych słów. Tak to już jest, że każdy się uczy jakichś nowych słów — i to do samego końca życia. Więc Kapitan był poważny i uprzejmy.

— To znaczy — powiedział — znaleźć właśnie to miejsce.

— Które?

— No właśnie to, o które chodzi.

— Aha — powiedziała Ika. — Już rozumiem.

Dopiero tym razem Kapitan pokazał, co potrafi. Pędził, jakby chciał przegonić blask własnych świateł. Zaś Ika i Groszek siedzieli w milczeniu, chwytając się tylko oparcia na ostrzejszych zakrętach. Siedzieli w milczeniu, bo i o czym mówić? Przed kilku zaledwie dniami zdawało się im, że przeżyli Wielką Przygodę. No i dobrze. Mała nie była. Ale jak tę terazniejszą nazwać?

Zresztą nie to było naprawdę ważne. Ważniejsze było oczekiwanie: co dalej?

Zniknął nagle z oczu zwykły dzień i jego powszednie sprawy. Gdzieś na szarej i żółtej jak lwia skóra pustyni leży zaginiony samolot. Nad nim przetacza się burza. Ludzie z samolotu czekają na ratunek. Wiedzą, że radio jest uszkodzone, że taki samolot na pustyni to mniej niż ziarnko piasku na ogromnym placu, że tylko jakiś niezwykle szczęśliwy przypadek może ich uratować. Ile im jeszcze nadziei zostało? Za grosz — za dwa?

I oto oni — Ika i Groszek — mają stać się tym niezwykle szczęśliwym przypadkiem. Czy jednak potrafią?

Kiedy trzeba było powiedzieć, że zgadzają się i są gotowi, Groszek zapomniał nawet oświadczyć, iż wszystko to jeszcze należałoby przemyśleć. Siedemdziesiąt osiem zaginionych na Saharze osób czekało na pomoc. Nie było więc co przemyślać. Ale teraz właśnie przyszedł czas na myślenie: co dalej? Tymczasem zamiast myśli w głowach panuje tylko pustka. I tylko jeden wielki niepokój: czy się uda?

Bądźmy szczerzy. W tym niepokoju kryje się też trochę strachu o własną skórę. Bo największy nawet bohater miewa takie dziwne chwile, kiedy jest tylko zwykłym, zwyczajnym człowiekiem. A zwykły, zwyczajny człowiek miewa znów to do siebie, że czasem w trudnej sytuacji odczuwa całkiem zwyczajny niepokój. A nawet nie całkiem zwyczajny strach.

Ale przecież nie o to, nie o własną skórę szła teraz gra. Tysiąc razy ważniejsze było pytanie: czy się uda uratować ludzi z zaginionego samolotu? Przecież czekają! Właśnie na nich! Na Ikę i Groszka! A oni nawet jeszcze nie wiedzą dobrze, co należy robić...

Przypomnijmy sobie raz jeszcze, jak to było.

Otóż podczas wielkiej, afrykańskiej burzy pobiegł w świat rozpaczliwy sygnał. Nadał go ostatkiem sił śmiertelnie ranny nadajnik radiowy. Sygnał pochwyliły maszty czterech radiostacji — czterech radiostacji z czterech różnych stronach świata, w czterech różnych



krajach. Mimo to porozumiały się od razu. Przekazały sygnał do Warszawy. Przemysłał go dokładnie polski mózg elektronowy i powziął pewne postanowienie.

Teraz zaś niemiecki Kapitan wiozł polskie dzieci na spotkanie z radzieckim „Jakiem” po to, by wspólnie, ramię w ramię i koło przy skrzydle, ratować grupę całkiem obcych, nieznanym ludzi, zaginionych na ogromnej afrykańskiej pustyni.

Nic dziwnego, że serca Iki i Groszka gnębił niepokój — nic też dziwnego, że Kapitan pędził przez jesienny mrok, jakby sam chciał wzlecieć w górę.

Okna domów, drzewa, słupy telegraficzne znikwały, przepadały w tyle. Pola uciekały wstecz. Przybliżył się i zastąpił im drogę ciemny las. Przerazony zając ostatnim rozpaczliwym skokiem umknął spod rozpędzonych kół. Potem las znów się rozstał. Wreszcie Kapitan skręcił ostrym łukiem w jakąś boczną, gładką drogę.

W głębi szerokiego pola mignęło czerwone światełko. Kapitan zwalniał coraz bardziej. W końcu zgasił światła i zjechał z asfaltu, by pojechać polem na przełaj.

Pole zresztą było równe jak stół. Na tle ciemniejszej, trawiastej powierzchni widać było jaśniejsze, betonowe pasy.

— Lotnisko — szepnął Groszek.

Ika nic nie odpowiedziała.

Wreszcie Kapitan przystanął obok wielkiego ciemnego kształtu.

— To tutaj — powiedział. — Jesteśmy na miejscu.

Pierwsza wyskoczyła z wozu Ika. Tak jakby skakała w zimną wodę: bez namysłu, z zapartym oddechem. Za nią, wolniej, wysunął się Groszek.

Nad nimi, na tle jaśniejszego nieba, rysował się czarny w mroku kształt samolotu. Na skrzydle słabo migotało czerwone światełko.

— Jak się macie? — usłyszeli gdzieś z góry. — Jestem „Jak”. Siadajcie! Trzeba się śpieszyć! Coś tak zwłóczył, Kapitanie, co?

Kapitan nieco się obruszył:

— Twoich motorów ani twojej młodości nie mam — mruknął. — Spróbuj ty przegonić raketę, to się poczujesz w mojej blasze.

— Dobra, dobra — zaśmiał się „Jak”. — Czekasz na nich tutaj?

— Tak.

— No i ślicznie — mówił „Jak”. — To lecimy. A ty, Kapitanie, odsuń się nieco, żebym ci jakiej krzywdy nie zrobił.

— Kiedy wrócicie? — spytał jeszcze Kapitan.

— Wtedy, kiedy wrócimy.

— A ty dbaj o nich.

— Jak o własne skrzydła — zaśmiał się znowu „Jak”.

Kapitan błysnął lekko światłami, jakby ze wzruszenia. W każdym razie jego głos wyraźnie był wzruszony.

— No, dzieci — powiedział — powodzenia.

Nawet Ika zapomniała się obrazić za te dzieci. Oboje uścisnęli Kapitana. Groszek odchrząknął.

— Niech pan będzie spokojny, Kapitanie — powiedział.

— Właśnie — przytaknęła Ika.

— No, dość tych scen podniosłych — mruknął „Jak”. — Proszę wsiadać, drzwi zamykać.

— Przepraszam! Ale które? — burknął Groszek.

— Na skrzydło... tak... a teraz podciągnij, obywatelu, swą miłą... taaak... a teraz do kabiny. Słusznie, bardzo trafnie — komenderował ciągle rozbawiony głos „Jaka”.

— Ja nie jestem żadna jego miła — parsknęła wściekle Ika wsuwając się za Groszkiem

do kabiny i natychmiast umilkła.

W tej samej bowiem chwili, tuż obok nich, wybuchł jak wielki ogromny śmiech warkot potężnego motoru. Uczuli, że samolot ruszył z miejsca. A poza owym hukiem motoru oszołomił ich po prostu i unieruchomił widok setki nieprawdopodobnych, nieznanych i całkowicie zdumiewających przyrządów, zegarów i urządzeń, wśród których się znaleźli, a które rozświetlał tylko nikły blask kilkunastu zegarowych tarcz.

Przez ryk motoru przedarł się głos „Jaka”:

— Uwaga, towarzysze! Proszę dokładnie przypiąć się pasami do foteli. Nie tak, dokładnie... dobrze. A słuchawki wiszące na fotelach proszę założyć na uszy, żeby rozmowa była lżejsza. Dobra.

Oboje posłusznie, bez słowa i pokornie wykonali rozkazy.

Tak — to już nie było znajome wnętrze samochodu, o którym każdy starszak z przedszkola wie, gdzie kierownica, gdzie hamulec, a gdzie gaz. To był samolot. Wprawdzie nie odrzutowy, nie ten najnowocześniejszy i najszybszy — ale i tak od tych wszystkich urządzeń, zegarów i przyrządów można było nie tylko odwagę, ale i mowę stracić.

Głos „Jaka” brzmiał w słuchawkach z bliska i bardzo przyjaźnie:

— Uwaga! Proszę niczego nie dotykać, siedzieć spokojnie, trzymać się poręczy foteli. Zgoda?

Ika kiwnęła tylko głową. Groszek jednak już powracał do równowagi.

— Zrobione.

Mimo że słuchawki na uszach tłumili huk motorów, przybrał on jeszcze na sile. Czuli, że samolot toczy się po lotnisku coraz szybciej, lekko podskakując na nierównościach pasa startowego. W końcu jednak musiał wjechać na całkiem gładką nawierzchnię. Tak przynajmniej im się zdawało.

Ale właśnie w tej chwili „Jak” powiedział:

— Cześć i chwała! Niniejszym towarzysze mają przyjemność znajdować się w powietrzu.

— W powietrzu? — krzyknęli oboje.

— Wysoki stopień działania zespołowego. Piątka za wspólne wznoszenie okrzyków — śmiał się znowu buczący i wesoły głos. — A co do sprawy zasadniczej: istotnie jesteśmy w powietrzu.

Oboje nachylili się ku szybom kabin: i oto ujrzeli pod sobą w dole coś jakby stadko gwiazd odbitych w jeziorze.

Były to światła miasteczka, przez które jeszcze przed kwadransem wiózł ich Kapitan.

A więc lecieli.

Zawsze wydawało się, że lot jest czymś niezwykłym i na poły nieprawdopodobnym. Że podczas lotu musi się przeżywać całkiem niesłychane uczucia i wrażenia.

A tymczasem po pierwszym oszołomieniu, po osłuchaniu się z przytłumionym przez słuchawki szumem motorów, wszystko to było zaskakujące tylko pod jednym względem: że właściwie dzieje się tak, jakby... nic się nie działo.

Noc była ciemna. Jeszcze bez księżyca. Gwiazd w górze lśniło niewiele. Samolot leciał — zgoda. Ale w gruncie rzeczy nasi pasażerowie „Jaka” mieli takie uczucie, jakby siedziało się w nieruchomej łódce na nieruchomym stawie.

Toteż gdy oswoili się już z widokiem wnętrza kabiny, z tym, że lecą i że lecą właśnie tam, dokąd lecą — Groszek spojrzął na Ikę, Ika na Groszka. Po prostu poczuli powracającą pewność siebie. A już w następnej chwili Ice musiało się coś bardzo ważnego przypomnieć. Zrobiła przerażone oczy i mimo zmroku widać było, że poczerwieniała.

Nachyliła się do Groszka i coś szepnęła. Ale cóż z tego? Nie dosłyszał w tym huku i

szumie.

Za to „Jak” musiał usłyszeć, bo sam przerwał milczenie. Jego głos znów zabrzmiał w słuchawce:

— Nic nie szkodzi, żeście się nie przedstawili. Wiem i tak, że koleżanka w spódnicy to nie Groszek, a kolega w spodniach to nie Ika, tylko wprost przeciwnie. W każdym natomiast razie jest mi ogromnie miło.

Groszek szturchnął Ikę.

— Nam też! — zawołał.

Ika skinęła głową.

— Spokojnie lecimy, co? — spytał „Jak”.

Dopiero teraz rozwiązały się języki.

— Aż za spokojnie — zaczęła Ika. — W ogóle nie wiedziałam, że lecimy. Po prostu nie chce się wierzyć.

— A poza tym — ciągnął Groszek — jak się leci pierwszy raz tak, jak my, i to w ciemności, i... w takich okolicznościach...

— Rozumiem — wtrącił „Jak”.

— To — mówił Groszek — w ogóle nic się nie wie. Co do samochodu, to już się człowiek jako tako orientuje. I w ogóle. Ale samolotu jeszcze nie mieliśmy. To znaczy... — speszył się — ...to znaczy nie lataliśmy. I dlatego, kiedy tak spokojnie się leci... jakby w ogóle się nie leciało...

— Tylko powoli, szanowni — przerwał „Jak”. — Jeszcze nie rano. Lata się różnie. Tam, dokąd lecimy, wcale spokojnie nie jest.

Nie ma co ukrywać. Przez pierwsze kilkanaście minut lotu wszystko było tak nowe i nieoczekiwane, że sam cel podróży jakby się zgubił w pamięci. Jakby o nim zapomnieli.

Ale słowa „Jaka” w tej samej sekundzie przypomniały o wszystkim. Słowa: t a m, d o k ą d l e c i m y!

Pierwsza Ika chciała zabrać głos, ale Groszek zdążył powstrzymać ją bardzo stanowczym ruchem ręki.

— A więc właśnie — powiedział. — Mieliśmy otrzymać od pana wyjaśnienia: co dalej mamy robić?

— Co do nas należy? — to Ika.

— I jak powinniśmy postępować?

— No i pięknie — powiedział „Jak” głosem po raz pierwszy zdecydowanie poważnym. Potem coś jakby szepnął i mruknął do siebie. I jeszcze raz powtórzył: — No i pięknie. Wyjaśnienia, mówicie?

— Tak.

— Zgodna! Ale na początek muszę wam, drodzy i szanowni, wyjaśnić, że mi się podoba. To nie na temat, ale za to fakt.

Skłonili się w nieokreśloną stronę, ku tarczom zegarów.

— A reszta wyjaśnień jest taka — mówił „Jak”. — Udało się mniej więcej stwierdzić, że tamten Douglas... znaczy się: tamten pasażerski samolot... musiał lądować niemal dokładnie na dwudziestym stopniu szerokości północnej i mniej więcej na trzynastym stopniu długości wschodniej. A więc pierwsza rzecz: musimy go odszukać.

— Jak? — spytał Groszek.

— Przecież taki samolot na pustyni to jak ziarno piasku na ogromnym placu — dodała Ika z bardzo inteligentnym wyrazem twarzy, choć Groszek skrzywił się i mruknął coś w tym rodzaju: „przystań się mądrzyć”.

— Słusznie — potwierdził „Jak”. — Ale jak mamy długość i szerokość geograficzną, to już zaczyna być wiadomo, w którym miejscu tego placu trzeba szukać. W dodatku namiar

szerokości, z którego nadano ostatni sygnał, jest ścisły. A więc zrobimy rzecz prostą...

— Oczywiście — wtrąciła Ika.

Groszek znów skrzywił się wściekle, a „Jak” spytał z głupia frant:

— Co: oczywiście?

— No... — zaczęła Ika i urwała.

„Jak” parsknął cichym śmiechem.

— Rozumiem — powiedział. — A więc o c z y w i ś c i e dolecimy do dwudziestego stopnia szerokości północnej i polecimy wzdłuż niego jak strzeł. Znajdziemy się tam nie prędzej jak o świcie, więc z odszukaniem samolotu nie będzie chyba największych zmartwień. Byle tylko widoczność się utrzymała. O... tu jest największy kłopot: widoczność.

— Przecież burza... — zaczął Groszek.

— Ano właśnie — przyznał niewesołym głosem „Jak”. — Taka burza to nie zabawka. Wprawdzie stacje meteorologiczne podają, że przesuwa się na północ, ale i tak, po pierwsze, będziemy musieli sami się przez nią przepchać, a po drugie, to, co tam jeszcze z niej zostanie, to też będzie nie do śmiechu. Ale z góry i tak nie ma się co martwić. Pożyjemy... zobaczymy. Prawda, koleżanko Ika?

Ika siedziała bardzo prosto i z zaciętymi ustami. Widać, że zła jak diabli, i to w najgorszy sposób, bo na samą siebie. Teraz zaś uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Prawda — powiedziała skromnym już głosem. — Ale przecież to wszystko pan potrafi sam wykonać.

— Właśnie — przytaknął Groszek.

— Właśnie — powtórzyła. — To pan. A co będzie do nas należało?

— Hm — zamyślił się „Jak”. — Widzicie... to się właściwie okaże dopiero na miejscu.

Ich zaś na te słowa aż poderwało.

— Jak to? — krzyknęli. — Jak to?

„Jak” aż się zakrztusił ze śmiechu.

— Co wyście tak w okrzykach ćwiczeni? — spytał.

Ale im nie żarty były w głowie.

— Ja przepraszam — powiedział Groszek — przepraszam. Proszę nas jednak traktować poważnie.

— Właśnie! — Ika poparła go bardzo ostro.

— Mamy coś do zrobienia — powiedział. — Coś bardzo ważnego i poważnego. My chcemy to zrobić. Żeby nie wiem co! Chcemy! Ale musimy wiedzieć coś z góry, musimy wiedzieć, na co się przygotować.

— I co przemyśleć — zakończyła Ika.

„Jak” chwilę odczekał. Śmiać się przestał. A chyba nawet lekko zachybotał skrzydłami ze zdziwienia.

W końcu powiedział:

— Dzielnie. Bardzo dzielnie. To i ja was przeproszę za żarty...

— Ależ my się wcale nie gniewamy! — zawołali. — Nam tylko chodzi o tę sprawę!

— Otóż i to — powiedział. — A sprawa jest właśnie taka, że dopiero na miejscu będziemy musieli postanowić, co wy zrobicie. Tu się nic wyprodukować ani wymyślić nie da. Tak to już jest, że samo życie myśli dyktuje.

— Ale... — zaczął Groszek.

— No dobrze, dobrze — przerwał mu „Jak”. — Chcesz powiedzieć, że są różne możliwości. Że coś można przewidzieć z góry, tak?

Skinęli głowami. Bardzo zdecydowanie skinęli.

— Właściwie — powiedział „Jak” — j e s t jedna taka możliwość. Że po odnalezieniu miejsca samolotu sprawdzimy dokładnie długość i szerokość, zapiszemy ją i potem rzucimy kilka listów z tą informacją nad najbliższą miejscowością, z której może wyjść ekspedycja

ratunkowa. Jest tam taka jedna miejscowość... gdzieś około stu kilometrów od przypuszczonego miejsca lądowania. Yat się nazywa.

— Jak? — spytała Ika.

— Nie „jak”, tylko Yat — powtórzył cierpliwie „Jak”.

— Aha! I to wszystko? — mruknął Groszek. — I na tym ma polegać cała nasza wielka podróż?

— Na razie — powiedział „Jak”. — Na razie... A co dalej? Samo wyjdzie. Z sytuacji.

— Tak — zastanowił się Groszek — taaak... A... a co teraz?

— Teraz? Najlepiej chyba pospać.

— P o s p a ć? — oburzyli się. — Teraz i tutaj p o s p a ć?

— A dlaczego by nie? Lecieć umiem sam. Jesteśmy na wysokości trzech tysięcy metrów. Zrobiliśmy już swoje pięćset kilometrów...

— Ile?

— Pięćset. Lecimy czterdzieści minut, więc co... normalna rzecz. A poza tym? Poza tym jest noc, warunki, i owszem, grzeczne, spokój... A rano może się okazać, że na przykład trzeba będzie dobrze się namęczyć. Więc zaplanowane jest: spać. Taka dyrektywa. Ja tu dowodzę, o ile się nie mylę.

Głos zrobił się nieco surowszy. Spojrzeli na siebie.

— Co to jest dyrektywa? — spytała Ika.

— To taki grzeczniejszy rozkaz — mruknął Groszek.

— Polecenie — powiedział „Jak”. — Polecenie. Wobec tego dobranoc.

Co można było na takie słowa odpowiedzieć? Odpowiedzieli więc „dobranoc”, uważając tym razem, by nie wykazać uprzykrzonej już — jak nazywał to „Jak” — zgodności wznoszenia okrzyków.

Słowo „dobranoc” zaś ma to do siebie, że choćby absolutnie i w ogóle nie myślało się o śnie, to człowiek jakoś całkiem mimo woli rozsiada się i układa wygodniej — a nawet całkiem wbrew swym zamiarom zaczyna czuć ten sen tuż koło siebie, Ika i Groszek, bez słowa porozumienia, postanowili i wbrew dobrej radzie nie spać. Bo jakże spać, kiedy się po raz pierwszy w życiu leci samolotem na wysokości trzech tysięcy metrów, z szybkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy ma się przelatywać nad obcymi krajami, łańcuchami gór, nad miastami świecącymi w dole niczym gwiazdozbiory dziwnego nieba! Tak. Postanowili, że nie.

Ale milczenie, łagodny szum motoru, ciemności, wygodne fotele — to wszystko jednak nie bardzo sprzyjało czuwaniu, Ika — która miała to do siebie, że przykładając głowę do poduszki zasypiała nie zdążywszy nawet ziewnąć — znudzona po kilku minutach ciemnością postanowiła przymknąć oczy tylko na sekundę. I — jak to Ika — właśnie w ciągu tej sekundy usnęła.

Groszek jednak jako ten, co miewał zazwyczaj coś do przemyśliwania, zawsze zasypiał trudniej. Tym więc razem znalazł się w łatwiejszej sytuacji. Uważnie przyglądał się wpierv zegarom. Po chwili odnalazł taki, którego strzałka uparcie trzymała się na liczbie: 3000. To zatem musiał być wysokościomierz. Inny znów, jak wypadało z Groszkowych przemyśleń, wskazywać musiał szybkość. No dobrze — ale co z całą niezwykłą resztą?

To jednak było zbyt trudne. Po daremnych próbach zrozumienia czegokolwiek więcej — i po nagłej, ostrej, męskiej decyzji, że jedyna przyszłość jaką ma przed sobą, będzie to praca konstruktora samolotów — Groszek wyjrzał w przestrzeń. Wyjrzał i westchnął z zachwytem. Na niebie ukazał się już księżyc i właśnie w tej chwili oświetlił swym blaskiem ogromną, leżącą nieco w dole ławicę chmur. Było tak, jakby płynęli ponad niezmiernie spokojnym, srebrnoperłowym morzem.

Groszek westchnął, bo po raz pierwszy w życiu zrozumiał wielkość i wielość świata. I z dumą pomyślał, że choć jest wobec tej wielkości i wielości czymś niesłychanie małym, to

jednak należy do rodu ludzi, którzy potrafią sięgać i w najtajniejsze głębiny mórz, i o tysiące mil ponad srebrne morza chmur, bo aż po sam księżyc — i... i dalej jeszcze!

Były to jednak myśli nie tylko dumne, lecz także wielce zawikłane. By je więc lepiej przemyśleć, przymknął oczy.

„Jak” zaś płynął ponad srebrnoszarym światem chmur nucąc jakąś pieśń o bardzo szerokiej, niespotykanej szerokiej melodii. A potem szum motorów począł cichnąć — melodia też cichła. Wreszcie ścisnęło wszystko. I tylko „Jak” czuwał — pulsując rytmem zegarów, napinając skrzydła, pędząc ku południowi.

Dookoła była pustynia, pustynia w nocy. Groszek skulił się na przednim siedzeniu Kapitana. Kapitan zaś, zataczając się i podskakując, zjeżdżał z jakiejś ogromnej góry.

Od horyzontu zaś po horyzont szalała bitwa. Słysząc było nieustanny, wwiercający się w uszy aż do bólu huk armat. Huk coraz bliższy, coraz straszliwszy. Groszek chciał się poruszyć, ale nie mógł. Chciał krzyknąć — ale nie zdołał nawet wydobyć z siebie głosu.

W końcu dosłyszał rozpaczliwy krzyk Iki:

— Groszek!

I wtedy zbudził się.

Ale huk armat trwał nadal i nadal wwiercał się boleśnie w uszy. W kabinie jeszcze było ciemno, ale co chwila mrok przerywały sine błyski. Była to zresztą ciemność już szarawa — jak o bardzo chmurnym świecie. Przez szyby kabiny nic nie było widać, tylko gęstą mgłę, rozświetlaną błyskawicami. Po szybach spływał deszcz. A samolot? Jego lot był teraz pełen gwałtownych szarpnięć, uderzeń, podskoków. Motory huczały z jęklwym wysiłkiem.

Groszek ujrzał tuż koło siebie rozszerzone strachem oczy Iki. Chciał jakoś ją uspokoić, coś mądrego powiedzieć — ale po prostu zbrakło mu słów. Jego gardło też ścisnął strach. Ale na szczęście w tej samej chwili odezwał się spokojny, choć napięty głos „Jaka”:

— Uwaga. Nie przejmować się. Jesteśmy nad Morzem Śródziemnym i właśnie weszliśmy w burzę. Schodzimy na możliwie najniższą wysokość, aby uniknąć strefy najgroźniejszej. Schodzimy ostro w dół. Jeśli od zmiany ciśnienia bolą was uszy, proszę szeroko otwierać i zamykać usta. Brodę przycisnąć do piersi. Wysokość: tysiąc metrów, dziewięćset metrów... osiemset... siedemset... sześćset... pięćset... Taak... już jest lepiej, ale jedziemy jeszcze niżej.

Ból w uszach był tak nieznośny, że mimo niepokoju i ucisku w sercu, pierwszą myślą Groszka było pozbyć się go jak najprędzej. Otworzył więc szeroko usta i przycisnął brodę do piersi. W kabinie coraz to jaśniało — ujrzał więc, że Ika robi to samo. Potem oboje zamknęli usta, by znów je szybko a szeroko otworzyć. A widok ten był tak śmieszny — i tak zabawnie oboje wyglądali, że nagle, najnieoczekiwaniej w świecie oboje wybuchnęli śmiechem.

Właśnie przetoczył się wokół nich grzmot, błysnęła błyskawica, „Jak” podskoczył pod uderzeniem wiatru gwałtownie przechylając się na prawe skrzydło — a oni się śmieli. Śmieli się jak szaleni.

— A cóż to znowu? — spytał zdumiony „Jak”.

— Bo... — chichotała Ika.

— Bo... oj, nie mogę — zaśmiewał się Groszek. — To tak śmiesznie wygląda.

— Aha — zrozumiał w końcu „Jak”. — A uszy już nie bolą?

Wciąż jeszcze chichocząc pokiwali przecząco głowami. I już teraz nowa błyskawica czy grzmot nie robiły na nich żadnego wrażenia. Burza to burza — trudno, świetnie. „Bo wystarczy — pomyślał Groszek — raz zapomnieć o strachu, żeby zapomnieć o nim całkowicie”. Toteż kiedy „Jak” spytał, czy się boją, Groszek odpowiedział właśnie w ten sposób, a Ika przyznała mu rację, ocierając łzy z oczu.

— Ot, filozofowie — mruknął „Jak”.

Znów wspiął się na nadbiegającą falę wiatru, znów ześliznął się bokiem w dół i nagle z szyb kabiny znikła mgła.

— Uwaga! Morze! — zawołał „Jak”. — Wysokość: sto metrów.

Było szaro. Tuż nad nimi kłębiły się ciemne, pędzone wiatrem, siejące gęsty deszcz chmury. Pod nimi zaś rozpostarła się prawie czarna, popstrzona tylko białymi grzebieniami fal przestrzeń.

— Morze! — powiedział Groszek, Ika milczała.

Huraganowy wiatr uderzał w skrzydła samolotu, bił o szyby deszczem jak seriami karabinu maszynowego — i mimo wzmagającego się co chwila huku motorów dokładnie było słychać ich drobny werbel. W dole zaś przewalało się, wznosiło górami fal lub zapadało w głąb samego siebie to piękne Morze Śródziemne, o którym zawsze słyszeli, jak jasne jest i błękitne, a które teraz przedstawiało się ich oczom w groźnej czerni i szaleństwie.

Strach nie powrócił. A jednak spoważniali. „Jak” nie odzywał się. Zapewne walce z burzą musiał poświęcać zbyt wiele wysiłku, by chciało mu się jeszcze rozpraszać uwagę na rozmowy.

Milczeli zatem wszyscy troje. Wszyscy z powagą i w napięciu, Ika i Groszek wpatrzyli się w morską przestrzeń, od której coraz rzadsze błyski piorunów odbijały światła jak od stali. Nagle Ika pochwyciła Groszka za rękę. Nie powiedziała ani słowa, wskazała tylko dłonią kierunek. Oto bowiem z mroków świtu, zza ściany morskiego szkwału, wynurzył się wielki, biały statek. Fale unosiły go ciężko na swych grzbietach, wzbijały się strugami piany na puste pokłady. Jedynie bijący z kominów dym i światła z kapitańskiego mostka dawały znak życia z wolno płynącego statku. A przecież, choć wobec obszaru wód był on drobiazgiem zaledwie, to jednak spokojnie i uparcie szedł swym kursem, nie dbając o pioruny i burze.

Był to widok krzepiący, choć trwał krócej niż minutę. „Jak” bowiem rwał ku południowi, a po wzmagającym się drzeniu motorów i drganiu strzałek zegarowych poznać było, że znów przyspiesza lotu.

Wiatr nieco przycichł, chmury poszły w górę. „Jak” też z wolna nabierał wysokości. Jasna plamka innego jakiegoś statku znów mignęła w dole, po prawej stronie. Świt coraz to się przejaśniał — pojaśniało wkrótce i morze.

I nagle, gdzieś daleko, wiatr musiał bodaj na chwilę przerwać spiętrzone bloki chmur, bo jak cięcie jasną stałą błysnęła szczelina słoneczna, złoty, skośny promień.

W jego świetle biegnący im naprzeciw kraniec horyzontu rozjarzył się bielą, białą poziomą kresą.

— Afryka — powiedział trochę uroczyście „Jak”. A potem dodał złym głosem: — Jesteśmy bardzo spóźnieni. Podług planu powinniśmy być już na dwudziestym równoleżniku. Niedobrze. No, ale nie ma co ukrywać: takiej burzy jeszcze nie przeżywałem. Wiecie, że na samym początku było dość niewesoło?

Nie odpowiedzieli. „Jak” zaś lekko się zaśmiał.

— Czasem lepiej nie wiedzieć.

— Kiedy dolecimy do dwudziestego równoleżnika? — spytał Groszek.

„Jak” chwilę się namyślał. W końcu odpowiedział niezbyt zdecydowanym głosem:

— Za godzinę... może za półtorej?

— Dlaczego znów „może”? — oburzyła się Ika.

— No i co? Awantura będzie? — spytał markotnie „Jak”. — Pamiętajcie, szanowni pasażerowie — dodał po chwili — że przed nami jeszcze jedna strefa burzy.

Spojrzeli na siebie niezbyt pewnie.

— Rozumiem — powiedziała Ika. — Rozumiem i przepraszam.

— Ach, miła moja — udobruchał się „Jak”. — Wszystko w porządku. Teraz tylko proszę o chwilę spokoju, bo musimy posłuchać, co się mówi o tej stronie świata, w którą lecimy.

— Gdzie się mówi? — spytał Groszek.

— W powietrzu... w powietrzu — śmiał się „Jak” i wyjaśnił: — Chcę posłuchać, co afrykańskie radiostacje meteorologiczne powiadają takim różnym podróżnikom jak my.

Umilkli posłusznie. Groszek nawet nieco poczerwieniał, że tak głupio spytał. Ale Ika przedtem miała co nieco na sumieniu, więc nie skorzystała z chwilowej przewagi. Tym bardziej że w słuchawkach zaczęło już coś szumieć, trzeszczeć i trzaskać, całkiem jak w zwykłym, nieco popsutym odbiorniku radiowym. Z tych zaś szumów i trzasków poczęły wyłaniać się jakieś obcojęzyczne głosy i zawołania, angielskie, włoskie, francuskie. Ludzie ostrzegali się nawzajem. Ktoś pytał uporczywie: Douglas — one, two, five? Douglas — one, two five? Potem umilkł. Inne głosy też milkły, by znów powracać.

Głos „Jaka” najwyraźniej poweselał.

— Druga strefa przemieszcza się na wschód. Schodzi nam z drogi. Chyba tylko jednym skrzydełkiem o nią zawadzimy...

Groszek zaś nie chcąc przerywać milczenia, bo „Jak” nadal słuchał komunikatów, wyjął notes, pióro — i to, co chciał Ice powiedzieć, zapisał na kartce.

Przeczytała, skinęła głową.

Na kartce było napisane tylko jedno zdanie: „Oni tam czekają”.

Morze nagle znikło. I oto lecieli już nad afrykańskim lądem w pełnym świetle pochmurnego ranka — tuż pod pułapem ciężkich chmur.

— Tysiąc sześćset metrów — powiedział „Jak”. — Wysokość: tysiąc sześćset metrów.

A więc taka jest Afryka? Ice i Groszkowi wydawało .się, że jest ona i musi być całkiem odmienna niż wszystko, co dotychczas w życiu widzieli. Tak by zresztą wynikało i z opowiadań Kapitana, z tego, co im ukazywał ze swych wspomnień.

Ten jednak ląd był łagodnie sfalowany i pokryty zielenią jak najzwyczajniejszy kawałek Europy. Lecieli nad okolicą raczej wyludnioną — raz tylko mignęły im z daleka białe mury jakiegoś niewielkiego miasta i tylko na jednolitym tle ziemi zaznaczał się wyraźniej zarysowany szerokimi łukami pas drogi oraz biegnąca o wiele prościej linia kolejowa. Kępy drzew — jeśli to nawet były palmy — wyglądały z tej wysokości jak kępy drzew całkiem zwykłych, kępy zarośli tak samo.

Ale to była jednak Afryka. Zielen wkrótce zaczęła szarzeć, rzednąć. W barwę tę, jak morze w głąb lądu, począł wdzierać się żółtawobury kolor coraz szerszymi zatokami. Czerniały kamienne wyspy, zielen nikła — i wreszcie w południowej stronie rozlał się szeroko pas piaszczystego morza: Sahara.

„Jak” znów nieco obniżył lot. Wpierw na tysiąc dwieście, potem na osiemset metrów. Teraz już na zmianę ciśnienia i ucisk w uszach całkiem mechanicznie udawali ziewanie i nawet nie uśmiechali się na widok swych komicznych przecież min. Sekunda za sekundą zbliżał się ku nim cel: ci, którzy t a m czekają. Ci, o których wiadomo tylko to, że czekają gdzieś na południowy zachód od miejscowości Yat i że wciąż jeszcze nie mogą doczekać się wieszającego ratunek głosu.

Ale j a k czekają? Przecież przymusowe lądowania mogą być różne. Mogą być groźne. Wśród piaszczystej burzy takie przymusowe lądowanie może oznaczać katastrofę, wybuch zbiorników, po prostu — katastrofę. A więc, czy ci ludzie żyją? Czy są zdrowi? Czy grozi im tylko pustynia, czy też stały się już rzeczy... nieodwracalne?

Przecież poza sygnałem o pomoc radioaparat Douglasa nic więcej donieść nie zdołał. W jakim więc stanie znajdą „tych, którzy czekają”?

A dalej: jakie właściwie zadania staną przed nimi samymi — przed dwojgiem bardzo, bardzo młodych i coraz niespokojniejszych o swe możliwości ratowników. Początkowo, usłyszawszy skąpe wyjaśnienia, byli właściwie zawiedzeni. To wszystko, czego się od nich oczekuje? Listu, który rzuca nad miejscowością wybraną przez „Jaka”? No tak — wiadomo,



że przy swoich wspaniałych umiejętnościach najinteligentniejszy nawet samolot sam listów pisać nie potrafi. Oni więc są tu rzeczywiście potrzebni. Ale w gruncie rzeczy jakąż to skromna i drobna sprawa — nawet w porównaniu z historią poszukiwań Jacka. Tam trzeba było samemu działać, samemu się nawet narażać, samemu kręcić głową. Tu zaś właściwie wszystko już za nich zostało zrobione, wszystko obliczone i sprawdzone.

Wprawdzie zarówno Kapitan, jak i „Jak” bardzo niby byli wdzięczni za samą ich zgodę na lot. I wyrażali się niby z takim szacunkiem o ich dzielności, o tym, że od razu postanowili lecieć naprzeciw burzom i niebezpieczeństwom. Ich to jednak — bądźmy szczerzy — wcale tak znowu nie cieszyło. Bo jak w końcu mogli postąpić? Przecież nie mogli — przecież nie mogło im nawet przejść przez głowę co innego niż chęć pomocy, chęć walki o życie tamtych ludzi.

Oto powody, dla których zarówno Ika, jak i Groszek popadli w zamyślenie. A właściwie nawet unikali nawzajem swego wzroku. Z jednej strony był to coraz większy niepokój, czy ci, którym lecą na ratunek, w ogóle jeszcze tego ratunku potrzebują. Z drugiej zaś strony coraz dotkliwiej dokuczała myśl o własnej, osobistej bezradności wobec tych wszystkich spraw.

Rozmyślania te przerwał jednak wkrótce „Jak”.

— Oho — powiedział. — Dzień dobry. Zapraszają nas do tańca.

— Kto? — spytała nieco nieprzytomnie Ika.

— Ano spójrzcie przed siebie — powiedział „Jak”.

Spojrzeli.

Oto zbliżała się ku nim ciemna, sięgająca od ziemi ku samym chmurom ściana. „Jak” ryknął motorem z całych sił i zaczął niemal pionowo wspinać się ku górze. Słychać było, jak dyszy i nasila rytm motoru, jak skrzypią jego skrzydła i stery w ogromnym wysiłku.

Ziemia nagle machnęła kozła, uciekła w dół. Wpadli znów w chmury — drażąc je coraz głębiej i głębiej. Widać było, że „Jak” chce przystąpić do walki z burzą na najwyższej możliwie wysokości, w największym możliwie pędzie.

A potem — potem zaczęło się. Jak później stwierdził sam „Jak”, trwało to niecałe dziesięć minut. Ale im zdawało się, że owe dziesięć minut zmieniło się i rozciągnęło w cały sto lat liczący, nie kończący się wiek.

Tym bardziej że wszystko to działo się wśród nagłej nocy, w całkowitych i okrutnych ciemnościach. Co zaś działo się? „Jak” nie chciał później szerzej tłumaczyć ani wspominać — oni zaś nie wiedzieli o niczym. Ogarnęła ich ciemność. W owej zaś ciemności poczuli nagle na sobie tysiące wciskających się wszędzie, drobniejszych niż pył, lecz kłujących, zapierających dech ziarenek piasku. Czuli też tylko, i to każdym swym nerwem, jak bezlitosna toczy się walka.

„Jak” wpadł w taniec tak opętańczy, że pierwsza burza wydawała się w tej chwili niewinną zabawą. Jego motor wybuchał rykiem jak rozjuszony lew. Na każdy cios burzy odpowiadał ciosami śmigła. Na uderzenia wiatru — uderzeniami skrzydeł. Ale piasek był zdradziecki. Raz i drugi motor chrypliwie się zakaszłał — i przez nieskończenie długie sekundy wydawało się, że nie złapie już oddechu.

Właśnie wtedy chwycili się za ręce. Czuli, że opadają — że samolot spada ku ziemi jak raniony, zwyciężony przez burzę ptak. Skrzydła „Jaka” rozjęczały się żałośnie. Ale nie poddawały się. Z nieprzytomnym uporem chwytał oddech, podrywał się ku górze, opadał — i znów próbował zyskać na wysokości.

Tak, owe dziesięć minut trwało cały, nie kończący się wiek.

W końcu „Jakowi” udało się znów pochwycić równy rytm motoru. A w chwilę potem ciemność przetała się tak nagle, jakby ktoś przed nimi ostrym uderzeniem noża przeciął czarną zasłonę.

— Hura! — krzyknął „Jak”. — Hura!

I było tak, jakby wpłynęli na spokojną, łagodną wodę. Nie chciało się po prostu wierzyć, że przed chwilą przeżyli to, co przeżyli.

Prawdą było jednak przede wszystkim to, że wydarli się z okrutnego tańca na wysokości kilkudziesięciu zaledwie metrów nad ziemią. Nic dziwnego, że po kilku minutach spokojnego znów lotu „Jak” sam powiedział:

— No tak. Jeszcze trochę... jeszcze troszeczkę... a po nas już nawet sygnał by nie został. Uuch! — westchnął z szeroką ulgą. — Nawet nie myślałem, że aż takiego zwariowanego kozaka będę musiał zatańczyć.

Powiedział to niezmiernie komicznym tonem. Musieli więc się uśmiechnąć. I dopiero wtedy Ika puściła rękę Groszka i ze zdumieniem spojrzała na znaki, które jej palce zostawiły na jego dłoni.

Chciała coś mu powiedzieć, jakoś go przeprosić, ale on tylko machnął ręką i potem, nieoczekiwanie a niezgrabnie, pogłaskał ją po ramieniu.

— Nie uważasz, że żyjemy? — spytał.

— Masz rację — powiedziała z uśmiechem, który rozjaśnił się także dlatego, że świat przed nimi też pojaśniał.

Bowiem teraz wreszcie znów ujrzeli słońce. Słońce nad falistym, nieruchomym morzem pustynnych wydm.

— Niech żyje słońce! — krzyknął „Jak”. — Wskazane wzniesienie okrzyku: niech żyje!

Ze śmiechem i zgodnie wzniesli okrzyk.

A po kilkunastu dalszych minutach lotu „Jak” zaczął powoli i statecznie przechylać się na prawe skrzydło. Znajdujące się z lewej wschodniej strony słońce zaczęło odchodzić do tyłu, wreszcie znikło im z oczu. Wtedy Groszek podniósł nagle głowę, jak myśliwski pies, który poczuł lisa. Lecieli t y ł e m d o s ł o Ń c a — ze wschodu na zachód.

— Uwaga! Uwaga! — powiedział „Jak”. — Godzina szósta trzydzieści. Wchodzimy na dwudziesty równoleżnik. Wysokość: sto pięćdziesiąt metrów.

Z tego wszystkiego wynika — powiedział w pewnej chwili „Jak” — że tutaj, nad całą północną Afryką, gotowało się od wczoraj jak w piekielnym kociołku. Ładna historia! Niestety-chana to rzecz, żeby takie awantury chodziły całymi stadami. A przecież to ostatnie diabelstwo — to już trzecie z kolei, jakie przeszło przez poniższe okolice w ciągu ostatniej doby. Jasne? Pierwsze strąciło Douglasa. Drugie przywitało nas nad morzem. A trzecie mieliście przyjemność poznać przed chwilą. Ciekaw jestem tylko, gdzie ja jeszcze n i e m a m tego przeklętego piasku. Hm... o n i też musieli go sporo zakosztować.

— Oni? — spytała Ika.

„Jak” nie odpowiedział. Leciał teraz wolno, z wyraźnym namysłem, zataczając szerokie półkola, by objąć kursem swego lotu jak najszerszy zasięg widzenia.

Ika nie doczekawszy się odpowiedzi spojrzała na Groszka. Groszek jednak nie odrywał wzroku od otwierającej się przed nimi, szerokiej przestrzeni.

— Groszek — zapytała — czy... oni jeszcze żyją?

Nawet na nią nie spojrzał. Powiedział tylko obojętnym, bardzo oschłym głosem:

— Zamiast tyle gadać, lepiej dobrze się rozglądaj.

Innym razem, w innej sytuacji doczekałby się odpowiedzi — usłyszałby swoje. Ale tym razem rzeczywiście nie było czasu na żadną kłótnię. Najwyraźniej miał rację. Nie była to pora ani na złości, ani nawet na rozczulania się. Od ich uwagi, od bystrości ich oczu zależało teraz zbyt wiele.

„Jak” włączył znów radio. Widocznie chciał posłuchać, co się dzieje w eterze wokół

spra-wy Douglasa. Ale poza trzaskiem dalekich wyładowań elektrycznych i stłumionym szumem nie odzywał się żaden głos, żaden sygnał. Minuty mijały — cisza trwała.

— Taaak — powiedział „Jak”. — Cisza radiowa. Czekają na głos Douglasa.

A po chwili dodał:

— Kolejny komunikat: za kwadrans wejdziemy na tereny przypuszczalnego lądowania Douglasa 125 ze Zjednoczonych Afrykańskich Linii Lotniczych. Mijamy wysokość miejscowości Yat, leżącej o sto dwadzieścia kilometrów na północ od dwudziestego stopnia szerokości północnej, na którym się znajdujemy. Szybkość nasza: dwieście osiemdziesiąt kilometrów. Wysokość sto pięćdziesiąt metrów. Uwaga! Uwaga! Zarządzam jak najściślej obserwację terenu. Zarządzam też ciszę załogi. To już nie dyrektwa, ale zarządzenie. Skończyłem.

— Rozkaz! — powiedział Groszek.

— Rozkaz! — powtórzyła Ika.

W powietrzu pozostał jeszcze ślad przejścia burzy — przejrzysta, czerwona mgła piaskowego pyłu. Rozpędzał ją, przyduszał ku ziemi południowy wiatr. Blask podnoszącego się słońca nabierał zatem ostrości i czystości.

Jego promienie o tej porze padały jeszcze bardzo ukośnie. Tym wyraźniej rysowała się przed oczami lecących plastyczna mapa pustyni: szarozółta, zabarwiona czerwona mgiełką przestrzeń.

Silniki „Jaka” huczały jednostajnie, mącąc ciszę pustyni. Patrzącym jednak wydawało się, że cichną one i milkną, że chwilami w ogóle ich nie słychać.

Z nie kończącego się łańcucha wydm, piaskowych wzgórz rzucających ostry, czarny cień, płynęła ku nim bezmierna, nieruchoma cisza. Cisza, bezruch, milczenie, jakby ktoś, o władzy nieograniczonej, zatrzymał bieg tysięcy morskich fal i zamienił je w lśniący piasek.

Jedynym śladem życia i ruchu w tym zamartwym świecie był tylko drobny cień samolotu, płynący poprzez wydmy. Widząc jego wędrówkę zaczynało się rozumieć, czym może być i czym może się stać ludzka samotność wobec piaszczystego milczenia i bezruchu.

Dopiero teraz pojęli do końca, czym w istocie musi być dla tamtych ludzi otaczająca ich pustynna, nieruchoma groza. Ów bezruch i cisza, w której nie ma litości. Zrozumieli, co to znaczy być skazanym na własne, wątłe siły wobec owej przestrzeni. Wobec jej martwoty, która nie pożywi ani nie doda sił żadnemu żywemu stworzeniu, tylko co najwyżej chytrze przykryje piaskiem swe ofiary.

Pochyleni ku przodowi wpatrywali się w przestrzeń tak uporczywie, że wytężone źrenice co chwila zachodziły łzami. Dokuczał im piasek, który wdarł się w każdą szczelinę ubrania, wysuszył gardła, zasypał oczy. Obecnie zaczął wzmagać się upał. Pierwsze krople potu spływały już po skroniach.

Oni jednak o tym wszystkim po prostu zapomnieli. Od chwili, w której „Jak” zarządził „ciszę załogi”, minęło już piętnaście minut. A zatem w końcu znaleźli się w okolicy tego miejsca, skąd przed dwudziestu godzinami poszedł w świat sygnał. Ten sygnał, który sprawił, że właśnie oni są teraz tutaj i niosą na sobie nie tylko troskę i niepokój o swe własne siły, lecz przede wszystkim cały ogromny ciężar odpowiedzialności za życie i nadzieję siedemdziesięciu ośmiu ludzi. Ciężar dziwacznym i nie przeczuwanym nigdy sposobem złożony na ich ramiona.

„Jak” leciał teraz serpentyną łuków tak szerokich, by w zasięgu ich widzenia znalazł się każdy skrawek rozległego na kilkanaście kilometrów pasa pustyni. Leciał coraz wolniej, zniżając się nad każdym pasmem cienia, okrążając uważnie wszystkie większe wydmy. Ich wytężonym oczom nie mogłaby ująć żadna, mniejsza nawet niż samotny człowiek, plama na jednostajnym, burym tle.

Czas mijał. Upływał kilometr za kilometrem. Wskazówka wysokościomierza spadła poniżej osiemdziesięciu — szybkość lotu zmalała do stu sześćdziesięciu kilometrów. „Jak”

krażył nad wydmami, przechylając się ze skrzydła na skrzydło jak głodna mewa nad spokojną powierzchnią morza.

— Trzynasty stopień długości wschodniej — powiedział „Jak”.

A więc tu właśnie, gdzieś najbliżej tej oto okolicy, określono przypuszczalne miejsce przymusowego lądowania. Przed oczami, z wysiłku, zaczęły już migać ciemne plamki.

Samolot jeszcze bardziej obniżył lot. Od tej chwili właściwie Ika i Groszek niemal dotykalnie wyczuwali rozagę, dokładność i ścisłość działania maszyny. „Jak” zaś musiał rozumieć ich myśli, ich niepokój i nadzieję. Był maszyną myślącą — posłuszną człowiekowi, przyjazną mu.

Przecież sam ponosił trud największy i pełnił najcięższy obowiązek. I jak go pełnił!

— Trzynasty stopień, pięćdziesiąt minut — powiedział „Jak”.

Czas mijał coraz wolniej. Teraz już „Jak” wykonywał nie po jednym, ale po dwa pełne okrążenia nad każdym odcinkiem przeszukiwanej okolicy. Nic nie mogło ujść ich uwagi. Dojrzeliby przecież w tym stanie rzeczy nawet porzuconą wśród piasków chustkę.

Najgorsze zaś było to, że obraz właściwie w ogóle się nie zmieniał. Przebyli już, kłucząc i krażąc, ponad sto kilometrów trasy. A tymczasem mogło się wydawać, że w ogóle nie ruszyli z miejsca. Ciągłe te same, szarżółte, lśniące krystalicznym blaskiem wydmy, bliźniaczo do siebie podobne, jedna obok drugiej, jedna za drugą, łańcuch za łańcuchem, aż po sam drżący w słońcu horyzont.

„Jak” podawał dane nadal głosem rzeczowym i obojętnym. Ale czuło się, że i on coraz to bardziej się niepokoi. Zwiększył jeszcze bardziej zasięg okrążeń. W rytmie silników zaczęły odzywać się jakieś wyższe, nerwowe tony.

W końcu osiągnęli dwunasty stopień długości.

— Proszę o głos — powiedział Groszek.

— Słucham — odezwał się niechętnie „Jak”.

Groszek był bardzo blady, jego twarz ociekała potem. Wargi miał suche i popękane.

— Uważam, że należy brać pod uwagę wszystkie możliwości — powiedział schrypniętym głosem. — Czy istnieje możliwość, że Douglas wraz z ludźmi uległ w czasie kolejnych burz zasypaniu?

Po długiej chwili „Jak” odpowiedział:

— Istnieje.

Potem dodał:

— Jedenasty stopień, minut pięćdziesiąt pięć.

— Proszę o głos. — powtórzył Groszek.

— Słucham — odezwał się „Jak”.

— Jestem za przedłużeniem poszukiwań aż do dziesiątego stopnia — rzekł Groszek patrząc nadal w przestrzeń.

— Otrzymałem polecenie ograniczenia poszukiwań do zasięgu pomiędzy czternastym a jedenastym stopniem — odezwał się „Jak”. — Możliwość zasypania została wzięta pod uwagę. Mogło się to jednak zdarzyć tylko w wypadku bardzo ciężkiej katastrofy i niezdolności ludzi do obrony przed zasypaniem. Przewidziano, że jest to prawdopodobne w stosunku jeden do dziesięciu. Ale zgadzam się... zgadzam się na...

Groszek potrząsnął niecierpliwie głową. Chciał powiedzieć, że „jeden do dziesięciu to bardzo dużo”, ale bał się, że go głos zawiedzie. W dodatku przed oczami nieustannie migą mu jakaś ciemna plama. Przetarł oczy, raz i drugi — jeszcze raz potrząsnął głową i nagle... nagle tracąc oddech pochylił się do przodu, wyciągnął rękę.

— Tam! — krzyczała Ika. — Tam! Tam!

To nie była plamka. Nie była złuda zmęczonego wzroku.

Na szczęście — na szczęście nie była to złuda!

— Tam! — krzyczeli oboje.

„Jak” nagle ryknął motorami i tak się do lotu poderwał, że plamka w przeciągu kilku zaledwie sekund urosła do wielkości ogromnego, czteromotorowego samolotu zarytego prawym skrzydłem w jedną z wydm. Zaś na głos „Jakowych” silników z drzwiczek samolotu zaczęły wyskakiwać drobne sylwetki ludzkie wymachując ramionami, unosząc powitalnie dłonie w górę, podskakując z radości.

Ich drobne figurki rosły w oczach. „Jak” już pochylał się na skrzydło i na wysokości pięćdziesięciu metrów okrążał ich raz za razem, jakby dając do zrozumienia, że lądować nie będzie.

Ludzie byli przeróżni: mężczyźni, kobiety, młodzi, starzy, biali, żółci, i nawet ukazały się cztery czarne twarze. Jeden z mężczyzn, chyba dowódca załogi, bo był w mundurze Linii Lotniczych, stanął na skrzydle sygnalizując ruchami rąk. Groszek zapamiętałe liczył ludzkie sylwetki:

— Pięćdziesiąt pięć... sześć... dziewięć... sześćdziesiąt...

W końcu krzyknął:

— Siedemdziesiąt sześć! Dlaczego tylko?...

— Nie przeszkadzać — rzucił szorstko „Jak”. — Muszę odczytać sygnalizację.

Umilkli.

„Jak” okrążał leżącego w piasku Douglasa. Wreszcie — gdy mężczyzna w mundurze ukończył sygnalizację — kilkakrotnie w szczególny sposób zachybotał skrzydłami. Widocznie sam odpowiedział jakimś sygnałem.

Potem nagłym skrzętem zawrócił na północny zachód. Samolot znów stawał się drobną ciemną plamką na pustynnej przestrzeni.

— Uwaga! — powiedział „Jak”. — Zanotować dane: dwadzieścia stopni i osiem sekund szerokości północnej... jedenaście stopni, czterdzieści osiem minut, dwadzieścia sześć sekund długości wschodniej.

Groszek nachylił nad notesem zapisywał. Na koniec powiedział:

— Powtarzam: dwadzieścia stopni i osiem sekund szerokości północnej... jedenaście stopni, czterdzieści osiem minut, dwadzieścia sześć sekund długości wschodniej.

— Dobrze — powiedział „Jak”. — A teraz, moi kochani (pierwszy raz użył słowa „kochani”), należą się wam informacje. Otóż lądowanie odbyło się stosunkowo pomyślnie. Poza kilkoma wypadkami drobnych obrażeń wszyscy są w porządku... wszyscy zdrowi. Mają jeszcze nawet pewne zapasy jedzenia i napojów. O nich właściwie możemy być spokojni. Wystarczy, że rzucimy list z danymi w Yat. Tak, o nich możemy być spokojni.

— Co to znaczy „o nich”? — krzyknęła Ika.

— Rzecz polega na tym — powiedział „Jak” — że wczoraj przed wieczorem dwaj członkowie załogi, piloci, wyruszyli po pomoc. Do Yat.

— A więc dlatego... — zaczął Groszek.

— Tak — potwierdził „Jak”. — Dlatego nie mogłeś się doliczyć dwóch osób. Ci dwaj... wyruszyli, dobrze zresztą wyekwipowani, prosto w kierunku Yat.

— Ale przecież w nocy była burza! — krzyknęła znów Ika.

— Tak.

I tu głos „Jaka” stał się znów surowy:

— Dlatego ponownie zarządzam „ciszę załogi”. Wskazana jest najwyższa uwaga. Teraz brak nam już jakichkolwiek danych. Piloci mieli mapy i kompas, należy więc przypuszczać, że podążyli we właściwym kierunku. Ale musimy być przygotowani na wszelkie trudności. Była burza. Powtarzam więc polecenie: „cisza załogi” i obserwacja trasy.

— Rozkaz — odpowiedzieli.

Tak więc pod nimi w dole znów poprzez wydmy milczące i martwe popłynął — tym razem w północno-zachodnią stronę — czarny, drobny cień samolotu. Kluczył i krążył. Zawracał. Zataczał szerokie koła nieustannie i cierpliwie poszukując śladu dwóch ludzi,

którzy bez wahania poszli w pustynię, by ratować powierzony sobie los innych ludzi.

Cień krążył, zawracał, zataczał koła. Szukał śladów.

Powierzchnia wydm jednak gładka była tak, jakby nigdy nie dotknęła jej ludzka stopa. A przecież lecieli nad tą trasą, którą ci dwaj musieli już przechodzić.

Tak. Tylko że w nocy — była burza.

Bob Ferris i Jean Gable — piloci Douglasa ze Zjednoczonych Afrykańskich Linii Lotniczych, opuścili swój samolot i wyruszyli w stronę Yat w południe poprzedniego dnia.

Kiedy Douglas wylądował pośród pustyni i po kilku godzinach stało się jasne, że sytuacja jest zła — Bob i Jean nie zastanawiali się długo. Nie dłużej, niż trwa wspólne wypalenie papierosa.

Potem Bob powiedział:

— Do Yat jest około stu kilometrów.

— Nigdy jeszcze nie byłem w Yat — zaśmiał się Jean.

— Warto by pójść — mruknął Bob.

Wtedy Jean wstał, odrzucił papierosa i rzekł:

— No to idziemy.

A potem podeszli do dowódcy załogi i powtórzyli mu to. Jean dodał jeszcze, że zmiłowania boskiego nie ma co czekać i lepiej spróbować, czy własnymi siłami nie można by tego załatwić.

— Mam mało wody — powiedział dowódca.

Pokiwali głowami, że wiedzą. Ostatecznie to właśnie Bob pierwszy zauważył, że podczas lądowania pękł zbiornik i niewiele w nim zostało.

— Dostaniecie jednak trzydniową porcję — dodał dowódca.

— Spacer akurat na trzy dni — zaśmiał się Jean.

Dowódca jednak nie uśmiechał się. Był poważny. I z wielką powagą powiedział, że tego właśnie od nich oczekiwał, ale nie chciał tego od nich żądać, bo ryzyko jest zbyt wielkie. Na pustyni najlepszy nawet kompas i mapa niewiele piechurowi pomagają. Jeśli zboczą o kilka kilometrów, to może się stać tak, że... — nie dokończył.

— Ani mi w głowie zbaczać — oburzył się Jean.

Ale kiedy już mieli wyruszać w drogę, zarówno Bob, jak i Jean poprosili, by „w razie czego zawiadomić rodziny”. Bob prosił o przesłanie swego galowego munduru dziesięcioletniemu synowi. Jean zaś kazał przesłać wszystko żonie, z wyjątkiem zakupionych w Brazzaville murzyńskich naszyjników, które kupił dla ośmioletniej córki.

I poszli.

Było późne popołudnie. Ale z nieba walił się jeszcze żar i powietrze nad wydmami drżało.

Odchodzących zegnali wszyscy wesołymi krzykami i wymachiwaniem rąk. Wszyscy niby się uśmiechali, ale gdy sylwetki Boba i Jeana znikły za najbliższą wydmą, jedna z kobiet nagle zaczęła płakać.

Z początku Jean próbował rozmawiać i nawet podśpiewywać. Ale Bob od razu go ofuknął, żeby się nie wygłupiał, bo to nie spacer. Więc niech nie traci sił na próżno. I Jean umilkł.

Rzeczywiście — nie był to spacer. Mieli właściwie nie więcej niż trzy dni czasu na odszukanie Yat. Niby dużo. Ale kiedy słońce parzy jak żar paleniska w hucie, kiedy stopy zapadają się po kostki w miłkim piasku, kiedy na setki kilometrów wokół roztacza się tylko pustka — wtedy trzy dni, zapasy na trzy dni i siły na trzy dni to bardzo niewiele.

Szli więc, milcząc, miarowym, powolnym krokiem. Zmieniali się co jakiś czas, niczym

ludzie wędrujący przez śniegi. Jeden przecierał ślad, drugi szedł jego tropem. Ale i to niewiele pomagało. Całe ciało lepiło się od potu, wargi schły i pękały, język kołczał w ustach.

Minęła godzina, potem druga. Słońce zniżyło się już nad horyzontem. Wchodzili właśnie na szczyt wysokiej wydmy, gdy nagle obaj przystanęli w miejscu jak ugodzeni kulą i z ust obu wyrwał się cichy okrzyk.

Oto na lewo, w zachodniej stronie, ujrzeli nagle wielkie, białe i zielone miasto.

Wieże minaretów, palmy, białe, opadające ze wzgórza tarasami kopulaste dachy domów. Jakże było bliskie, drwiące za ścianą rozgrzanego powietrza. Wydawało się, że słysząc stamtąd odległy gwar ludzki, szum miasta, oddech jego życia.

Spojrzeni na siebie. Bob splunął krzywiąc twarz. Jean zaciął zęby.

— To jest łąjdactwo — powiedział Jean.

Bob wzruszył ramionami.

— Do kogo właściwie ty masz pretensje?

— Do nikogo.

— No więc? Fatamorgana jest fatamorganą. I kropka.

— Bob. Ale czy to na pewno jest tylko złudzenie?

— Na pewno. W tej okolicy możemy zobaczyć czterdzieści jezior, dwadzieścia miast, cztery oazy... i żadna z tych rzeczy nie będzie prawdziwa.

— Więc czy to nie jest coś w rodzaju łąjdactwa?

— Jest. Ale ja z prawami przyrody dzisiaj kłócić się nie będę. Szkoda zdrowia. Idziemy?

— Idziemy.

I ruszyli dalej. Bob patrzył wprost przed siebie. Jean jednak zerkał co chwila w stronę cudownego miasta.

To słońce urządza sobie takie zabawy. Jego promienie załamują się w przestrzeni, przenoszą obrazy o setki kilometrów, wabią oczy zabłąkanych obietnicą ratunku. Jeszcze jedno pustynne okrucieństwo. Kłamstwo, które wprawdzie budzi nadzieję, by ją potem tym okrutniej złamać. By złamać ją w ogóle.

Tak — to było kłamstwo. Po kilkunastu minutach miasto zaczęło blednąć, unosić się ku górze i rozwiewać — rozwiewać niczym dym. Szarzały zielone palmy, płowiały białe mury.

W końcu pozostała już tylko szaropłowa przestrzeń. To samo bezlitosne i zamarte morze wydmy.

Gdy miasto znikło całkowicie, Bob spojrzał na zegarek.

— Za godzinę zachód słońca — powiedział. — Po zachodzie słońca robimy półgodzinny odpoczynek. Potem będziemy szli aż do świtu.

Jean chciał zagwizdać piosenkę „Kocham Paryż”, ale wyschłe wargi nie usłuchały go.

Zmienił się z Bobem i sam zaczął torować ślady.

Na Saharze nie ma zmroku, nie ma powolnych przejść od dnia do nocy. Noc zapada nagle. Niemal bez ostrzeżenia. Idzie wraz z podmuchem chłodnego wiatru.

Noc oziębiała się szybko. Łatwiej było iść w chłodzie. Teraz dla odmiany Jean szedł przodem, przystając co pół godziny, by sprawdzić kierunek na kompasie i porównać go z mapą.

Nie rozmawiali. Dopiero gdy pokazał się księżyc, Jean powitał go radosnym krzykiem:

— Cześć, staruszkule!

Księżyc milczał. Natomiast Bob spytał głosem, w którym nie było nic z radości:

— Dlaczego on jest za mgłą?

Jean nie odpowiedział. Jego uśmiechnięta twarz nagle spoważniała.

— Czy widziałeś już kiedyś taki księżyc na Saharze? — spytał znowu Bob.

— Tak — powiedział Jean.

— Kiedy?

Jean nic nie odrzekł. Ostatecznie Bob znał odpowiedź równie dobrze, jak Jean. I w końcu to właśnie on sam sobie na to pytanie odpowiedział:

— Ja widziałem. Przed burzą.

— Nie nudź — mruknął Jean. — Będziemy się martwić, kiedy nas przyłapie.

Koło północy wiatr zaczął się wzmacniać. Jeszcze nie podnosił kłębow piasku, jeszcze wiał równomiernie. Ale i tak wiadomo było, co w istocie za tym się kryje. Księżyc otaczał się mgiełką coraz gęstsza, wygaszał swój zimny blask.

— A więc co będzie? — spytał w końcu Jean.

Bob przystanął.

— Słuchaj, stary — powiedział. — Może znajdziemy jakąś skałę, pod którą będzie się można skryć.

— Może. A jeśli nie?

Bob pokiwał głową i po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Wtedy — rzekł — wszystko będzie zależeć od tego, czy to potrwa cztery godziny, czy cztery dni. W pierwszym wypadku chyba nie damy się zasypać.

— Chyba się nie damy.

— No właśnie. Najważniejsza rzecz nie dać się zasypać.

— Dobra — powiedział Jean.

Więc znów ruszyli w drogę.

Dopiero po kilku minutach Jean się odezwał:

— Hej, Bob.

— Co?

— A co będzie, jeśli to potrwa cztery dni?

Bob cicho parsknął.

— Z takim pytaniem zwróć się do świętego Mikołaja.

— Idiotyczne żarty.

— Pytanie jest idiotyczne — rozzłościł się Bob. — Sam wiesz, że jeśli to potrwa jedną pełną dobę, zostaną po nas tylko fotografie.

Jean umilkł. Ale po chwili, dla odmiany, parsknął złośliwym śmiechem.

— O co chodzi? — spytał Bob.

— W takim wypadku — wyjaśnił Jean — ja na tym wyjdę lepiej niż ty.

— A to dlaczego?

— A to dlatego, że jestem bardziej fotogeniczny od ciebie.

— Masz przewrócone w głowie — mruknął Bob.

O drugiej przystanęli na odpoczynek. Nie ma co ukrywać. Byli już bardzo zmęczeni. Przez osiem godzin, z małą tylko przerwą, wlekli się wśród pustynnej ciszy, grzęznąć w piasku, walcząc z coraz cięższym, coraz dokuczliwszym poczuciem samotności i coraz dotkliwszym bólem mięśni i spieczonych gardeł.

— Wiesz, Bob? — powiedział Jean, gdy przystanęli. — Ostatecznie, co ma być, to będzie. Ale żal byłoby mi tamtych.

Bob wzruszył ramionami.

— A mnie żal byłoby i tamtych, i ciebie, i siebie. Z tego wynika jeden wniosek...

— Jaki?

— Że musimy uratować siebie, żeby uratować ich. Jasne?

— Niby jasne. I byłoby o wiele jaśniejsze, gdyby nie ta cholerna mgła wokół księżyca.

Podnieśli wzrok ku górze. Księżyc powoli czerwieniał, jakby padł nań odbłask dalekich pożarów.

— No, stary — powiedział Bob — uwaga! Niezadługo się zaczniesz.

I zamiast usiąść, ruszył dalej.



— Hej — oburzył się Jean. — Mieliliśmy odpocząć.

Bob nawet nie odwrócił głowy.

— Może trafimy wreszcie na jakieś kamienie, skałki, na coś, za czym będzie się można schować — powiedział.

— Wierzysz w to? — zaśmiał się gorzko Jean, wlokąc się tuż za przyjacielem. — Bo ja nie wierzę. Mnie się w tej chwili wydaje, że świat i wszechświat zbudowane są wyłącznie z piasku.

Bob machnął ręką.

— Trzeba próbować. Zobaczymy, co jest za tamtą wydumą.

Ale za „tamtą wydumą” znów był tylko piasek i znów tylko ciemny zarys nowego łańcucha wydm. Mimo to szli dalej, ku północnemu zachodowi, ciągle ku północnemu zachodowi: w stronę Yat.

Z tyłu zaś, zza ich prawych barków, z południa — nadciągała burza.

Wybuchła nagle. Niemal bez uprzedzenia.

Zwaliła się czarniejszą niż noc ścianą huraganowego wiatru. Nie był to zresztą wiatr. Takie zwykłe słowo nic w tym wypadku, już nie znaczyło. Ów podmuch straszliwego gorąca, rozpalonego piasku, ryku i wycia, w którym nie słyszało się nawet własnych myśli — nie był już wiatrem.

Dostrzegli pierwszą nadchodzącą falę burzy niemal w ostatniej chwili. Zdażyli się pochwycić za ramiona. To było najważniejsze: nie dać się zasypać i nie pogubić się wzajemnie.

Ale mimo że przygotowali się na cios, podmuch burzy od razu przewrócił ich na ziemię i zaczął toczyć przed sobą jak grudkę ziemi.

Bob coś krzyknął i od razu zakrztusił się. W końcu udało się im zatrzymać. Jean zgubił swój płaszcz. Nakryli jednak głowy płaszczem Boba i dopiero wtedy mogli zacząć oddychać. Oddychać? Nie — tylko kaszleć, wykaszliwać z ust i krtani kłujący jak igły piasek.

Wydawało się im, że pochłonęła ich otchłań jakiegoś straszliwego pieca, bez płomieni, bez dna. Żar wznagał się, dusił, dławiał gardła. Ulewa piasku wnikała wszędzie jak woda. Podmuch burzy co chwila starał się zerwać osłonę z głów.

Kosztom największego wysiłku udało się im spiąć pasy i obwiązać chustkami twarze. Leżeli na płask w kotłince między dwoma wydumami.

Nie mogli się podnieść, bo podmuch porwałby ich dalej — a równocześnie musieli co chwila wygrzebywać się z piaszczystej ulewy.

Widzieliście kiedy, jak ze stromego zbocza osuwa się strumyk piasku i porywa mrówkę? Jak drobny owad wygrzebuje się z tej lawiny i jak tonie w niej znowu?

Tak to właśnie było: dwie bezradne, ludzkie mrówki wygrzebujące się z ruchomego, piaszczystego morza.

Nie mogli — nie próbowali nawet porozumieć się ze sobą. Bo gdyby nawet huk burzy przycichł na chwilę, to zbyt wielkim trudem był już sam oddech, by tracić jeszcze siły na krzyk.

I w końcu przestali nawet myśleć.

Jeanowi przemknęło jeszcze przez głowę, że chyba właśnie tak — chyba nie inaczej wyglądać będzie koniec świata. A potem już zapomniał o wszystkim. Pozostała tylko coraz ciemniejsza ciemność, coraz gęstsze gorąco, coraz bardziej przytłaczający huk burzy.

Pierwszy ocknął się Bob. Nadal panowała ciemność, lecz była to już ciemność milcząca. Chciał się poruszyć i — nie mógł. Była to myśl najstraszniejsza: a więc przysypało ich.

Ale w sekundę później pojął, że to niemożliwe. Że ludzie przysypiani nigdy nie wracają do przytomności. On zaś żyje, myśli, czuje.

Był jednak słaby jak niemowlę. Powoli, z największym wysiłkiem zerwał z twarzy chustkę, odsunął płaszcz, uniósł głowę.

Oto świeciło słońce. Oni obaj leżeli do pasa niemal przysypani piaskiem. Z burzy nie pozostało nawet śladu. Chyba tylko ta czerwona, piaszczysta mgiełka w powietrzu.

Co z Jeanem? Krzyknął: „Jean”. Ale ten krzyk był tylko szeptem. Chciał szybko oswobodzić twarz przyjaciela z zasłon, tymczasem nieznośnie długo i niezdarnie rozplątywał węzły chustki, odciągał płaszcz. W końcu ujrzał bladą, nieprzytomną twarz.

— Jean! — krzyknął. I znowu był to tylko szept. W końcu udało mu się oswobodzić nogi z piaszczystej zasy i sięgnąć po manierkę z wodą. Zwilżył chustkę, otarł nią twarz przyjaciela, potem zaczął wlewać między zaciśnięte zęby kroplę po kropli.

Jean przełknął. Jeden łyk, potem drugi. Otworzył oczy. Chciał coś powiedzieć, ale tylko się rozkaszał. Bob pomógł mu usiąść. I w końcu Jean przemówił:

— Bob — powiedział. — Jestem do niczego.

Bob potrząsnął głową.

— Nieprawda.

Sam się zdumiał swym głosem. Skrzeczał jak pisklę kawki. Mimo to mówił dalej:

— Nieprawda. Burza przeszła, minęła. Żyjemy. A więc idziemy dalej.

I spróbował wstać. Ach — jakaż to była ciężka praca. Jakby całe rozżarzone słońcem niebo zważyło mu się na kark. A mimo to wstał.

A potem przez nieskończenie długi kwadrans dźwigał Jeana na nogi.

Jean właściwie nie bardzo pojmował, co się dzieje. Nawet nie bardzo chyba słyszał — a na pewno już nie rozumiał, co Bob do niego mówi. Mimo to Bob mówił. Mówił bez przerwy. Tak jakby po prostu sam sobie chciał wytłumaczyć, co się stało.

— Wstawaj — mówił — wstawaj, człowieku. Burza już przeszła. A my musimy iść dalej. Musimy iść do Yat. Uszliśmy dopiero nie więcej niż trzydzieści kilometrów. A to mało. To piekielnie mało. Więc wstawaj, słyszysz? Wstawaj!

W końcu udało mu się podnieść Jeana. Zarzucił sobie jedno jego ramię przez plecy, objął go w pasie. I zaczął komenderować: lewa, prawa, lewa, prawa... — jakby uczył go chodzić.

Jean był ciężki — bardzo ciężki. Ale wreszcie jakoś wpadł w rytm i poszli naprzód: lewa, prawa, lewa, prawa, le-wa, pra-wa.

Szli niczym dwaj niedołęzni starcy. Krok za krokiem, chwiejąc się, zataczając. Ale szli. I nawet nieważne było, że w tym tempie dobrną do Yat nie prędzej niż za tydzień — o ile w ogóle nań trafią.

Zegarki obu stały. Piasek zatrzymał ich bieg. Słońce wskazywało wczesny ranek. Bob sprawdził kompasem kierunek, ale kompas też był pełen drobnego pyłu piaskowego.

Mimo to Bob o tym wszystkim nie myślał. W tej chwili najważniejsze było tylko jedno: iść — iść naprzód.

— Musimy iść, Jean — mówił ochrypłym szeptem. — Lewa, prawa. Żeby nie wiem co. I będziemy szli tak nawet na koniec świata, jeśli Yat znajduje się na końcu świata. Bo musimy dojść do Yat. Rozumiesz, Jean.? Lewa, prawa... rozumiesz?

I wtedy z bezmierną radością usłyszał głos Jeana, jeszcze bardziej ochryple niż jego własny — i poczuł, że Jean próbuje iść o własnych siłach.

— Rozumiem, Bob, — powiedział Jean.

Wciąż szli. Szli pół godziny, trzy kwadranse, godzinę. Ile uszli? Śmiech wspomnieć. A po owej godzinie Jean znowu osłabł. Upadł.

Bob przysiadł obok niego. Dał mu wody, sam wypił dwa łyki. A potem usiadł tak, by przesłonić swym cieniem Jeana, sam zaś narzucił na głowę płaszcz — i popadł w niespokojną, gorączkową drzemkę.

Nagle poczuł, że ktoś szarpie go za rękę. Był to Jean. Próbował się unieść, ale nie mógł. Ale Bob już po sekundzie zrozumiał, dlaczego to Jean tak gorączkowo nim potrząsa.

Usłyszeli bowiem coraz bliższy warkot samolotowego motoru.

Bob zerwał się tak nagle, że świat pociemniał mu w oczach. Bo oto nad horyzontem ukazała się ciemna, rosnąca sekunda za sekundą sylwetka niewielkiej, sportowej maszyny. Na ten widok Bob osłabł z niezmiernego szczęścia. Musiał znów usiąść.

Zaś samolot zatoczywszy niewielkie półkole podszedł do lądowania i lekko siadł na piasku, nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów od nich.

Patrzyli nań jak na cud. A potem podniósł się daszek kabiny — i ukazały się dwie sylwetki. Bob i Jean patrzyli na nie przez długą chwilę. Patrzyli, kiedy tamci zbliżali się szybkim krokiem, wołając coś i wymachując rękami.

Potem Bob opuścił głowę.

— To znowu złudzenie, Jean — powiedział z rozpaczą. — Ja widzę tylko dwoje dzieci.

— Ja też widzę dwoje dzieci — szepnął Jean przymykając oczy. — Pustynia robi sobie żarty dość okrutne. Zamknijmy oczy. Niech znikną.

Ale mimo to s ł y s z e l i jakieś kroki. A potem jakiś chłopięcy głos p o w i e d z i a ł:

— Do you speak english?

Powiedział to powoli i śmiesznym akcentem. Ale Bob wciąż nie chciał wierzyć.

— Jean, słyszałeś coś? — spytał.

— Tak.

— Co?

— Ktoś spytał, czy mówimy po angielsku — powiedział szeptem Jean. I dodał: — Słuchaj, Bob. Któremu z nas to się wszystko śni?

Ale potem ten sam chłopięcy głos spytał:

— Douglas, one, two, five?

Wtedy musieli otworzyć oczy. Takimi słowami przecież wywoływano ich samolot.

Przed nimi stało nadal dwoje dzieci — chłopiec i dziewczynka. Chłopiec był może trochę starszy od syna Boba, a dziewczynka odrobinę młodsza od córki Jeana. Stali tuż przed nimi, trochę niepewnie uśmiechnięci — a wyglądali tak, jakby wyszli na spacer do jakiegoś wielkomięjskiego parku.

Chłopiec mówił, powoli dobierając słowa:

— Przylecieliśmy na ratunek. Chodźcie z nami. Lecimy do Yat.

A dziewczynka podeszła do nich i podała Bobowi termos. Otwarty termos, z którego pachniała najcudowniejszym z zapachów świata czarna kawa.

— Jean, ona mi dała termos — powiedział Bob.

Potem nie wierząc, że to wszystko prawda, nalał kawy do kubka i przytknął kubek do warg Jeana. Jean pił łapczywie. A potem powiedział:

— Słuchaj. To b y ł a kawa.

Bob bez słowa przechylił termos ku ustom. I aż zakrztusił się z wrażenia. Bo to n a p r a w d ę b y ł a k a w a.

— Bob — powiedział Jean. — Który to z nas zwariował? A może to my obaj tak samo zwariowaliśmy?

Bob wstał i podał termos dziewczynce. Odebrała go z dygnięciem. Wobec tego ukłonił się także. Potem spojrział na Jeana, który usiadł prosto i wodził nieprzytomnym wzrokiem od dzieci do Boba.

— Jedno jest pewne — powiedział. — Pewne jest, że jeśli nawet mamy bzika, to to jest najlepszy i najciekawszy bzik, o jakim słyszałem. Prawda, kolego? — zwrócił się do chłopca.

Ale tamten potrząsnął głową.

— Ja mało rozumiem — powiedział. — Proszę iść z nami. Lecimy do Yat.

I podszedł do Jeana podając mu rękę, jakby chciał pomóc mu wstać.

Ale Jean wstał o własnych siłach, a wyciągniętą rękę uściskał. A potem się roześmiał.

— Masz rację, Bob — mruknął. — Mieliśmy szczęście, żeby w ten sposób zwariować.

To wszystko nam się śni, to wszystko jest nieprawda. Ale to jest bardzo dobry sen. I może nawet dobrze się skończy.

Tu chłopiec musiał coś zrozumieć, bo się roześmiał i powiedział kilka słów w nieznanym języku do dziewczynki, która też wybuchła wysokim, jasnym śmiechem. Następnie zaś znów zwrócił się do nich swoją niezdatną angielszczyzną.

— Wszystko jest dobrze — powtórzył dwa razy. I znowu dodał:

— Lecimy do Yat.

— Chodź, Jean — powiedział Bob. — Ja chcę wiedzieć, jak się ten wspaniały sen skończy.

Czy sprawiła to kawa, czy dziwność całej historii? Nie wiadomo. Ale poszli za dziećmi w stronę samolotu różnym krokiem.

A potem już nawet zabrakło im słów. Czasem tylko patrzyli na siebie osłupiałym wzrokiem. Gdy bowiem doszli do samolotu, chłopiec wyciągnął notes i każdemu podał zapisaną kartkę papieru.

Na kartkach było wyraźnym, ale niewyrobionym jeszcze pismem napisane:

„Położenie samolotu pasażerskiego Zjednoczonych Afrykańskich Linii Lotniczych «Douglas 125» — dwadzieścia stopni i osiem sekund szerokości północnej — jedenaście stopni, czterdzieści osiem minut, dwadzieścia sześć sekund długości wschodniej”.

Znalazło się tu kilka błędów ortograficznych i nikt z prawdziwych lotników tak by tego nie zapisał. Ale równocześnie było to chyba najdokładniejsze określenie położenia samolotu, jakiego mógłby ktokolwiek dokonać. Nic dziwnego, że tylko spojrzeli na siebie.

A potem? Potem znów działał się ów najdziwniejszy ze wszystkich możliwych snów. Dzieci weszły do kabiny i pomogły im się wdrapać do wnętrza samolotu. Chłopiec usiadł wraz z Bobem na przednim siedzeniu, a dziewczynka z Jeanem — na tylnym. Potem przymocowali się wspólnie pasami do foteli i chłopiec powiedział po angielsku:

— Proszę niczego nie ruszać. — Później zaś dodał kilka słów w owym nieznanym języku i w tejże samej chwili zarówno Bob, jak i Jean zaczęli zamykać i otwierać oczy, szczypać się w nosy i potrząsać głowami.

Nic nie pomagało. Sen trwał dalej. Samolot zaś s a m zapuścił motor, s a m ruszył i po krótkim starcie s a m uniósł się w powietrze, pędząc na pełnych obrotach silnika ku północnemu zachodowi. Oni zaś z bezmiernym i nieustannym zdumieniem patrzyli na poruszające się przed nimi bez niczyjej pomocy drążki sterowe.

Pod nimi była pustynia, po której płynął szybki cień samolotu. Maszyna wprawdzie leciała nisko — potem nagle wzbijała się w górę i Bob krzyknął, sam nie wiedząc co, w ogromnym podnieceniu: oto bowiem gdzieś w głębi, daleko błysnęła plama osady. Wtedy siedzący obok niego chłopiec napisał na kartce notesu trzy litery: YAT.

Samolot zaś łagodnym ześlizgiem płynął w stronę osady.

Wylądowali znów między wydmami. Dzieci odpięły pasy — chłopiec powiedział:

— Wychodzimy. Już jest Yat.

— Bob — szepnął Jean. — Zaraz znowu obudzimy się w samym środku burzy. Zaraz się obudzimy.

— Na razie chodźmy — powiedział Bob.

I wyszli z samolotu.

Dzieci jednak tym razem nie poszły ich śladem. Wyglądały z kabiny, uśmiechnięte, mimo rysującego się na twarzach zmęczenia, kiwały rękami.

Chłopiec zawołał:

— Tu już jest Yat!

Potem zaś zasunęli dach kabiny. Motor znów zawarczał, samolot ruszył, coraz szybciej i szybciej po gładkiej piaszczystej dolinie — w końcu zaś poderwał się w górę i po kilku minutach znikł im z oczu.

— Bob — powiedział Jean. — Za chwilę się zbudzimy i to będzie straszne.

— Nie — powiedział Bob — sen trwa dalej. Patrz.

I wskazał na następną wydmę. Była obrosnięta szarą, zakurzoną trawą. A na jej szczycie stał mały, szary osiołek o nastroszonych uszach.

Zaczęli biec w jego stronę.

Osołek się spłoszył. Zawrócił — i znikł za wydumą. Ale gdy wbiegli na jej szczyt, z ich ust wydarł się okrzyk: bo „sen” trwał.

W ramach tego „snu” ujrzeni o kilkanaście metrów przed sobą owego osiołka i jeszcze dwa wielbłądy, i młodego, zdumionego Murzyna.

— Co to jest? — krzyknął Bob.

Murzyn zrobił taki gest, jakby chciał uciekać, ale przemógł się. Podszedł do nich. Potem powiedział:

— To jest Yat.

W dwadzieścia minut później Bob i Jean siedzieli w gabinecie prefekta, a radiostacja Yat rozsyłała nu wszystkie strony świata wiadomość o położeniu „Douglasa 125”.

Prefekt patrzył jednak na obu swych gości bardzo podejrzliwym wzrokiem. Już trzy razy ich pytał, w jaki sposób przebyli tak szybko, i to w czasie burzy, owe sto dwadzieścia kilometrów dzielące Yat od Douglasa, i ciągle nie mógł doczekać się odpowiedzi. Obaj bowiem milczeli i tylko niepewnie patrzyli na siebie.

W końcu wyższy z nich, Francuz, powiedział:

— Zdaje się, że przywiozło nas tu dwoje dzieci?

— Dzieci?! — krzyknął prefekt. — Czym?!

— Samolotem — szepnął Francuz.

Prefekt cofnął się w tył. „Biedni ludzie — pomyślał — coś im nawaliło”. Uśmiechnął się więc łagodnie, zmienił temat, wyszedł z pokoju i zatelefonował po lekarza.

Bob i Jean siedzieli zaś w fotelach i tylko patrzyli na siebie bezradnie. W końcu Bob potrząsnął głową.

— Słuchaj. A może to byli Marsjanie?

Jean machnął ręką.

— Może to byli Marsjanie, może Wenusjanie, a może w ogóle nikogo nie było! — powiedział zmęczonym głosem. — Jedno jest pewne: lepiej o tym wszystkim nikomu nie mówmy, bo nas wsadzą do „czubków”.

— Sądzisz? — zamyślił się Bob.

A kiedy chciał po raz drugi wypowiedzieć przypuszczenie, że to chyba jednak „musieli być Marsjanie”, i spojrzął na Jeana — nie powiedział ani słowa.

Bo Jean już spał.

Prefekt zaś, który po dziesięciu minutach wrócił z lekarzem, zastał już obu śpiących w fotelach. Lekarz położył palec na ustach.

— Niech śpią — szepnął. — Po zbudzeniu się prawdopodobnie wrócą do równowagi i przestaną bredzić.

Pokiwali więc obaj głowami i wycofali się na palcach.

No, dzieci — zawołał „Jak” — Na zdrowie!

I wyciął świecę jak baletnica na pokazie. Wyciął „świecę” — to znaczy skoczył prosto i pionowo w górę, aż Ice i Groszkowi zaparło dech, świat machnął kozła, a wszyscy troje w przeciągu minuty znaleźli się wysoko, wysoko ponad pustynią.

Był to skok wielkiej radości.

Oni też byli szczęśliwi. Ale każdy to okazuje na swój sposób. Tak to jest — jeden gra na fortepianie, a drugiemu się oczy świecą.

Groszek więc roześmiał się z całego serca, krzyknął też „na zdrowie!” i od razu oparł brodę na piersiach, bo go przy tej świecy zaczęło strzykać w uszach.

Natomiast Ica, najwięcej i przede wszystkim, chciało się z radości płakać. Ale ponieważ w czasie tej drogi pobeczkała się aż dwa razy, co i tak było niesłychanie dużo, postanowiła, że już na trzeci raz sobie nie pozwoli.

Wobec tego zamiast schować nos w chustkę, przełknęła tylko ślinę i powiedziała bardzo ostro:

— Znowu „dzieci”? Co pan ciągle z tymi „dziećmi”? Dzieci są w przedszkolu.

„Jak” aż zadygotał ze śmiechu.

— Ach! — zawołał. — Towarzyszka raczy wybaczyć. Roztargniony jestem. To starość. Stary jestem.

I wtedy Ika palnęła głupstwo. Wielkie głupstwo. To prawda, że wszyscy troje byli przedenerwowani, przemęczeni, a kpina w głosie „Jaka” była bardzo złośliwa. Mimo to nie powinna była jednak powiedzieć tego, co powiedziała:

A powiedziała tak:

— Stary to pan chyba jeszcze nie jest. Ale przestarzały pan już jest na pewno.

I zaraz potem zrobiło się jej bardzo, bardzo przykro. Poczula, że robi się czerwona jak ugotowany rak. Tym bardziej że Groszek aż syknął ze złości i zrobił coś absolutnie wyjątkowego: uszczypnął ją w ramię.

— To jest skandal! — powiedział. — Ty się rzeczywiście nadajesz do przedszkola.

A najgorsze było to, że „Jak” milczał. Leciął bardzo spokojnie, przestał się śmiać, pohukiwać motorami, podrygiwać w locie. I tylko milczał.

Dlatego też nic nie pomogło — i Ika wbrew wszelkim swym zwyczajom po raz trzeci uległa łzom.

— Ja nie chciałam — szlochała. — Ja przepraszam.

Groszek był jednak nieubłagany.

— Teraz przepraszasz? Trochę późno. Wcześniej trzeba było to przepraszanie przemyśleć.

Ika zaś zaniósła się płaczem z samej głębi serca. Rzeczywiście — niczym maluch z przedszkola.

— Nie chciałam — powtarzała.

— Zawsze trzeba przemyśleć... — zaczął gderać Groszek i gderałby nadal, gdyby nie „Jak”.

— Zaraz, kolego Groszek — przerwał mu nad podziw wesołym głosem. — Pierwsze przykazanie: nie nudź bliźniego swego.

I Groszek umilkł.

A „Jak” ciągnął dalej:

— A po drugie, koleżanko Ika, wcale się nie obraziłem.

— Nie? — chlipnęła Ika.

— Nie.

— Naprawdę nie?

— Naprawdę nie.

Ika z hałasem wytarła nos i spojrzała na Groszka niezbyt czule.

— Mimo to — rzekła spokojniejszym już głosem — jeszcze raz przepraszam.

— No i pięknie — zaśmiał się „Jak”. — Przyjemne to nie było, więc... proszę bardzo. A teraz na zgodę może trochę pobawimy się w akrobację? Co?

— Ależ proszę bardzo! — zawołał Groszek.

— Przywiązani do foteli?

— Tak.

— No... to uwaga.

Później, o wiele później Groszek przyznał się Ice, że gdyby wiedział z góry i przemyślał sobie, co to znaczy „trochę akrobacji”, nigdy by nie powiedział: „ależ proszę bardzo”.

„Jak” bowiem nagle oszalał.

Oto zaczął się zachowywać jak pijana jaskółka. Jaskółka, której się wszystko pomieszało: gdzie Ziemia, gdzie niebo, gdzie góra, gdzie dół. Co gorsza — trwało to kilka dobrych minut. Dobrych? Powiedzmy, że dobrych.

Przed każdą figurą akrobatyczną „Jak” zapowiadał jej nazwę: a to świeca, a to beczka, a to looping, i tak dalej, i tym podobnie. Mówiąc jednak prawdę, nie zapamiętali żadnej z nich. Nic dziwnego. Ledwo bowiem zdołali spamiętać, gdzie właściwie jest Ziemia, która przez większość owych „dobrych” minut znajdowała się przeważnie albo n a d głową, albo n a d lewym albo n a d prawym ramieniem — prawie ani razu, jak przyroda nakazuje, w dole, pod nogami.

W końcu jednak „Jak” się uspokoił, a Ziemia wróciła na swoje miejsce.

— Uff! — odetchnął Groszek.

— Dobrze, co? — spytał „Jak”.

— Trochę nawet z a dobre — mruknął Groszek, Ika zaś, która wobec tego, że Groszek utracił nieco równowagi, sama jej znów nabrała, uznała za stosowne roześmiać się.

— Hi, hi — powiedziała. — To chyba świetne.

— Może powtórzyć?

— Nie, nie! Dziękuję! — zawołała śpiesznie. Tak śpiesznie, że Groszek pokiwał tylko litościwie głową (choć sam nieco pobladł), a „Jakowi” coś zabulgotało w motorze.

— No i na zdrowie — powiedział. — Do widzenia. Afryko.

Tak — to już był czas żegnać Afrykę. „Jak” wzbił się wysoko, wysoko i Ziemia pod spodem bardzo powoli przesuwała się wstecz. Wszystko było drobne, małeńkie i dalekie. Lekka płynąca od morza mgła pomieszała trochę kolory nieba i ziemi. Morze stało się zielone, ziemia niebieska, pustynia różowawa. A to zielone, zielone morze było coraz bliżej — jakby płynęło ku nim ogromną, szeroką na cały świat falą.

— Do widzenia, Afryko! — powiedzieli oboje.

A potem Ika zwróciła się do „Jaka”.

— Dziękujemy — rzekła z powagą. — Był pan dzielny i pomógł pan nam, i właściwie to pan wszystko zrobił, i dzięki panu mogliśmy uratować tych wszystkich ludzi. Ja już nawet nie przepraszam. Ja tylko bardzo, bardzo, bardzo dziękuję.

— Ja też — powiedział Groszek.

Zaś „Jak” zachybotał skrzydłami w słońcu, zanucił coś, jakiś drobny kawałek piosenki — i odpowiedział:

— W porządku, kochani. Wszystko w porządku. Wy beze mnie nic byście nie zrobili, ale i ja bez was też absolutnie nic. Rachunek jest równy. A więc... cześć i sława wszystkim nam... bohaterom. Choć... choć niektórzy z nas są przestarzali, a inni jeszcze... całkiem niedo-starzali. Co?

— Przepraszam — zniecierpliwiła się Ika — ale ja już pana przeprosiłam, a pan ciągle i ciągle...

— Trzeba było uważać — mruknął Groszek.

— Ale pan... ciągle i ciągle... — powtórzyła.

— Dobra, dobra. Wcale się nie gniewam, bo to i prawda. Uchodzę za niezgorszą maszynę. Jeszcze dwadzieścia lat temu biłbym wszystkie rekordy świata.

Groszek pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Tak, tak. Tylko że dwadzieścia lat temu to o k r o p n i e dawno.

— Hm, właśnie — mruknął „Jak”. — A jeszcze dziesięć lat temu byłem dla wszystkich dobry. Tylko że wy się tak spieszycie.

— Kto wy? — zdziwił się Groszek.

— No wy... ludzie. Przez pięćdziesiąt tysięcy lat wóz na kółkach był ciągle dobry i nie przestarzały. Potem lokomotywa parowa całe sto lat była w modzie. A potem się już wszystko pokręciło ze środy na piątek. Taki pocziwina Kapitan dziś już do muzeum się nadaje w porównaniu z nowszymi modelami, a ja też lada chwila do drzwi tego muzeum zastukam. Myślicie, że nie wiem, żem przestarzały? Mało się ze mnie odrzutowce na lotnisku śmieją?

— To już nieładnie — oburzyła się Ika.

— Spokojna głowa — zaśmiał się „Jak”. — Niedługo już będą miały w niej przewrócone. Już rakiety zaczęły latać. A słyszałem, że są też próby, które z samych rakiet mogą zrobić ogólne pośmiewisko.

— Z rakiet? Niemożliwe — mruknął Groszek. — Jakie próby?

— Niemożliwe? — zaperzył się „Jak”. — A próby z przewyciężeniem grawitacji Ziemi to co?

— Gra... czego? — spytał Groszek.

— Co proszę? — spytała Ika.

— Gra-wi-ta-cji. Znaczą się... przyciągania Ziemi.

— Aha! — powiedzieli, ale dość niepewnie.

— To trzeba by jeszcze przemyśleć — dodał Groszek.

— Toteż przemyślą. Przemyślą bez przerwy — zaśmiał się „Jak”. — Wiecie, co to jest przyciąganie Ziemi, co? No... siła ciężenia.

— No... — zaczęła Ika.

— To, co sprawia, że wszystko spada na Ziemię? — dodał Groszek.

— Powiedzmy. A teraz chodzi o to, żeby wymyślić coś takiego, żeby Ziemia przestała przyciągać. I wtedy...

— Wtedy? — spytała Ika.

— Wtedy na latanie nad Ziemią, na wylatywanie na Księżyc i dalej jeszcze mogłyby sobie nawet dzieci pozwalać.

— Te z przedszkola? — spytała groźnie Ika.

— Tak, tak! — zawołał „Jak”. — Te z przedszkola.

— Ale co tu trzeba wymyślić? — uparł się Groszek.

„Jak” wzruszył skrzydłami.

— Gdybym ja wiedział. Ważne, że trzeba. I że wtedy nawet rakiety pójda do muzeum.

— Taaak — westchnął Groszek. — To jednak rzeczywiście trzeba bardzo uważnie przemyśleć.

Westchnął, a potem ziewnął. Od jego ziewania zaraziła się Ika. Może nawet w locie „Jaka” było coś takiego jakby i on ziewnął. Wrażenie to pogłębiło się i przez to, że wlecieli właśnie w nudne i senne chmury.

— No tak — mruknął „Jak” — śródziemnomorski niż barometryczny przesuwają się powoli nad Europą środkową.

— Przepraszam — powiedziała zmęczonym głosem Ika. — Ale co to właściwie znaczy?

— To znaczy — wyjaśnił — że chyba już do samej Polski będziemy lecieć w tej brudnej wacie.

— To nudne — ziewnęła Ika.

— Rzeczywiście — zgodził się „Jak”. A po dłuższej chwili dodał: — Ale jest jeden sposób na tę nudę.

Ika nie odezwała się, więc Groszek zbudził się z zamyślenia.

— Jaki? — spytał.

— A zrobić to, co koleżanka Ika — powiedział „Jak”.

Groszek spojrzał na Ikę: spała. Westchnął z ulgą, że przynajmniej śpiąc żadnego nowego głupstwa nie powie. Równocześnie jednak trochę się rozczulił — miała bardzo zmęczony i



bezbronny wyraz twarzy.

No tak — nic dziwnego, że była zmęczona i że on sam też czuł się jak po całodziennym, nieprzerwanym meczu piłki nożnej. Ostatecznie odwalili niezły kawał roboty. Nie było się czego wstydzić.

— Ja jednak spać nie będę — mruknął cicho.

— Rozkazu nie ma — odpowiedział łagodnie „Jak”, przepychając się przez szaroperłowe, ciężkie i senne od deszczu chmury. Nie spytał nawet, dlaczego Groszek nie zamierza usnąć. Może wyczuł, że byłoby to dość kłopotliwe pytanie.

Groszek bowiem właśnie zdecydował się, że nie zostanie jednak konstruktorem samolotów. Doszedł mianowicie do przekonania, iż byłoby to mimo wszystko zajęcie zbyt już staroświeckie. Należałoby raczej zająć się bliżej sprawą takiego na przykład przyciągania Ziemi. Tą... grawitacją. To znaczy czymś, co by pozwoliło zmieniać to przyciąganie na odciąganie — i tak dalej.

Trzeba przyznać, że myślenie o tym było dość wyczerpujące. Groszek zatem przymknął oczy — by się nie rozpraszać.

„Więc jak? — myślał. — Jak by sobie z tym poradzić? A może... może na przykład...”

Niestety — nie ukrywajmy tego — właśnie przy owym „na przykład” Groszek usnął.

A „Jak”, lecąc poprzez chmury śródziemnomorskiego niżu barometrycznego (który powoli przemieszczał się nad środkową Europą), nastawił sobie radio na Moskwę i słuchał koncertu piosenek.

Ktoś właśnie śpiewał „Czeremchę i bez”.

— Uwaga! Uwaga! — odezwał się urzędowym głosem „Jak”. — Proszę przygotować się do lądowania.

Groszek ocknął się pierwszy. Początkowo był przekonany, że zdrzemnął się tylko na moment — że po prostu zastanawiając się głęboko nad sprawami przyciągania Ziemi, przez kilka minut zastanawiał się trochę z a głęboko. I nic więcej.

Ale po tej pierwszej chwili zrozumiał, że znowu przespali ogromną większość lotu.

— To już? — zawołał.

— To ju-u-u-u-uz? — potworzyła z wielkim ziewnięciem Ika.

— Tak by wypadło — zaśmiał się „Jak”. — Dobrze spali moi pasażerowie?

— I znowu nic nie widzieliśmy — zmartwił się Groszek.

— Nic nie było do oglądania — pocieszył go „Jak”. — Lecieliśmy cały czas w chmurach.

— Zdaje się — powiedziała Ika — zdaje się, że coś bym zjadła.

— O, jak rany — stęknął Groszek.

Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że właściwie od wczorajszej kolacji nic nie jedli ani nie pili, poza odrobiną lemoniady z jednego z termosów i kilkoma łykami kawy, którą pozostawili dwaj tamci lotnicy.

A w dodatku to mimo wszystko było zawstydzające. Lecieli nad Półwyspem Bałkańskim, nad Węgierską Równiną, nad Czechosłowacją i połową Polski — i co? I nic. Spali. Śpiący bohaterowie. Jedynym usprawiedliwieniem były ostatecznie te chmury.

— Uwaga. Schodzimy do lądowania — powiedział „Jak”.

Chmury szły nisko. Wyskoczyli z nich w gęstym deszczu, nie więcej niż trzysta metrów nad ziemią. „Jak” lekko przechylił się na skrzydło i wtedy ujrzeli gęsty, ciemny las, a za lasem puste pole, na którego skraju czerniała sylwetka — Kapitana.

„Jak” dotknął ziemi i wytracając szybkość podjechał do niego z elegancją i szykiem — zatrzymał się dosłownie dwa metry od samochodu.

— A więc, moi drodzy i kochani — powiedział — zrobiliśmy swoje. Teraz czas na pożegnanie. Może jeszcze się spotkamy, na ziemi lub w górze. Prawda?

— Ach, mój kochany — powiedziała Ika wysiadając. — Jak mogę pana uścisnąć?

— Właśnie — dodał Groszek.

— Proszę... tylko bez zbytnich czułości, bo mi się silnik zatrze ze wzruszenia. A co do uścisków? Proszę bardzo. Proszę uścisnąć me śmigło.

Zeskoczyli na moką ziemię.

— Witajcie! — zawołał Kapitan.

Deszcz zacinał wraz z ostrym, skośnym wiatrem. Było zimno i mroczno, choć pora jeszcze dość wczesna — piąta po południu.

— Sprawileś się, „Jak” — powiedział Kapitan.

— Co nieco! — roześmiał się po swojemu „Jak”, a w tym śmiechu każdy uważniejszy słuchacz odkryłby bardzo czułe nutki. W tej bowiem właśnie chwili Ika, a potem Groszek cmoknęli go prosto w śmigło.

— Do widzenia, „Jaku”! — zawołali razem. — Do widzenia!

— Byłeś bardzo dzielny i dobrym przyjacielem — powiedziała Ika.

— Nigdy cię nie zapomnimy — powiedział bardzo poważnie Groszek.

— Nawet jak będę w muzeum?

— Och, „Jaku”! — krzyknęła Ika.

— Cześć i sława — powiedział. — Bardzo was polubiłem. A teraz przestańcie już moknąć. No... najtrudniej się rozstać. Do widzenia! Do wi-dze-nia.

— Do widzenia! Do wi-dze-nia! — wołali jeszcze wtedy, gdy „Jak” znikł już za ścianą gęstniejącego deszczu, który niczym werble stu doboszów bębnił po dachu Kapitana.

Kapitan zaś, wyjechawszy na warszawską szosę, ruszył pełnym gazem prosto w stronę domu.

— Ach, Kapitanie! — westchnęła Ika. — Czy wiesz...

— Wiem, wszystko wiem. „Jak” nadawał z całej podróży stale komunikaty. Jestem szczęśliwy, że tak poszło. Byliśmy tacy niespokojni...

— Kto?

— My wszyscy — mruknął Kapitan. — Ja, telefony z dworca, mózg elektronowy i tamte cztery radiostacje... w ogóle wszyscy. A teraz...

— Co teraz? — spytał Groszek.

— Moi kochani — powiedział uroczyście, tak uroczyście, że aż musiał zwolnić. — Jestem z was dumny.

To była bardzo miła chwila. Uśmiechnęli się więc, podziękowali i umilkli.

Kapitan zaś znów pędził wraz z wiatrem, jakby nie był weteranem, lecz najnowszym modelem wyścigowego samochodu z odrzutowym silnikiem.

Mrok powoli zapadał. Nad Warszawą zaczęło się błyskać. Potem doszedł ich daleki poszum grzmotu.

Ika roześmiała się.

— Groszek. To ma być burza?

Groszek pokiwał wyrozumiale głową.

— Co zrobimy na kolację? — spytał.

Ice rozbłysły oczy.

— Naprzód — powiedziała z tęsknotą w głosie — naprzód zrobimy sobie kanapki z wędlinami, z piklingiem i z filecikami.

— Tak — ciągnął dalej Groszek jak w natchnieniu. — Z wędlinami, z piklingiem i filecikami. A potem odgrzejemy sobie kurę i podsmażymy ziemniaki. Ja zrobię sałatkę.

— Świetnie. Ty zrobisz sałatkę, a ja otworzę puszkę z kompotem. Są także bezy.

— Wiwat! Zapomniałem o bezach! — wrzasnął Groszek, a Kapitanowi ze śmiechu omal nie zagotowała się woda w chłodnicy.

Tak więc na kolację zrobili sobie to wszystko, o czym tu już wspomniano — a była to

chyba najsmaczniejsza kolacja w ich życiu.

Odbyła się ona zresztą w nastroju uroczystym. Bezpośrednio po przybyciu do domu otrzymali kilka telefonów gratulacyjnych — dzwonił nawet aparat z kabiny nr 3 na Dworcu Głównym, delegaci centrali miejscowej i nawet sama centrala międzynarodowa. Oczywiście jako pierwszy złożył gratulacje własny aparat Iki (bo to właśnie u niej w mieszkaniu mieli zjeść kolację) — następnie zaś za pośrednictwem głośnika radiowego pozdrowiły ich kolejno cztery radiostacje.

Podczas samej zaś kolacji głośnik naprzód nadał taki wyjątek z dziennika wieczornego:

— Jak podaje agencja AFP, samolot pasażerski Afrykańskich Linii Lotniczych został odnaleziony na Saharze, na południowy zachód od miejscowości Yat. Ponieważ nie udało się ustalić, kto właściwie pierwszy odkrył miejsce przymusowego lądowania „Douglasa 125”, uratowani pasażerowie, ich rodziny oraz zarząd Linii Lotniczych tą drogą składają podziękowania tym wszystkim, którzy przyczynili się do uratowania pasażerów i załogi samolotu.

Wiadomość tę głośnik powtórzył dwukrotnie, wesoło mrugając magicznym, zielonym okiem.

Następnie zaś zapowiedział:

— Obecnie nadajemy, przy pomocy radiostacji Kapsztadu, Oslo, Paryża i Kijowa, specjalny koncert przeznaczony dla bohaterskich ratowników „Douglasa 125”.

Groszek właśnie przełykał kanapkę z piklingiem. Napuszył się przy tym jak biały paw.

— Słyszałaś? — mruknął. — B o h a t e r s k i c h!

Ika pokiwała głową, przełknęła swoją kanapkę z pasztetówką, a potem powiedziała:

— To jednak trzeba przemyśleć.

— Co znowu?

— Jak zadziałać, żeby się nam w głowach nie przewróciło.

Spojrzał na nią z oburzeniem, że niby: co za kpiny?!

Ale potem na chwilę się zastanowił. Zastanowiwszy się zaś powiedział:

— A wiesz co?

— Co?

— Masz rację.

Na dalsze rozmowy nie było jednak już czasu, bo przyrumieniona złociście kura czekała na swą kolej. A potem — kompot. I bezy. Tylko że na bezy właściwie zabrakło już miejsca — i wcale tak nie smakowały, jak się z początku wydawało. Trudno bowiem na świecie o pełne szczęście.

Kiedy rodzice wrócili wczesnym rankiem, narzekając na deszcz i drogę powrotną — wszystko było w największym porządku. Co miało być zjedzone, zjedzono.

Nawet naczynia pomyte i wytarte stały na swoich miejscach.

Obie matki zdziwiła tylko jedna sprawa: że w butach i skarpetkach zarówno Iki, jak i Groszka pełno było piasku. Mama Iki w swoim mieszkaniu, a mama Groszka w swoim — obie podniosły brwi.

Pierwsza spytała:

— A cóż to znowu? W piasku się bawili?

A druga:

— Pełne buty piasku? Babki stawiał czy co?

Ani Ika, ani Groszek nie odpowiedzieli. Spali snem twardym i szczęśliwym.

Obaj ojcowie zaś roześmieli się. Ojciec Groszka wzruszył ramionami.

— Sama wczoraj bawiłaś się w piasku.

A ojciec Iki — który zawsze (jak mówiła mama) miał „jakieś pomysły” — powiedział po prostu:

— Widocznie byli na Saharze.

## PRZYGODA TRZECIA

Największa przygoda zdarzyła się w ostatnią — znowu ciepłą i słoneczną — niedzielę września.

Poprzedniego dnia ojciec Iki powiedział przy kanaście:

— Dzieciom też się coś należy.

— Słusznie! — zgodził się ojciec Groszka. — Ale co im się należy?

Rodzice siedzieli we czwórkę przy stole, grali w kanastę i narzekali na to, że przy takiej pięknej pogodzie trzeba będzie siedzieć w mieście, ponieważ jedni i drudzy zostali zaproszeni na pewne imieniny, na które muszą pójść... „bo się solenizant obrazi”.

Kiedy przestali w końcu narzekać — a nawet doszli do przekonania, że sobie na tych imieninach trochę potańczą — ojciec Iki powiedział właśnie, że „dzieciom też się coś należy”. Potem ojciec Groszka spytał „ale co?”, zaś w pokoju, w którym Ika z Groszkiem o coś się spierali, nastąpiła nagła cisza.

Mama Groszka, która właśnie wygrywała, nie lubiła rozmów przy kartach.

— Gra się — spytała — czy się rozmawia?

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu. Mama Groszka mimo dobrych zapowiedzi przegrała grę. I wtedy powiedziała:

— A co miałeś na myśli?

Ojciec Iki uśmiechnął się.

— Wycieczkę.

— Jak to? — zawołały obie matki. — Same dzieci? Na wycieczkę? Dokąd? Którędy? Same?!

— Czy ja powiedziałem „same”? — zdziwił się ojciec Iki.

Ktoś chyba cichutko zachichotał w drugim pokoju. Rodzice spojrzeli po sobie, matka Iki pokiwała palcem mężowi, a ojciec Groszka nie wytrzymał i roześmiał się na cały głos.

— Ciotka Dydaktyka jedzie jutro do Kazimierza nad Wisłą — powiedział ojciec Iki słodziutkim głosem. — Dzwoniła, czy nie puścilibyśmy z nią dzieci. Jak sądzicie, czy można?

Wtedy w pokoju, w którym dotychczas było cicho, rozległ się wielki krzyk:

— Można! Moż-na! Moż-na! Moż-na!

I oto Ika z Groszkiem krok w krok, ręka w rękę, ramię w ramię — wmaszerowali do pokoju. Wołali do taktu: „moż-na! moż-na!”, okrążyli stół, a potem ze skromnymi minami stanęli przy ojcu Groszka, który powiedział:

— Wniosek przeszedł. Można.

— A ciotka Dydaktyka ich nie zanudzi? — mruknęła matka Iki, choć było to niezbyt w porządku wobec ciotki.

— Nie — powiedział ojciec Iki. — Jedzie z narzeczoną.

— Ahaaa! — powiedzieli wszyscy.

A potem ojciec Iki zwrócił się do córki i Groszka z bardzo poważną miną:

— A czy w y nie zamęczycie ciotki Dydaktyki?

— Nie ma mowy — oświadczyła Ika.

— A co powie Groszek?

Groszek pokiwał w zadumie głową.

— Ja się zastanawiam — wiedział — czy w ogóle istnieje na świecie taka siła, która mogłaby zamęczyć ciotkę Dydaktykę.

No i tak zostało postanowione, że dzieciom też się coś należy — i że wobec tego jadą z ciotką Dydaktyką oraz jej narzeczoną na wycieczkę do Kazimierza.

Ciotka Dydaktyka po pierwsze, nie była żadną ciotką, tylko koleżanką mamy Iki. Po drugie — wcale nie nazywała się Dydaktyka, tylko Danka. A po trzecie, przewano ją Dydaktyką, bo twierdziła, że świat stoi na odpowiednim a wzajemnym wychowywaniu człowieka przez człowieka, czyli na dydaktyce.

Zasadniczo ciotka była świetnym kumplem, póki nie przypominała sobie o dydaktyce. Na szczęście nie zdarzało się to częściej niż raz na dzień.

Ostatnio zresztą ciotka zakochała się w pewnym znajomym ojca Groszka — i bardzo przycichła. Narzeczony był bowiem również dość wymownym człowiekiem i nie lubił, kiedy mu przerywano.

Z Warszawy do Kazimierza jechało się około czterech godzin pociągiem i godzinę autobusem. Pierwsze półtorej godziny mówił tylko narzeczony ciotki, a ciotka czule słuchała.

Trzeba zresztą przyznać, że ów duży, rudy i piegowaty narzeczony dawał się słuchać, choć trudno go było czasem zrozumieć, bo mówił o bardzo trudnych rzeczach.

Mówił mianowicie o archeologii. Był bowiem naukowcem, specjalistą od wykopalisk, i właśnie ostatnio odkrył jakieś ogromnie ciekawe ślady słowiańskiej osady sprzed półtora tysiąca lat.

— Ogłomnie ciekawe — mówił, wymawiając „ł” zamiast „r” — ogłomnie.

— Ach! — wzdychała Dydaktyka.

— To będzie łewelacja — kiwał głową Rudy.

Ika szturchnęła Groszka łokciem.

— Ty — szepnęła — co to jest: łewelacja?

— Rewelacja? — mruknął. — To jest coś niezwykle. Coś ogromnie niezwykle.

— Tak — zadumał się na głos Rudy — to będzie chyba ogłomna łewelacja.

I umilkł.

Wszyscy milczeli. Byli w przedziale tylko we czwórkę. Pociąg jechał przez las — jesienny, cudowny las: złoty, czerwony, żółty, miejscami tylko przebity ciężką zielenią sosen.

*Melancholijne dni, oczarowanie oczu,  
Kocham jesieni pożegnalny smutek.*

To ciotka Dydaktyka zaczęła mówić wiersz.

Kiedy skończyła, Rudy poprosił:

— Powiedz go łaz jeszcze, kochanie.

Powiedziała.

Zasłuchali się w muzykę tego wiersza o jesieni, każdy na swój sposób, Ika patrzyła na jesienny las, a jej ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej. Rudy przymknął powieki i położył swą rękę na dłoni ciotki.

A Groszek patrzył właśnie na ciotkę Dydaktykę — i zdumiał się nie tylko urodą wiersza. Zdumiała go bowiem twarz ciotki: po raz pierwszy dostrzegł, że nieładna, a nawet brzydka ciotka Dydaktyka potrafi nagle wypięknąć. Znikły surowe zmarszczki na czole, oczy rozjaśnił łagodny uśmiech, głowa przechyliła się lekko na ramię. Jak to się stało? Jakim cudem ostry głos ciotki Dydaktyki taki się zrobił miękki i ciepły?

„Aha! — pomyślał Groszek. — Ciotka Dydaktyka jest zakochana. Warto tę sprawę przemyśleć, bo od razu widać, że najlepsza Dydaktyka to Dydaktyka zakochana!”

W Puławach trzeba się było przesiąść z pociągu do starego, trzeszczącego, roztrzęsionego autobusu.

Ice to się bardzo nie spodobało.

— Tym autobusem — mruknęła — Mieszko I jechał do chrztu i już wtedy wytopił

świece.

— Ika — powiedziała groźnie ciotka Dydaktyka. — A może wolisz piechotą? Miałoby to dla ciebie poważne znaczenie wychowawcze.

Ale Rudy wszystko załagodził. Wpakował plecaki na dach autobusu, do ciotki powiedział „koteczku”, więc od razu ucichła i zmrużyła oczy właśnie jak kot w słońcu — gdy zaś autobus ruszył, Rudy uniósł jasne brwi i spytał:

— Łaskawa pani zapewne połusza się wyłącznie przy pomocy odrzutowców?

Ika poczerwieniała.

— Łaskawa pani — palnęła ostro — b ę d z i e się poruszać przy pomocy odrzutowców.

— Albo łakiet?

— Albo rakiet.

Ciotka Dydaktyka chciała się już wmieszać w tę rozmowę, ale Rudy znowu położył rękę na jej dłoni.

— Łaskawą panią śmieszy załówno płaństwo Mieszko, jak pławie historyczny autobus? — zwrócił się znów do Iki.

— Śmieszy!

Groszek pokiwał głową.

— Poczucie humoru nie jest zabronione — powiedział w stronę wierzby, którą właśnie mijał autobus.

— Nie jest — zgodził się Rudy — i nie będzie. I właśnie dlatego za nowe tysiące lat jakaś nowa Ika będzie pękać ze śmiechu, że ktoś tam, kiedyś tam, na przykład w dwudziestym wieku, połuszał się przy pomocy jakichś tam niedorzecznie stałozżytnych odrzutowców i łakiet. Będzie czy nie będzie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Tylko Groszek znowu pokiwał głową.

— Trzeba by to przemyśleć.

Rudy się zaśmiał.

— I słusznie.

Autobus kołysał się na wybojach niczym łódź na sztormowej fali. Z koszyka siedzącej w tyle autobusu przekupki wystawił nagle głowę jakiś rozsierdzony gąsior i zagegał jak na alarm. Rudy mrugnął okiem — i odpowiedział gęganiem tak znakomitym, że gąsiora prawdziwego aż zatkało. Zaś ciotka Dydaktyka, zamiast oburzyć się, zachichotała wraz ze wszystkimi.

— Ach, ty rudy gąsiorze! — szepnęła.

Kiedy w autobusie się uspokoiło, a Ika spojrzała przyjaźniejszym okiem na „Rudego Gąsiora” — ten objął ciotkę Dydaktykę ramieniem i rozgadał się całkiem tak samo jak na początku podróży.

— Na wiosnę — zaczął — odwiedziłem bałdzo ciekawą hutę żelaza.

Groszek cicho westchnął. „Zaczyna jak pogadankę radiową” — pomyślał, Ika jednak słuchała uważnie. Przestała nawet zauważać owo „ł” zamiast „r”. A Rudy opowiadał i opowiadał. Na koniec zaś rzekł:

— Huta była rzeczywiście niezwykle ciekawa. Obecnie nie jest już czynna. Ale swego czasu musiała być ostatnim krzykiem nowoczesności. Kiedy ją oglądałem, nie mogłem się oprzeć jednej myśli. A wiecie jakiej? A takiej, że bez tego, co wymyślili i wynaleźli budowniczo- wie tej huty, mielibyśmy chyba po dziś dzień poważne kłopoty. Możliwe, że nie potłafili byśmy zbudować nawet takiego „przedpotopowego” autobusu. Bo musicie wiedzieć, że wszystko jest ważne. Oni też się liczą...

— Kto? — spytał Groszek.

Autobus wyjechał zza zakrętu i w jesiennym słońcu błysnęła Wisła. Rudy Gąsior uśmiechnął się.

— Powiedziałem: budowniczo- wie i wynalazcy tej huty.

— No pewnie — zgodziła się uprzejmie, ale już dość obojętnie Ika. — Huta jest hutą. Ale Groszka dziwił tajemniczy uśmiech Rudego.

— Przepraszam — spytał nagle. — Ale kiedy ta huta była zbudowana?

— Półtola tysiąca lat temu — powiedział łagodnie Rudy.

Ika, a nawet ciotka Dydaktyka miały w tej chwili oczy tak wielkie jak talerze — no, jak talerzyki deserowe.

— O, jak rany — westchnął Groszek. I skrzywił się pociesznie. — Znowu się nacięłaś. Całkiem jak z „Jakiem” — szepnął do Iki.

Ika tym razem się nie zezłościła. Popatrzyła bardzo uważnie na Rudego.

— Masz rację — przyznała również szeptem.

A kiedy już wysiadali na prześlicznym kazimierzowskim rynku, kiedy ogarnęła ich jesienna cisza — Ika i Groszek najwyraźniej usłyszeli, jak ciotka Dydaktyka szepnęła do Rudego:

— Złotko. Przecież z ciebie jest znakomity dydaktyk.

Groszek szturchnął Ikę.

— Słyszałaś?

— Oczywiście — mruknęła Ika. — Teraz już wiadomo.

— Co?

— Jakie „co”? Że się pobiorą.

Groszek spojrział na zwrócone ku sobie twarze dorosłych. Skinął głową.

— To jest życie — mruknął już wyłącznie do siebie i na własny użytek.

Był to dzień czarującej, jesiennej urody. Lasy dokoła miasteczka stały jak w pożarze, czerwone, brązowe i złote. Słońce za to pełne było łagodności, zaś w powietrzu, na fali cichego wiatru, płynęły pajęczne nitki. Po prostu jesień: dużo piękna, trochę smutku.

Nie można było zatem tracić czasu. Obiad zjedli bardzo wcześnie — i przed nimi otwarło się całe, ogromnej długości popołudnie.

— Ośmiogodzinne popołudnie odpoczynku — powiedział Rudy. — Co łobimy z tak pięknie łozpoczętym wieczorem?

Ika z Groszkiem spojrzeli po sobie.

— Może... — powiedział Groszek. — Może my byśmy, we dwójkę z Iką, poszli na Górę Zamkową.

— Wy byście? — oburzyła się ciotka Dydaktyka. — Sami?

— We dwójkę już nie jesteśmy sami — tłumaczył łagodnie Groszek.

Ika zaś dodała jeszcze łagodniejszym tonem:

— Nie chcielibyśmy przeszkadzać.

Ciotce Dydaktyce zabrakło odpowiedzi. Toczyła się w niej bowiem zaciekle walka. Była to walka pomiędzy ciotką Dydaktyką, niewzruszoną opiekunką i wychowawczynią całej ludzkości (z dziećmi na czele), a pomiędzy ciotką zakochaną, marzącą o spędzeniu przepięknego, jesiennego popołudnia z miłym, rudym i równie jak ona zakochanym archeologiem.

Kto zwyciężył? Zwyciężyła ciotka zakochana. Powiedziała:

— Ostatecznie... nie jesteście już dziećmi.

— Właśnie — przytaknęła Ika.

— Ale — i tu na moment obudził się jeszcze dawny duch ciotki Dydaktyki, więc głos jej zabrzmiał surowo i ostrzegawczo: — Ale kolacja punkt o ósmej. Nie ma żadnych spóźnień.

Groszek wyprężył się, stuknął obcasami.

— Rozkaz — powtórzył. — Nie ma żadnych spóźnień.

— Chwileczkę — powiedział Rudy. — Żeby nie było spóźnień, trzeba znać godzinę.

Odpiął z ręki swój wspaniały zegarek ze stoperem oraz dwoma sekundnikami i wręczył go zdumionemu Groszkowi.

— Płoszę — rzekł. — W ten sposób nie będzie rzeczywiście żadnych spóźnień.

— Ależ, kochanie... — zaczęła ciotka.

— Ależ, kochanie — przerwał jej z wesołą powagą Rudy. — Dydaktyka opieła się przede wszystkim na zaufaniu. Cześć, młodzieży świata!

A więc skłonili się i poszli w stronę Góry Zamkowej.

Groszek co chwila spoglądał na zegarek — i nie ma co ukrywać: podwinął rękaw koszuli, by każdy mógł dostrzec, co on mianowicie nosi na przegubie lewej ręki.

W końcu powiedział:

— Ten Rudy to jest w gruncie rzeczy wielki człowiek.

— Prawdopodobnie — odrzekła sucho Ika, która była zdania, że równie dobrze ona mogła zaopiekować się zegarkiem.

Oboje jednak od razu o nim zapomnieli, gdy tylko znaleźli się na stromej, leśnej ścieżce, którą skrótem można było wyjść niemal prosto na ruiny zamku zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego.

Było tu cicho, tajemniczo, dziwnie.

Umilkli więc. Szli bez szelestu — oczarowani. To właściwie już była przygoda: odnaleźć nagle w znanym, wielokrotnie odwiedzanym miejscu całkiem coś nowego — całkiem nowe, nie przeczuwane piękno. A więc zamysłone drzewa, łagodne słońce, białe nitki pajęczyn i wreszcie, prześwitującą zza drzew, lśniąca niczym rybnie łuski, falę dalekiej Wisły.

W końcu jednak ścieżka wyprowadziła ich na łyse, zawieszane nad gościńcem zbocze. Jakby się przebudzili z krótkiego, ślicznego snu.

Groszek od razu spojrzał na zegarek.

— Trzynasta siedem — powiedział.

— A ile sekund? — spytała zgryźliwie Ika.

— Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden... — zaczął skrupulatnie wyliczać Groszek i prawdopodobnie wyliczałby dalej, gdyby nie to, że właśnie o trzynastej minut siedem i dwadzieścia dwie sekundy rozległ się niemal tuż obok nich jakiś bardzo znajomy głos.

Był to zaś głos s a m o c h o d o w e j s y r e n y.

Po sekundowej przerwie odezwał się znowu. Trzy długie, trzy krótkie i znów trzy długie sygnały. Jakby wołał: SOS!

— To Kapitan! — krzyknęła Ika.

— To Kapitan... — szepnął Groszek.

I oboje, właściwie bez chwili namysłu, rzucili się stromym zboczem w dół, nie dbając o ostre ciernie czarnych jeżyn i głógów.

Groszek zaczępił paskiem o jakiś leszczynowy pręt i na chwilę musiał przystanąć, toteż pierwsza na dole znalazła się Ika. Tuż za nią przeskoczył dzielący szosę od zbocza góry rów — Groszek.

Tak — to n a p r a w d ę b y ł K a p i t a n. Zakurzony, brudny, zdyszany. Od motoru buchało jeszcze gorąco, a cała karoseria drżała jak po wielkim, ciężkim wysiłku.

— Kapitanie! Co się stało, Kapitanie? — pytała Ika.

Kapitan nie witał się, nie żartował. Otworzył z trzaskiem drzwiczki i powiedział tylko jedno słowo:

— Siadajcie!

Usłuchali natychmiast. Ledwo zaś zdążyli usiąść, Kapitan szarpnął ku przodowi i już po stu metrach spadł w największą szybkość.

Ze wszystkich spotkań to spotkanie było najdziwniejsze. Jak ich odnalazł? Jak się tu



pojawił w jasny dzień. D l a c z e g o się pojawił?

Nie pytali jednak o nic. Wiedzieli, że prędzej czy później dojdzie do wyjaśnień, a przy takiej szybkości Kapitan nie zechce wypowiedzieć jednego nawet słowa.

Kapitan wyminął jakiś autobus i dwie osobówki z dziecinną wprost łatwością. Kierowca drugiej omal że nie wpadł przy tym na drzewo, ujrzawszy za kierownicą rozpędzonego wozu tylko dwoje dzieci, z których żadne n i e t r z y m a ł o rąk na kierownicy.

W pewnym momencie Kapitan przyhamował ostro i wjechał wprost w wyboistą, boczną drogę polną. Nie wyglądała ona na to, by kiedykolwiek tknęły ją opony samochodu. Mimo to niewiele zwolnił.

I oto zaczęła się jazda tak piekielna, że właściwie przypominała lot poprzez afrykańską burzę piaskową. Kamień nie kamień, korzeń nie korzeń, wybój nie wybój — Kapitan nie dbał o nic. Nawet kamienisty strumień go nie powstrzymał.

Pał naprzód jak czołg. Gałęzie drzew i krzaków biły o dach i szyby, motor dyszał i kaszłał z wysiłku. Kapitan zaś zaczął się wdrapywać pod górę drogą, po której już nawet konne furki poruszały się chyba z trudnością.

Ika i Groszek trzymali się kurczowo siedzeń. Milczeli nadal. I tylko serca biły im niespokojnie, coraz niespokojniej. Oboje rozumieli, że czeka ich przygoda takiej miary, że nawet domyślić się jej trudno. Opętany bieg Kapitana i jego zawzięte milczenie wskazywały na to w sposób dostateczny.

W końcu Kapitan osiągnął szczyt wzgórza.

Droga już biegła po równi, a o kilkanaście metrów przed nimi prześwitywała przez drzewa wielka i pusta, milcząca w słońcu polana. Właśnie tu Kapitan zwolnił i bardzo już ociężale, jakby ostatkiem sił, dojechał do samego jej skraju.

Wreszcie przystanął.

Nie odzywał się jeszcze przez kilka sekund, jak zgoniony człowiek, który nim powie słowo — musi wydyszeć wpieryw z siebie najcięższe zmęczenie. Milczenie to trwało równo pięć sekund — ale ledwo je znieśli. Ciągnęło się bowiem nieznośnie, niezmiernie długo. Zbyt długo na ich niepokój: czego t y m r a z e m od nich oczekują? Co t y m r a z e m mają uczynić?

Wreszcie Kapitan odezwał się bardzo zmęczonym, cichym głosem:

— Ika! — powiedział. — Groszek! Czekasz najtrudniejszą próbę, jaką ktokolwiek i kiedykolwiek przeszedł.

— Słuchamy — szepnął Groszek.

— Niewiele potrafię wam wytłumaczyć. Sam nie wiem prawie nic. Spełniam tylko rozkazy. Kazano mi was przywieźć tutaj.

— Kto?

— Ci wszyscy z nas, którzy są przyjaźni ludzkości. Którzy chcą im pomagać. Radiostacje i maszyny elektronowe, stacje radarowe i zespoły instrumentów astronomicznych. Kazano mi przywieźć was tutaj i zapytać, czy chcecie pomóc.

Poblądłe policzki Iki zarumieniły się nagle.

— Jak pan może w ogóle nas o to pytać? — krzyknęła.

— Czekaj, dziecko — powiedział przygasłym głosem — tym razem sprawa jest bardzo ciężka.

— Co mamy zrobić? — spytał Groszek.

Kapitan przez chwilę się wahał. Potem odpowiedział szeptem:

— Macie... opuścić... Ziemię!

Spojrzeli na siebie, Ika położyła dłoń na wargach. Groszek ujął ją za ramię.

— Jak to? — pytał. — Jak?

— Nie wiem — szepnął Kapitan. — Ja miałem was tylko przywieźć tutaj.

— Ale właściwie dlaczego? Po co?

— Nie powiedziano mi... To się dopiero ma okazać.

Umilkli. W lesie panowała niezwykła cisza — nie odzywał się ni owad, ni ptak. Nawet łagodny wiatr powstrzymał swój lot i drzewa stały w bezruchu.

W końcu Ika pierwsza przerwała milczenie:

— Czy mamy opuścić... Ziemię... na zawsze?

— Nie! — powiedział Kapitan. — Nie! To wiem, że nie na zawsze. Na bardzo krótko. I wiem jeszcze tylko tyle, że bardzo wiele od tego ma zależeć.

— Co ma zależeć?

— Nie wiem „co”. Wiem tylko, że ogromnie wiele.

Ikę zaczął nagle ogarniać gniew. Groszek nadal milczał zacisnąwszy wargi — jakby patrzył w górską przepaść. Natomiast twarz Iki rozpalił rumieniec. Uderzyła nawet pięścią w kolano.

— Przecież nie mamy skrzydeł! To jakieś głupstwo. Możemy zrobić wszystko. Ale przecież musimy wiedzieć, dlaczego i po co? I jak?

— Ika — powiedział cicho Kapitan. — To jest jakaś niezwykła, nagła i tajemnicza sprawa. Powtórzyłem tylko to, co mnie samemu podano do wiadomości. Mądrzejsi ode mnie zwrócili się do was w tej sprawie. Powiedziano mi: zawieź ich tam i tam. Poproś o pomoc. A jeśli się zgodzą, niech wyjdą na środek tej polany. Przywiozłem, poprosiłem. Reszta należy do was.

— I co mamy robić?

— Powiedziano mi: reszta należy do nich.

— To nic nie znaczy! — krzyknęła Ika.

Wtedy właśnie Groszek ujął ją za rękę.

— Czekaj! To czasem coś znaczy. Tylko ja się na jedno nie zgadzam.

— Na co? — spytał Kapitan takim głosem, jakby ogarnął go nagły strach.

— Na to, żeby Ika szła razem ze mną. Idę sam.

— Groszek! — krzyknęła Ika.

— Idę sam!

— Nie pójdziesz beze mnie!

Groszek uparcie potrząsnął głową, Ika chciała chyba w pierwszej chwili wybuchnąć wielkim gniewem — ale nagle, niemal wbrew sobie, uspokoiła się.

— Kapitanie — spytała. — Czy to do nas obojga się zwrócono?

— Do was obojga.

— A więc do widzenia, Kapitanie! — powiedziała otwierając drzwiczki.

— Ika! — zawołał rozpaczliwie Groszek, wyskakując za nią z auta i chwytając ją za rękę. Chciał coś jeszcze krzyknąć — ale nie zdołał z siebie wydobyć głosu, Ika też przystanęła w pół kroku.

Przed sekundą jeszcze milcząca w słońcu polana była pusta. Poprzez nieruchome, przejrzyste powietrze widzieli każdy niemal liść stojących na przeciwległym jej brzegu drzew, każdą oświetloną słońcem gałązkę.

W tym zaś momencie, gdy Ika i Groszek wyskoczywszy z Kapitana postąpili zaledwie dwa czy trzy kroki ku środkowi polany — powietrze nagle jakby nabrało nieprzewidzianej barwy i ciężaru. Obraz zamglił się, przeciwległa ściana lasu zadrżała jakby i znikła. Zaś na jej tle ukazał się niewyraźny, migotliwy kształt czegoś, co w rysunku przypominało ogromną, na pół przezroczystą, pełną tęczyowych pobłysków kulę.

— Do widzenia! — powiedział Kapitan. — Do widzenia! I bądźcie tacy jak zawsze.

A potem cicho, na tylnym biegu zaczął się cofać leśną drogą, pomiędzy milczące drzewa, coraz dalej i dalej.

W końcu znikł i ucichł całkowicie.

Oni jednak jakby tego nie zauważyli. Stali nadal bez ruchu, trzymając się za dłonie,

oniemieli, niemal nie oddychając.

Oto bowiem wyłaniał się przed nimi — z niczego, po prostu z powietrza — coraz wyraźniejszy kształt wielkiej jak dom, gładkiej jak lustro, srebrzystej kuli. Co dziwniejsze — mimo swego ogromu i niezwykłego, zda się, ciężaru kula ta nie leżała na ziemi. Wyglądało tak, jakby wspierała się tylko o same czubki wysokich traw polany.

— Co to jest? — szepnęła Ika.

— Nie wiem — odpowiedział Groszek.

Spojrzeni na siebie. I te spojrzenia mówiły więcej niż słowa. Mówiły tak: boimy się, nie wiemy, co nas czeka, wcale w tej chwili nie jesteśmy odważni ani dzielni. Ale — mówiły dalej te spojrzenia — trzeba iść naprzód... proszono nas... obiecaliśmy... a więc: idziemy naprzód?

Groszek mocniej ścisnął dłoń Iki.

— Idziemy — powiedział.

Szli krok za krokiem. Powoli, ale coraz pewniej. Kula, ogromna i nieruchoma, była coraz bliżej. W końcu przystanęli o krok od jej lśniącej jak lustro, nie odbijającej jednak żadnego obrazu powierzchni.

— Tak — powiedział Groszek marszcząc czoło. — I co dalej?

— Nie dotykaj! — krzyknął nagle.

Ale Ika właśnie dotknęła już końcami palców dziwnej powierzchni.

— To jest... — zaczęła.

Chciała powiedzieć: to jest bardzo twarde. Ale w tym samym momencie część kulistej powierzchni, właśnie tuż przed nimi — znikła. Po prostu znikła. A równocześnie otworzył się jakby korytarz o bładniebieskich, lekko świecących własnym światłem ścianach.

Biegł on łagodnym skrzętem jak w ślimacznicy. W jego głębi zamigotało łagodne, z i e l o n e ś w i a t ł o. Ażeby jednak wstąpić na podłogę tego korytarza, trzeba było podejść dalej, pod kulę, do miejsca, w którym dolny jej brzeg stykał się z wierzchołkami traw.

— Zielone światło — szepnęła Ika.

— Tak — odpowiedział również szeptem Groszek.

A wtedy Ika... roześmiała się. Tak — roześmiała się, sama nawet nie bardzo wiedząc dlaczego.

— Zielone światło? To znaczy: wolne przejście — powiedziała wesoło.

I poszła naprzód.

Groszek poczuł na twarzy rumieńce wstydu. Skoczył za nią, w dwu susach ją wyprzedził i tuż przed progiem odbił się jak do wielkiego skoku.

Ale źle coś sobie obliczył. Wskoczył na podłogę owego jasnoniebieskiego korytarza z pełnym rozpędem — i najzwyczajniej w świecie zarył nosem w podłogę. Zerwał się od razu, mając uszy pełne chichotu Iki, która aż przysiadła na widok jego na poły złej, a na poły przestraszonej miny.

— No, co chichoczesz jak sroka? — parsknął wściekły.

Ika zaś, ocierając łzy śmiechu, podeszła powoli do krawędzi otwartego przed nimi korytarza i dostojnie wstąpiła na lekko uginającą się niczym gąbka podłogę.

Gdy jednak tylko postawiła drugą nogę na owej dziwnej posadzce, śmiech zamarł jej na wargach.

Oto bowiem bez szelestu, bez jakiegokolwiek drgnienia kula... zamknęła się. Znikła z oczu trawa polany, skrawek lasu w ciszy i słońcu.

Stali w pośrodku jasnoniebieskich, świetlistych ścian zakręcającego się z obu stron korytarza.

— Tego należało się spodziewać — powiedział Groszek. — Chodź!

— Do... dokąd? — spytała.

— Do zielonego światła.

Mieli przed sobą dwie drogi. Ale w jednej z nich jasnoniebieski kolor ścian ciemniał, przechodził w ciemniejszy błękit, a nawet szafir. W drugiej natomiast co chwila przybierał i zamierał delikatny, zielony blask.

Było to tak, jakby ktoś przyzywał ich owym migotaniem niby łagodnym ruchem dłoni.

Spokorniała nagle Ika wsunęła palce pod łokieć Groszka i ruszyła o pół kroku z tyłu za nim.

Zielone światło prowadziło ich krok za krokiem. A kiedy obejrzeni się — spostrzegli, że szafirowy kolor postępuje za nimi.

— Czekaj — powiedziała Ika — dlaczego tu nie ma cienia?

— Dopiero to cię zaciekało? — cierpko skrzywił się Groszek. — Uważaj, bo jak zaczniesz o wszystko pytać, to gotowaś pytać do końca życia... a i tak nikt ci nie odpowie.

— Cienia nie ma — powiedziała z przekonaniem Ika — bo światło idzie ze wszystkich stron. Nawet od podłogi.

— Cicho bądź — zezłościł się Groszek. — Mam ważniejsze sprawy na głowie. No... bo co teraz?

Rzeczywiście — co dalej? Korytarz kończył się ślepa, błyszcząca, jakby zieloną mgiełką — ścianą. Mgiełka rozjaśniła się, przygasła, znów rozjaśniła — a wreszcie przenikła przez ścianę i już jej nie było.

— Co teraz? — powtórzyła Ika bezradnie.

— To trzeba przemyśleć — mruknął Groszek. — Zaraz.

— Jakie znowu „zaraz”?

— Jeśli światło nas prowadziło, to znaczy... że... — mówił w zamyśleniu Groszek — że trzeba iść za nim.

— Zwariowałeś. Przez ścianę?

Groszek uśmiechnął się.

— A może nie ja zwariowałem... tylko ściana? — powiedział i położył na owej ścianie rękę.

— Groszek! — wrzasnęła Ika.

Miała powód do krzyku. Ręka Groszka bowiem weszła w ścianę jak w wodę. Po prostu zanurzała się w niej. Wyglądała jak ucięta. A równocześnie wyraz twarzy Groszka świadczył o tym, że nic, ale to nic złego mu się nie stało.

— Co krzyczysz...? — zaczął. Ale nagle skrzywił się i wyrwał rękę, jakby przypieczono ją żelazem.

— Co? — szepnęła Ika przyskakując do owej ręki.

— O, jak rany! — stękał Groszek.

— No mów: co się stało?!

Ale on tylko przytknął przegub do ucha.

— Zegarek Rudego... — powiedział rozpaczliwie, od razu jednak się rozpromienił. — Idzie.

— Och ty! — tupnęła nogą. — Ja tu się zamartwiam, że coś się stało, a ty...

Ale Groszek jej nie słuchał. Uczynił natomiast najdziwniejszą rzecz, jaka mogła wydarzyć się komukolwiek i kiedykolwiek. Właściwie uczynił — cud. Właśnie cud. Postąpił bowiem dwa kroki naprzód — a za trzecim wszedł w ścianę i znikł. Zwyczajnie poszedł przez ścianę.

Ika tylko głęboko westchnęła — i nagle ogarnął ją niezmierny strach. Korytarz za nią pociemniał już do ciemnego szafiru, cień gęstniał, a Groszek znikł, przepadł, rozwiął się.

Jeszcze nigdy w życiu nie była tak strasznie sama... tak opuszczona przez wszystkich na świecie.

— Och, mamo — jęknęła słabym głosem.

Ale zamiast matki, spojrzała na nią ze ściany uśmiechnięta twarz Groszka.

— Chodź, siostró — powiedział. — Cudów nie ma. To jest ściana „przechodnia”.

A oprócz głowy wystawił z „przechodniej” ściany wskazujący palec, którym pokiwał w sposób tak złośliwy i bezczelny, że Ice od razu przeszły wszystkie strachy.

— Ustąp się — powiedziała ostro. — Idę.

Groszek znikł. Ona zaś postąpiła krok, drugi, trzeci i robiąc czwarty ujrzała, jak jej własna stopa niknie w ścianie. A potem?

Potem przeszedł ją jakby lekki, chłodny dreszcz i znalazła się tuż obok Groszka w wielkiej, sześciennej sali.

Rozejrzała się dokoła. A potem powiedziała:

— Groszek! Myśmy jednak chyba zwariowali.

— Uspokój się — mruknął.

Rozglądali się w milczeniu. Sala była niby zwyczajna. Ale właśnie tak „zwyczajna”, jak wszystko w tej kuli. To znaczy zbudowana i umeblowana wbrew wszystkim zasadom, do jakich byli przyzwyczajeni.

We wszystkich sześciu ścianach — to znaczy na czterech bocznych, w suficie i podłodze — były okrągłe okna. Okna? Można by to i tak nazwać, gdyby nie fakt, że nie padało przez nie żadne światło.

Ale to jeszcze nic. Bo przy k a ż d y m z okien stały po dwa niby-fotele, niby-sofy. Przy każdym — to znaczy i na bocznych ścianach, i na suficie. Między zaś tymi „fotelami” stały niby-stoliki. A na stolikach jakieś przezroczyste naczynia, w których było widać i kolorowe płyny, i kolorowe, mieniające się, nieznanne owoce.

No dobrze. To, że stały na podłodze, to była rzecz całkiem naturalna i całkowicie zrozumiała. Ale one stały t a k ż e na ścianach bocznych i na suficie. Te pierwsze bokiem — a te drugie? Te drugie po prostu do góry nogami.

— I ty mi będziesz tłumaczyć, że n i e jesteśmy w Tworkach? — spytała zgryźliwie Ika.

Ale Groszek nie odpowiedział. Miał twarz zasłuchaną we własne myśli. Właśnie taką, jak kiedy naprawdę trzeba było coś przemyśleć.

A potem powoli, wahając się nieco, podszedł do bocznej ściany i, odchylony lekko w tył, w s z e d ł n a ś c i a n ę.

Ika aż przysiadła na podłodze, a on szedł i szedł. Doszedł do sufitu, wszedł na sufit. Tam już włożył ręce do kieszeni i gwizdnawszy pod nosem, pobiegł drobnym truchtem. Przy fotelach stojących do góry nogami zatrzymał się na chwilę, przysiadł na jednym z nich.

Wtedy dopiero spojrzał w górę (to znaczy z punktu widzenia Iki w dół) i roześmiał się na całe gardło.

Zerwał się z fotela i pędem pobiegł przez sufit, boczną ścianą i wreszcie znalazł się znów obok niej.

— Ty rozumiesz? — krzyknął.

— Nie — szepnęła. — Nie rozumiem.

— Tutaj nie ma grawitacji.

— Czego?

— No... przyciągania. Rozumiesz? Nie ma.

Ale Ika potrząsnęła przecząco głową.

— Gdyby nie było, tobyś wisiał w powietrzu.

Groszek spojrzał na nią nieprzytomnie. I po chwili palnął się w czoło.

— Masz rację! Jest inaczej.

— No właśnie.

— Jest tak — ciągnął jak w natchnieniu — że ci, co to zrobili, mogą każdą powierzchnię zamienić w podłogę. Pamiętasz, co mówił „Jak”? Oni panują nad grawitacją.

Ale Ika znów się rozzłościła.

— Przystań wrzeszczeć. Lepiej powiedz: jacy „oni”?

Zamilkł. Rozejrzył się bezradnie. Wzruszył ramionami.

I właśnie w tej chwili okno tej podłogi, na której stali, rozjaśniło się jasnym blaskiem. Podbiegli doń, nachylając głowy jak nad studnią. Co w nim ujrzeli?

Ujrzeli, jak nagle, z niepojętą szybkością, widoczna przez okno Ziemia ucieka w tył niczym pocisk armatni. Oto już po sekundzie rozlał się przed ich oczami ogromny obraz wzgórz i pól. Błysnęła niteczka Wisły. Potem strzępki chmur. Potem nagle Ziemia zaczęła się zaokrąglać, zaokrąglać... zaczerniały plamy mórz...

— Patrz! — szepnął Groszek — Europa.

Potem szepnął:

— Azja.

Potem zaś, najciszej, szepnął:

— Ziemia.

W oknie bowiem, na tle nagle pociemniałego nieba ujrzeli wciąż malejącą i malejącą, nieco jakby spłaszczoną, świecąca mdłym, na pół księżycowym blaskiem kulę — coraz mniejszą, coraz dalszą o j c z y z n ę Z i e m i ę.

— Groszek — powiedziała bardzo spokojnym głosem Ika. — Dokąd my lecimy?

Zwrócił ku niej pobielającą twarz i tylko rozłożył ręce.

Wtedy ona spojrzała po raz ostatni w okno. A potem całkiem swobodnie rozsiadła się w fotelu i zadała jeszcze jedno pytanie:

— No to powiedz, komu z nas to się śni? Tobie czy mnie?

Ale i na to pytanie nie było odpowiedzi.

— Już jej nie widać — powiedział Groszek.

— Kogo?

— Ziemi.

Ika machnęła ręką. Wzięła w dłonie stojące na stoliku naczynie — podobne do małej kulistej butli — w którym zakołysał się różowy płyn.

— No, popatrz — zdziwiła się.

W chwili, w której ujęła naczynie w ręce, na szczycie butli uformował się jakby dzióbek od czajnika. Bardzo apetyczny dzióbek. Tylko, przytknąć do warg — i pić.

Uczyli więc to.

— Och! — westchnęła.

Piła bowiem coś... coś niezwykle wspaniałego. Co to właściwie za napój? Mieszały się w nim jakieś na pół znane i całkiem nie znane smaki. Płyn był chłodny, lekko musujący — i cudownie orzeźwiający.

Groszek nawet nie zwrócił na nią uwagi. Wciąż stał nachylony nad oknem, ze ściągniętą niepokojem twarzą.

— Słońce! — powiedział patrząc na niewielką, rozżarzoną kulę, która podobnie jak Ziemia malała z każdą sekundą — i wkrótce stała się już tylko jedną z milionów rozsianych po czarnym niebie gwiazd — trochę jedynie jaśniejszą niż inne.

Wtedy dopiero Groszek spojrzał na Ikę, która z przymkniętymi oczami rozsmakowywała się we wspaniałym napoju.

— Co ty robisz? — krzyknął. — Zostaw to!

— Ani mi w głowie.

Chciał jej wyrwać naczynie z ręki, ale schowała je za siebie.

— Po pierwsze, usiądź — powiedziała.

Powiedziała to głosem tak spokojnym, że dał się przekonać. Poczuł, że w jej spokoju jest jakaś racja, Ika zaś pociągnęła jeszcze jeden solidny łyk z różowego dzióbka.

— Widzisz — uśmiechnęła się. — Nie ma się czego bać.

— Ja się nie boję — warknął. — Ja jestem tylko ostrożny.

— Bardzo dobrze.

— To się dopiero okaże, czy dobrze.

Ika zrobiła wielce słodkie oczy.

— Groszuniu — powiedziała — zamiast się złościć, spróbuj z tej drugiej butelki.

Wzruszył ramionami. Ale właściwie i z emocji, i z pragnienia w gardle mu zaschło nie gorzej niż na Saharze. A drugie okrągłe naczynie z takim samym płynem stało na stoliku w odległości wyciągniętej ręki. Więc wyciągnął rękę i ujął butelkę w dłoń.

A kiedy tuż naprzeciw jego ust uformował się niezwykle apetyczny dzióbek, już bez żadnych oporów i wahań przytknął go do ust.

— No, dość! — powiedziała Ika.

Oderwał się z trudem.

— Co to jest? — spytał. — Ananas truskawkowo-jabłkowo-gruszkowy czy gruszka cytrynowo-malinowa?

Ika roześmiała się bardzo wesoło.

— A skąd ja mogę wiedzieć, „co to”? Wystarczy, że wiem, jakie jest to coś!

— No jakie?

— Świetne.

— Wymyśliła — mruknął zabierając się znowu do picia.

Ice błysnęły oczy.

— A żebyś wiedział, że coś wymyśliłam.

— Hm... a co?

— Po pierwsze, że niby się pije, a nic nie ubywa.

— Cooo?! — Groszek oderwał się od swojej butli i spojrzał na nią z komicznym strachem.

— Rzeczywiście — szepnął. — A po drugie?

— Mało ci? Po drugie...

— Czeka! — przerwał ostro.

Musiał wpaść na jakąś myśl bardzo istotną, bo zapomniał nawet o butelce. Odstawił ją na stół. Ale tak był pochłonięty ową myślą, że odstawił naczynie trochę obok stołu — co więcej: nawet nie zauważył, że naczynie to nie tylko od razu zwinęło swój dzióbek, lecz zamiast spaść na ziemię, delikatnie i z wdziękiem samo ustawiło się na lśniącej powierzchni stolika.

Ika wpięrowo popatrzyła na ustawiające się na stoliku naczynie — ale w gruncie rzeczy już to ją nawet nie bardzo zdziwiło. Potem podniosła oczy na Groszka.

— No i co?

Groszek zaś wstał z fotela, zwrócił się ku Ice i pouczająco uniósł ku górze wskazujący palec.

— Wymyśliłem: co po drugie.

— Oho!

— Żebyś wiedziała.

— Właśnie chcę wiedzieć.

— A więc... — powiedział Groszek i swobodnie a dumnie z powrotem rozsiadł się w fotelu, sięgając znów po naczynie z owym ananasowo-truskawkowo-cytrynowo-malinowym „nie-wiadomo-czym”.

— A więc — powiedział — doszedłem do przekonania, że nie jest tak źle.

— Jak źle?

Ika wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Od razu o tym wiedziałam.

— Od razu? — zdziwił się Groszek. — A kto wołał: „Och, mamoo”?

— Akurat — mruknęła Ika. — I to już wszystko, co wymyśliłeś?  
— Nie. Wymyśliłem jeszcze całkiem coś innego.  
— No mów wreszcie co?  
— A to — powiedział pociągając łyk za łykiem — że były dwie możliwości. Pierwsza, że złapano nas w zasadzkę.  
— Hm, w zasadzkę? A kto?  
— Kto? Dokładnie nie wiem.  
— Całkiem jak ja — mruknęła Ika.  
— Ale była też druga możliwość — ciągnął niewzruszenie Groszek — że po prostu zostaliśmy na swój sposób zaproszeni.  
— Zaproszeni? A przez kogo?  
— Dokładnie nie wiem. Ale...  
I tu umilkł uśmiechając się z zadowoleniem. Ikę zaś w tym właśnie momencie o mało nie wzięli diabli.  
— „Dokładnie”! — zdenerwowała się. — „Dokładnie”! Z ciebie jest duży filozof. A co ty wiesz „n i e d o k ł a d n i e”?  
— Otóż to! — powiedział. — To jest najważniejsze! Lepiej coś wiedzieć niedokładnie niż nic w ogóle nie wiedzieć.  
Ika odstawiła swoją butlę, wstała i podeszła do Groszka z taką miną, że aż się odchylił do tyłu.  
— Ika — rzekł ostrożnie — tylko spokój. Tylko spokój może nas uratować.  
— Ciebie nic nie uratuje — powiedziała przez zęby — jeśli natychmiast nie powiesz mi wszystkiego, co sobie wydumałeś.  
— No już dobrze, dobrze. Tylko usiądź.  
— Nie usiądę. Mów.  
— A więc... dokąd dokładnie lecimy?... nie wiem. Kto zbudował te... tę kulę, wynalazł takie świecące i przechodnie ściany, takie butelki, słoiki... takie hece z tą grawitacją... też nie wiem. Ale...  
— Ale?  
— Ale myślę sobie — ciągnął coraz pewniejszy siebie Groszek — że wszystko to zbudował i wymyślił ktoś taki, kto jest sto albo tysiąc razy mądrzejszy niż ludzie. Kto na przykład z naszych rakiet i odrzutowców ma prawo tak się śmiać jak ty z krowy zaprzęzonej do chłopskiego wózka... albo z tego autobusu w Puławach.  
— Hm — mruknęła Ika siadając obok niego. — Tak myślisz?  
— Tak myślę. I myślę nawet jeszcze więcej.  
— Co znowu?  
— A to, że to są jakieś niesłychanie mądre istoty. Pewnie mieszkają gdzieś w gwiazdach i umieją już tyle, ile ludzie będą wiedzieli za tysiąc lat. Albo i więcej.  
— Mądre? To ja wiem od początku. I co z tego?  
— A widzisz — powiedział Groszek z naciskiem. — Jeżeli są bardzo mądre, to nie mogą być bardzo złe. A nawet... powinny być bardzo dobre.  
— Skąd wiesz?  
— Stąd, że dbają o nas właśnie tak, jak o zaproszonych gości.  
— Czeka, czekaj... — skrzywiła się podejrzliwie. — Czy ty myślisz, że to są jakieś dobre duchy?  
— Duchy? — parsknął śmiechem. — Dziecko jesteś? Duchów nie ma. Powiedziałem: istoty. Bo jak miałem powiedzieć? Ludzie?  
— No rzeczywiście — zgodziła się. — Niech będzie istoty.  
— No i one — ciągnął Groszek — te właśnie istoty traktują nas jak zaproszonych gości.  
— Czy aby na pewno?



— A na pewno — zaperzył się. — To wiem prawie dokładnie.

— Skąd?

— Stąd, że mamy wspaniałe powietrze do oddychania, najlepszy na świecie napój do picia, najwygodniejsze fotele. A choćby i to, że wszędzie mamy podłogi. Wiesz, co to znaczy?

— Co? — zamrugła oczami.

— To — wołał już z triumfem — że jak wszędzie są podłogi, to my znikąd spaść nie możemy ani też nic na nas spaść nie może. Sto procent wygody i bezpieczeństwa. Może nie?

Ika zadumała się na długą chwilę. Potem spojrzała na Groszka, a w jej wzroku krył się niewątpliwy szacunek. Nawet wcale się nie krył, wprost przeciwnie: był bardzo jawny.

— Daj rękę — powiedziała — słowo honoru, że chyba masz rację.

Groszek spuścił niby skromnie oczy, ale błąkający się po jego wargach uśmiech wcale o zbytniej skromności nie świadczył. Aby go ukryć, sięgnął do owalnego naczynia, w którym leżały jakieś dziwne, tęcze owoc. Nie zdziwiło go to już, że ścianka naczynia sama uchyliła się przed jego dłonią.

Ujął w dłoń owoc — i ugryzł.

Nie powiedział ani słowa, tylko westchnął. Ale na widok jego miny, wywróconych w zachwycie oczu i pełnego szczęścia westchnienia Ikę porwał taki apetyt, że nawet się nie spostrzegła, kiedy chwyciła w dłoń coś, co było niby brzoskwinia, a niby grejpfrutem — i... aromatyczny sok pocięła Ice po brodzie niczym maluchowi z przedszkola.

— Uważaj! Poplamisz fotel! — zabełkotał Groszek pełnymi ustami.

Było jednak już za późno, Ika, bojąc się poplamieć jasny sweter, odruchowo nachyliła się ku przodowi — i struga soku trysnęła prosto na wygięte oparcie fotela.

— Ale wstyd! — mruknął Groszek. — A widzisz?

Ika nachyliła się nad fotelem. A potem... wzruszyła lekceważąco ramionami.

— Co „a widzisz”? Nic nie widzę.

— Jak to? Musiałaś poplamieć...

— Właśnie, że nie musiałam. Znajdź mi tę plamę.

Groszek wstał ze złą miną podszedł do fotela Iki i rzeczywiście — nie dostrzegł niczego.

— Co to jest? — spytał.

Ika spokojnie skończyła jeść, a potem zamiast wytrzeć ręce w chusteczkę, zaczęła ocierać je o fotel.

— To już szczyt wszystkiego... — zaczął groźnie Groszek, ale zająknął się i urwał.

To bowiem rzeczywiście był szczyt wszystkiego. Oto ręce Iki nie tylko nagle zrobiły się suche i czyste, ale stało się coś absolutnie nieprzewidzianego — otóż „odwieczna” plama z atramentu na trzecim palcu prawej ręki — plama, która właściwie nie zniknęła nigdy, właśnie t e r a z znikła.

— To już szczyt wszystkiego — powtórzył.

A potem tknięty nagłą myślą obejrzał podeszwy swych butów, a na koniec wykręcił się do tyłu, by obejrzeć lewą nogawkę swych szortów, na której jeszcze od lata widniała wielka plama z czarnych jagód.

— No po... popatrz — jęknął z zachwytem. Albowiem podeszwy butów czyste były niczym okienna szyba po porządkach wiosennych — a szorty! Jakby wyszły prosto ze sklepu.

— Oho! — zaśmiała się Ika. — To już rzeczywiście szczyt wszystkiego. Grosio w czystych szortach.

Groszek w końcu też się zaśmiał.

— Widziałaś coś takiego? Toż to skrzyżowanie odkurzacza z pralnią chemiczną...

— ...barem owocowym, statkiem kos... kosmicznym i...

— ...i astronomicznym obserwatorium! — dokończył Groszek zabierając się do innego,

jasnoseledynowego owocu, który roztopiał się w ustach niczym mrożona czekolada, smakiem przypominając nagrzaną słońcem, doskonale dojrzałą poziomkę.

Tak więc w gruncie rzeczy zrobiło się tu bardzo wesoło i przyjemnie.

Oboje rozsiedli się wygodnie na fotelach — z tym, że Ika postanowiła zmienić miejsce i przeszła sobie na lewą boczną ścianę, a Groszek na prawą.

Siedzieli więc teraz naprzeciw siebie, zadzierając głowy do góry i co chwila chichocząc z radości jak dwie rozplotkowane kawki.

Ale w końcu Groszek znowu spoważniał. Wstał i zaczął obchodzić wszystkie okna. Gdy tylko stawał nad którymś z nich, matowa powierzchnia zamieniała się jakby w przejrzysty kryształ — za nią zaś widniał nie kończący się obraz gwiazdnego świata i czarnej próżni kosmicznej, migoczącej miliardami drobnych świetlnych smug, skaczących w przestrzeni jak iskry.

Na koniec podszedł do okna przy fotelu Iki, beztrąsko objadającej się piątym z kolei przysmakiem, Ika nadal była w świetnym humorze i dość ironicznie patrzyła na jego zatroskanie.

Gdy jednak i ona zajrzała w otwierającą się za oknem otchłań, ów dobry humor również się skończył.

Stała obok Groszka.

— Słuchaj — szepnęła. — Czy to koniec świata? Dlaczego nie ma gwiazd, tylko takie iskry i smugi?

Potrząsnął głową.

— Nie bądź dzieckiem — powiedział. — Wszystko jest, jak powinno być, tylko my tak pędzimy, że gwiazdy się nam zamazują w oczach.

— Aha — westchnęła z ulgą. — Jak drzewa, kiedy się wyciąga autem setkę po szosie?

— No właśnie.

Ice zatem wróciło lepsze samopoczucie.

— To czym się martwisz?

— Czym? — powiedział Groszek takim głosem, jakby pytał samego siebie. — Tym, co my właściwie mamy robić? Co nas czeka?

Ika spojrzała nań uważnie. Po chwili powiedziała:

— Nie bój się. Przyjdzie czas, to się dowiesz.

Groszek wzruszył ramionami.

— Z ciebie jednak jest jeszcze dzieciak. — I nagle się zezłościł. — Czy ty nie rozumiesz, że my tutaj jesteśmy właściwie czymś jeszcze głępszym niż para osłów? Jesteśmy dwa przedhistoryczne stworzenia... analfabetów... i w ogóle zera. I co my w ogóle potrafimy zrobić? Nic! Mniej niż zero!

Ika jednak nie zamierzała poddawać się zniechęceniu. I nawet się nie oburzyła na Groszka, choć w pierwszej chwili oczy błysnęły jej bardzo groźnie. Stało się tak, jak to zawsze między nimi było: kiedy jedno traciło odwagę, drugie stawało się w dwójnasób dzielne — kiedy jedno poddawało się zwątpieniu, w drugim nadzieja rosła za dwoje.

— Groszek! — powiedziała. — Pamiętasz, co mądry Rudy mówił o tych starodawnych hutnikach? Że choć byli pra... no, jak to się mówi?... aha, płahistołyczni... to jednak on ich szanuje. No... Groszek... Przecież te twoje i s t o t y nie są chyba głępsze od Rudego. I przecież do swojego ZOO nas nie wiozą.

Spojrzał na nią z wdzięcznością. Przemówiła mu do rozumu — ale mimo to nie potrafiła go całkowicie uspokoić.

Usiadł obok niej na drugim fotelu i zamyślił się.

— Bo... rozumiesz mnie? — odezwał się w końcu. — ZOO czy nie ZOO... to nie takie ważne. Ale co my potrafimy zdziałać przy takich jak ci, co to wszystko wymyślili?

— A pamiętasz, co powiedział Kapitan?

- Pamiętam.
- No więc właśnie — uśmiechnęła się zwycięsko.
- Wystarczy, jeśli będziemy tacy jak zawsze.
- No więc powiedz sama: j a c y?

To pytanie było bardzo kłopotliwe. Bo... jacy oni właściwie są? Ani zanadto mądrzy, ani zanadto piękni, ani bohaterscy. Ot, po prostu zwyczajni. Zwyczajna Ika i zwyczajny Groszek. Czy to wystarczy? Nie wiadomo. I Ika — po raz pierwszy od chwili, w której została sama przed „przechodnią” ścianą tamtego korytarza — naprawdę się zaniepokoiła.

- Jacy? — powtórzyła. — Czy ja wiem?
- No widzisz — mruknął Groszek.

Umilkli.

Zapomnieli o owocach, o napojach, o samoczyszczących fotelach i groźnym obrazie gwiazdnego świata. Był to bowiem — jak w każdej przygodzie, przed chwilami rozstrzygnięć i największych prób — moment obrachunku z samym sobą. A przecież każdy musi przyznać, że jeśli chce się taki obrachunek przeprowadzić bardzo uczciwie, to sprawa wcale nie jest łatwa. Szczególnie gdy rzecz się dzieje w niezmiernej odległości od własnego świata, od własnej Ziemi, od bliskich — od własnego Słońca nawet.

Ostatecznie tamte przygody też nie były drobiazgiem.

Pierwszą — każdy by nazwał niezwykłą. Drugą zaś? Tę drugą można przecież uznać za prawdziwie Wielką Przygodę. A może nawet za większą niż wielka.

Tylko że... — bądźmy szczerzy — ...cóż właściwie oni oboje w tych obu przygodach działali? W pierwszej, i owszem, nie najmniej. Ale już w drugiej, tej naprawdę wielkiej, zaledwie pomogli mądrym i dzielnym maszynom. Udało się wprawdzie pokonać przeszkody nie najłatwiejsze — a więc własną słabość, zmęczenie, strach.

Ale i to, mówiąc prawdę, było tylko zwyczajnym i ludzkim spełnieniem obowiązku.

Nastała więc wielka cisza. Taka cisza, że słyszeli szmer własnych oddechów i niespokojny rytm serc.

Przymknąwszy oczy milczeli. Milcząc zaś wspominali obie tamte historie — zarówno trudne, jak i radosne ich chwile.

Chcieli bowiem dostrzec możliwie najdokładniej... siebie samych. Właśnie — siebie samych. Aby raz jeszcze — wobec obecnej, Największej i Najdziwaczniejszej Przygody — nabrać odwagi i rozsądku. Aby przekonać przynajmniej siebie, że i w niej wszystkie przeszkody będą się starali, przynajmniej w miarę swych sił, pokonać.

Tymczasem niosąca ich „Srebrzysta Kula” pędziła wciąż dalej i dalej — ku miejscu swego przeznaczenia.

Pędziła poprzez czarne przestrzenie kosmosu, rozjarzone smugami słońc, mgławic i gwiazd. Pędziła w ciszy niemal doskonałej.

Mąciły ją tylko oddechy i bicie serc pasażerów oraz delikatny, kryształowy jakby pogłos kierujących lotem i pracą kuli instrumentów.

W tym samym czasie, w którym z pewnej słonecznej polany na Ziemi uniosła się w górę Srebrzysta Kula, na największej planecie Słońca Vega, zwanej Delią, rozpoczął się drugi dzień obrad Nadzwyczajnego Kongresu Przedstawicieli Wszystkich Vegów.

Kongresy takie odbywały się bardzo rzadko.

Ostatni z nich miał miejsce za czasów bardzo wczesnej młodości stuczterdziestoletniego Przewodniczącego Kongresu — a zwołany został w sprawie pierwszej wyprawy pozagalaktycznej, w której mieli wziąć udział sami Vegowie (a nie tylko — jak to dotychczas bywało — instrumenty badawcze).

Obecny zaś Kongres Przedstawicieli Wszystkich Vegów zwołany został wbrew zwyczajom w sprawie nadzwyczajnej i nagłej.

Został mianowicie ogłoszony w związku z dokonaniem przez gwiazdne wyprawy badawcze odkryciem cywilizowanego życia na małej planecie niewielkiego układu słonecznego.

Wyprawa badawcza przekazała wiadomości, że jest to cywilizacja bardzo młoda i prymitywna — że według ogólnie zebranych pierwszych informacji życie na owej planecie (zwanej przez jej mieszkańców „Ziemią”) rozwija się od dawna, ale dopiero w czasie ostatnim zaczęło nabierać tempa cywilizacyjno-technicznego.

Wiadomości te nie były zbyt niezwykle — bowiem i tak co jakiś czas Vegowie odkrywali w gwieźdny wszechświecie nie tylko ślady życia, ale także i planety zamieszkałe przez istoty rozumne, zorganizowane i twórcze. Z wielu takimi społeczeństwami Vegowie współpracowali, byli zaprzyjaźnieni, pomagali im w rozwoju.

Owa badająca jednak Ziemię wyprawa doniosła o czymś takim, co sprawiło, że właśnie został zwołany Nagły i Nadzwyczajny Kongres Przedstawicieli Wszystkich Vegów.

Wniosek o zwołanie Kongresu podało do wiadomości Wszystkich Vegów Kierownictwo Badań Gwiazdnych.

Podawało go w takiej formie:

*Badawcza wyprawa mechaniczna odkryła na planecie odległej o dwieście czterdzieści lat świetlnych młodą cywilizację techniczną. Planeta ta, zwana przez jej mieszkańców Ziemią, zaczyna dopiero dokonywać pierwszych prób lotów planetarnych. Mimo to uważamy za stosowne poddać ją szczególnie uważnej obserwacji. Zauważono bowiem na jej powierzchni szereg w y b u c h ó w a t o m o w y c h o z n a c z e n i u w o j e n n y m. Przypominamy ogółowi Vegów, że dawne słowo „wojenne” oznacza „niszczące”.*

*Przypominamy też, że przed sześciuset laty Vegowie natknęli się w rejonie Aldebarana na cywilizację operującą niszczycielską siłą jądrową. Cywilizacja ta bezpodstawnie zaatakowała i zniszczyła nasze przyjaźnie nastawione ekspedycje. Przypominamy, że mimo wielokrotnych prób porozumienia, cywilizacja ta napadła na zamieszkałe przez Vegów planety — że została odparta i zmuszona do odwrotu kosztem najcięższych naszych ofiar. Obecnie należy ona do zespołu naszych przyjaciół, ale miliony tych Vegów, które wówczas zginęły, to wielkie ostrzeżenie.*

*Podajemy do wiadomości, że Ziemianie dziś jeszcze nie mogą nam zagrozić. Rozwijają jednak swą technikę niezwykle szybko. Być może za trzy lub cztery pokolenia zetkniemy się z nimi już na naszych obszarach planetarnych.*

*Dlatego też dostrzeżone na Ziemi wojenne wybuchy i doświadczenia z energią atomową zaniepokoiły w najwyższym stopniu Kierownictwo Badań Gwiazdnych, które zgłasza do wszystkich Vegów wniosek o zwołanie Nadzwyczajnego Kongresu Przedstawicieli.*

Wniosek ten został przekazany natychmiast osiemdziesięciu miliardom Vegów w całym systemie vegańskim we wszystkich dalszych osiedlach.

W przeciągu następných trzydziestu vegańskich minut wszyscy dorośli Vegowie udzielili odpowiedzi. Główne Maszyny Obliczeniowe, po odebraniu osiemdziesięciu miliardów teległoszeń, przekazały odpowiedzi stałemu Kierownictwu Przedstawicieli: siedemdziesiąt dziewięć miliardów czterysta milionów „za”. Tylko sześćset milionów Vegów wyraziło opinię, że rozstrzygnąć powinno samo stałe Kierownictwo.

Wobec tego w sześć vegańskich godzin później na największej planecie systemu — na Delii — rozpoczął się Nadzwyczajny Kongres Przedstawicieli Wszystkich Vegów.

Rozpoczął się od przekazania ośmiu tysiącom Przedstawicieli szeregu zebranych ostаточно wiadomości o podejrzaną planetę — czyli o Ziemi.

Przedstawiciele zostali wprawdzie zapoznani z ogólnymi danymi o warunkach życia ziemskiego.

W ogromnej sali powstał mały szmer, kiedy okazało się, że warunki te są niezwykle zbliżone do warunków wegańskich i że Ziemianie niemal we wszystkim (poza ogólnym ubarwieniem) przypominają samych Vegów.

Po naukowej części — po informacjach fizycznych, chemicznych, biologicznych i tak dalej, i tak dalej — na południowym zebraniu pokazano obrazy z życia Ziemian.

Było to dziwne i niepokojące. Było to bowiem tak, jakby Vegowie zajrzeli nagle we własną, niesłychanie dawną przeszłość. Nagle stali się świadkami rzeczy okrutnych i straszliwie przynębiających. Ujrzeni na przykład odebrany przez teleodbiorniki film o spaleniu i zniszczeniu ogromnego miasta. Ujrzeni szereg obrazów głodu, strachu, pożaru i nędzy. Potem przedstawiono im audycję telewizyjną o tym, jak dwu młodych Ziemian morduje starą Ziemiankę, aby zdobyć sznurek błyszczących kamyków.

Mechaniczni Tłumacze przełożyli na koniec kilka przemówień ziemskich „Przedstawicieli” — zwanych na Ziemi ministrami — z których część groziła pozostałym Ziemianom zniszczeniem i śmiercią.

Na koniec pokazano zebranym obrazy dwu miast ziemskich unicestwionych niegdyś przez wybuchy atomowe.

W sali Kongresu panowała śmiertelna cisza. Stuczterdziestoletni, bardzo jeszcze żywy i wesoły Przewodniczący (który zazwyczaj twierdził, że prawdziwa młodość zaczyna się po stuczterdziestce) tym razem był niezwykle poważny.

Właśnie zaszło opalowoniebieskie słońce Vega. Nad przezroczystym dachem sali błysnęły roje gwiazd.

Przewodniczący wskazał na migoczące niebo..

— Vegowie! — powiedział. — Tam oto żyją Ziemianie. Utalentowani... i okrutni. Wynalazczy i... straszliwi. Rozwijają się tak szybko, że już nasi prawnicy mogą się z nimi zetknąć. Mogą zetknąć się z ich niszczycielską siłą i wojennymi obyczajami. Wiemy, że w zaraniu swych dziejów Vegowie również byli okrutni i prowadzili wojny. Ale Vegowie wprawdzie porzucili myśl o wojnie, a dopiero potem zaczęli posługiwać się energią atomową. Żaden z Vegów nie splamił się wykorzystaniem tej wspaniałej siły p r z e c i w życiu. Przecież nawet wtedy, kiedy broniliśmy się przed Aldebarańczykami, używaliśmy tylko promieni snu i fal narkotycznych, choć kosztowało nas to więcej ofiar.

Ale, o Vegowie — mówił po chwili milczenia — Ziemianie, choć nie tak liczni, wydają się być nie tylko zdolniejsi, lecz i okrutniejsi od Aldebarańczyków. W imieniu stałego Kierownictwa Przedstawicieli zapytujemy was: co mamy z nimi uczynić?

Przewodniczący umilkł i usiadł.

Na ekranie nad stołem Kierowników zaczęły wyskakiwać liczby zamierzających zabrać głos poszczególnych Przedstawicieli.

Pierwszy odezwał się Przedstawiciel 438.

Był to młody, zaledwie sześćdziesięcioletni pilot kosmiczny z planety Geza. Zadał tylko jedno pytanie:

— Czy w s z y s c y Ziemianie są tak okrutni?

Zebrani zwrócili oczy na Przewodniczącego. Uśmiechał się z wysiłkiem.

— Nie znamy — odpowiedział — dokładnego stosunku sił. Wiemy jednak, że nie wszyscy. Świadczą o tym niektóre wysłuchane tutaj ziemskie przemówienia.

Potem odezwał się głos profesora Lalos:

— Czy przewidujemy możliwość z n i s z c z e n i a Ziemi?

Znów nastąpiła pełna grozy cisza. Wszystkie oczy skierowały się ku gwiazdom, wśród których zapewne migotało ziemskie Słońce.

Przewodniczący odpowiedział:

— To zależy od naszej uchwały. Niczego wykluczać nie możemy. Tu chodzi o przyszłe życie stu miliardów Vegów i wszystkich innych cywilizacji pokojowych.

Przedstawicielka 1801 — piękna poetka Meda — spytała:

— Czy nie powinniśmy odczekać jeszcze kilkudziesięciu lat?

Tym razem zamiast Przewodniczącego odpowiedział Kierownik Badań Gwiezdnych:

— Nie. Uważamy, że Ziemianie są o krok od odkryć z dziedziny antygravitacji i wyłączonych przestrzeni. Te wynalazki mogą wkrótce doprowadzić do wytworzenia przez Ziemian pełnej niezależności od nas. Nasza wiedza wojenna jest na poziomie bardzo niskim, bo wojen nie prowadzimy. Musimy postanowić już teraz.

Na ekranie mówców znów rozbłysnął numer profesora Lalos. Był tym razem niebieski — co oznaczało, że profesor chce przedstawić wniosek.

Przewodniczący udzielił mu głosu.

Jak nakazywał starożytny obyczaj składania wniosków, profesor przeleciał ze swym fotelem przez całą ogromną, kulistą salę do ekranu mówców — i tam, powiększony na ekranach tak, by z ostatnich nawet rzędów widziano jego mądrą, starą twarz, przemówił:

— Vegowie! W imieniu uczonych składam wniosek. Stoimy w obliczu niebezpieczeństwa. Ale jeśli wśród Ziemian są choćby tylko dwie istoty szlachetne, musimy odrzucić myśl zniszczenia tej planety i życia na niej. Wiemy, że wśród Ziemian są wielkie ilości ludzi (tak oni siebie nazywają) dobrej chęci i woli. Musimy zatem odrzucić myśl niszczycielską! Ale mamy jeszcze dwie inne możliwości. Po pierwsze: w razie niebezpieczeństwa możemy zniszczyć ich naukę i technikę. Możemy poddać działaniu fal rozkładających wszystkie twarde minerały i tworzywa na ich planecie, zmiękczyć je i cofnąć Ziemian do życia na pół zwierzęcego. Bez twardych metali i syntez, bez maszyn i instrumentów zaczną uprawiać ziemię rękami... zapomną o lotach, o odkryciach, o kosmosie.

Przez salę przeleciał szmer. Niektórzy delegaci uśmiechali się już potakująco. Natomiast Meda z wyraźnym gniewem wyświetliła numer swego mandatu.

Profesor Lalos uśmiechnął się.

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział. — Druga możliwość — to pozostawienie Ziemian samym sobie. Opiera się ona na przypuszczeniu, że ci Ziemianie, którzy chcą pokoju, sami powstrzymają tych, którzy myślą o wojnach i napadach. Że ci, co chcą tworzyć, będą liczniejsi i silniejsi od tych, którzy chcą niszczyć.

— Tak! — krzyknęła Meda.

Przewodniczący wyświetlił biały sygnał ciszy, bo sala zaszumiała krzyżującymi się okrzykami „tak”, „nie”, „spokój”, „zgoda”...

Profesor Lalos uniósł na ekranie rękę w górę.

— Zanim cokolwiek zadecydujemy — rzekł — składam wniosek: powinniśmy bezpośrednio obejrzeć dwoje Ziemian. Najlepiej bardzo młodych Ziemian. Tych, którzy będą tworzyć przyszłość Ziemi. Obejrzyjmy ich z bliska. Przekonamy się, jacy są. Wtedy zadecydujemy. Dziś rano zbudowaliśmy pozaprzestrzenny statek kulisty, który specjalnie przygotowaliśmy do tego celu. Jeśli tylko przyjmiecie nasz wniosek... już jutro będziecie mogli obejrzeć młodych Ziemian. Sądzymy, że dopiero wtedy Kongres Przedstawicieli może podjąć właściwe postanowienie.

Profesor Lalos odplynał przez powietrze na swoje miejsce. A zanim Przewodniczący zdążył powstać, by zarządzić głosowanie, na świetlnej tablicy głosów zabłysła już liczba 8001.

Przewodniczący Kongresu zniebieszczął ze zdziwienia.

— Kto głosował dwa razy? — zawołał.

Nad fotelem pięknej Medy zabłysła złota — jak jej oczy — gwiazdka sygnalizacyjna.

— To ja! — zawołała. — Chciałam głosować sto razy „tak”, ale nie zdążyłam.

Sala wybuchła śmiechem, a Przewodniczący mrugnął filuternie.

— Przedstawiciele Vegów — spytał — czy mamy prawo wliczyć podwójny głos naszej pięknej poetki?

Tablica głosów niemal natychmiast rozbłysła liczbą 7999. Poetka Meda tym bowiem razem wstrzymała się od głosu.

Przewodniczący powstał.

— Przedstawiciele Vegów! — rzekł uroczyście. — Ogłaszam wniosek za przyjęty. Odraczam Kongres do jutra, do chwili, w której będziemy mogli bezpośrednio poznać i ocenić parę młodych mieszkańców Ziemi.

Nazajutrz — jak zarządziło Biuro Pogody — opalowoniebieskie Słońce Vega weszło na niebie kryształowo czystym. I dopiero przed samym południem spadł półgodzinny, rześisty deszcz ogrodniczy.

Po deszczu, jak zwykle, wzbily się w górę całymi klombami latające kwiaty, aby w porze południowej ocieniać większe place i skwery. A w dziesięć minut później uczestnicy Kongresu zostali zawiadomieni specjalnym sygnałem, że już za następne dziesięć minut będą wznowione ich obrady.

Jak zostali zawiadomieni? Po prostu. Noszone przez nich znaczki uczestnictwa wpięte zamigotały potrójnym białym światłem — następnie zaś przekazały głos Przewodniczącego:

— Przedstawiciele proszeni są o przybycie na obrady w przeciągu minut ośmiu.

Po ośmiu minutach sala obrad zapełniła się znów po brzegi. Kontroler Mechaniczny oświadczył:

— Obecni wszyscy.

Wtedy wstał Przewodniczący.

— Vegowie! — rzekł bardzo uroczystym głosem. — W tej chwili na terenie naszego statku pozaprzestrzennego znalazła się już para młodziutkich Ziemian. W przeciągu dwu godzin (czasu środkowej Delii) przybędą do nas. Następnie poddamy ich próbie zbliżenia. Vegowie! Patrzcie i myślcie. Przedstawiciele! Mamy decydować o sobie i o nich. Pamiętajcie o tym!

W ogromnej sali zapadła absolutna cisza.

Światła przygasły. Natomiast projektory telekina rzuciły na środek sali pełnowymiarowy, dokładny w najdrobniejszych szczegółach obraz Srebrzystej Kuli, całego jej wnętrza i dwojga drobnych, młodziutkich Ziemian znajdujących się w korytarzu o promiennych, jasnoniebieskich ścianach.

Widać jeszcze było przez chwilę obraz Ziemi, od której statek odchodził z pozaprzestrzenną szybkością.

Równocześnie zaś Mechaniczny Tłumacz języków gwiazdowych zaczął przekładać na vegański pierwsze słowa Ziemian — zachowując zresztą w pełni ich barwę głosu.

Na sali nikt się nawet nie poruszył. Gdyby bowiem nie kolor skóry i włosów, gdyby nie nieco węższy i prosty układ oczu, gdyby nie odmienność stroju oraz pewna powolność ruchów — siedzącym na sali obrad Przedstawicielom Wszystkich Vegów mogłoby się wydawać, że patrzą na istoty tego samego, co oni, gatunku.

Wprawdzie sprawozdawca pierwszej mechanicznej ekspedycji uprzedził ich o tym. Ale teraz widzieli to na własne oczy.

Toteż — kiedy mała Ziemianka, przerażona samotnością, krzyknęła w pewnej chwili „och, mamo!” — poetka Meda zawołała na cały głos:

— Nie męczcie ich!

Cała historia skończyła się jednak na wesołym śmiechu — i małych Ziemian, i sali obrad. A najgłośniejsz, bo z ulgą i pewnym zawstydzeniem śmiała się sama Meda.

Co zaś było potem?

Trzeba powiedzieć, że nastrój robił się coraz przyjemniejszy.

Widać wprawdzie było, że mali Ziemianie nie rozumieją ani nie znają najprostszych nawet urządzeń technicznych, z którymi każde wegańskie dziecko dałoby sobie łatwo radę. A mimo to zachowywali się — każdy to widział — rozważnie i celowo.

Równocześnie jednak niektórzy Przedstawiciele poważnieli. Ich twarze robiły się nie tylko poważne, lecz nawet surowe i coraz surowsze. Zaczęli oni bowiem rozumieć, że Ziemianie n a p r a w d ę są istotami, które umieją sobie dawać radę w najdziwniejszych zgoła warunkach.

Na koniec zaś, kiedy para młodziutkich Ziemian, obejrzawszy statek, usiadła i zamilkła, Przewodniczący wyłączył obraz telekina.

Włączył natomiast używaną tylko w wyjątkowych wypadkach — zasadniczo zabronioną (poza medycyną i komisjami egzaminacyjnymi) — Telestację Tłumacza Myśli.

A wtedy Tłumacz począł przekazywać oczom zebranych na sali to wszystko, co działo się w głowach małych Ziemian. Tak więc na ekranie Tłumacza płynęły jedna za drugą ich myśli i ich wspomnienia — ukazywały się sceny, obrazki, a wreszcie całe historie i całe przygody z ich życia.

Zebrani na sali Nadzwyczajnego Zjazdu Przedstawicieli Vegowie, naukowcy i poeci, kompozytorzy i piloci, lekarze i organizatorzy ujrzeni zatem i całą przygodę z Kapitanem i Jackiem, i stali się też świadkami wielkiej wyprawy na piaszczystą pustynię.

W chwili w której mali Ziemianie odnaleźli wśród pustynnych piasków dwóch dorosłych, osłabłych Ziemian — na sali rozległ się wpieryw szmer, a potem okrzyki uznania.

Wtedy jednak Przewodniczący wyłączył ekran i ponownie zabrał głos.

— Rozumiem — powiedział — że para młodych Ziemian zasłużyła już na wasze uznanie. Otrzymałem nawet przed chwilą wniosek złożony przez grupę pilotów, aby uznać zachowanie młodych Ziemian za wystarczająco dobre i odesłać ich z powrotem, a całą cywilizację Ziemian przyjąć do wiadomości jako cywilizację nadziei i porządku.

Jak widzimy — mówił dalej — młodzi Ziemianie zachowali się dobrze i dzielnie wobec innych Ziemian. My jednak musimy sprawdzić, czy ci, których wybraliśmy na próbę, postępują, jak trzeba, nie tylko wobec p o d o b n y c h d o s i e b i e istot. Musimy się przekonać, jak zachowują się wobec istot sobie obcych. Wobec Vegańczyków. Wobec kogoś z nas.

Tu Przewodniczący rozejrzał się po milczącej sali.

— Czy zgoda? — spytał.

Na tablicy głosowań wyświetliła się liczba: 8000.

Osiem tysięcy „tak”.

A tymczasem...

A tymczasem — właśnie wtedy, gdy na sali Kongresu Vegów zabłysła liczba „8000” — w Srebrzystej Kuli rozległ się głos Groszka:

— Co to za Słońce?

Znajdujące się bowiem między ich fotelami okno rozświetlił nagle błękitny i opalowy blask. Był to blask jasnej, ogromnej gwiazdy.

— Groszek — szepnęła Ika. — Czy my lecimy na to Słońce? Przecież... spalimy się... Groszek!

— Ciiicho.

Groszek sam pobladł, ale już po chwili spojrzął na Ikę o wiele weselszym wzrokiem. Najwyraźniej omijali owo Słońce szerokim łukiem — i po sekundzie w polu ich widzenia ukazało się coś... coś jakby... coś jakby Ziemia.



— Ziemia! — wrzasnął Groszek.

— Ziemia? — krzyknęła Ika.

— Ziemia? — spytał już ciszej Groszek. — To nie jest Ziemia — powiedział.

Umilkli. W kryształowym oknie ukazał się obraz ogromniejącej z sekundy na sekundę planety. Widać było różowe lśnienia chmur, jakieś błyszczące jasnioletowym blaskiem ogromne płaszczyzny podobne do dziwnych mórz, jakieś czerwone góry i niebieskie płaszczyzny... Tak — „to” było coś podobnego do Ziemi. Ale o całkiem innej mapie lądów i mórz niż ziemską — o całkowicie odmiennych barwach, cieniach i światłach niż ziemskie.

Z zapartym tchem, pochyleni nad oknem patrzyli na zbliżającą się ku nim planetę. Srebrzysta Kula, zniżając się, wchodziła widać w jej cień — na stronę nocy.

Obraz w oknie zacierał się, zachodził coraz ciemniejszą mgłą.

— Będziemy lądować — szepnął Groszek. — I to nie jest Ziemia.

Ujął Ikę za rękę. Czuł, jak drży. Czuł zresztą, że i po jego plecach płynie chłodny, ostry dreszcz.

Czy kula wyląduje tam, gdzie powinna? Czy nie rozbije się, nie wpadnie w głębie mórz? Nie wiedział. Nie mógł przecież wiedzieć.

— No — powiedział lekko schrypniętym głosem — zaraz się dowiemy...

Ika uśmiechnęła się. On zaś był jej za ten uśmiech bardzo wdzięczny. Dawała mu znać, że można na nią liczyć. Że będzie wszystko w porządku. Przecież — mówiąc prawdę — właśnie w tej największej, najdziwniejszej z wszystkich dotychczasowych przygód zachowywała się tak dzielnie, jak nigdy.

Chciał jej to powiedzieć. Ojciec mu zawsze mówił: „Powtarzaj drugiemu rzeczy dobre. Wtedy obaj stajecie się lepsi”. Więc chciał właśnie coś takiego dobrego powiedzieć, ale ona go uprzedziła.

— Patrz — powiedziała. — Znowu zielone światło. Idziemy?

Na jednej ze ścian rozbłysł pulsujący prostokąt zielonego światła. A więc nadeszła wreszcie owa najtrudniejsza jak dotąd chwila.

Zielone światło — to znaczy: trzeba iść. Ale co będzie u wyjścia z kuli? Miasto czy dno morza? Szczyt górski czy pustynia? Ogród zoologiczny czy... czy po prostu Nikt — Nie — Wie — Co?

Groszek przełknął ślinę i mocniej ścisnął dłoń Iki.

— Trzeba iść — powiedział.

Postąpił krok naprzód. Ale w połowie drugiego Ika nagle przystanąła.

— Czeka! — mruknęła.

— Co? — zaczął. — Dlaczego właściwie...

Ona jednak nie słuchała. Puściła jego rękę. biegiem zawróciła do stolika, wzięła po jednym naczyniu z płynem do każdej ręki — a ruchem głowy wskazała na zamkniętą wazę z owocami.

— Bierz to. Nie wiadomo, na co się trafi...

Pokiwał głową. To było mądre.

— Nieźle to przemyślałaś — przyznał. — Idziemy!

I poszli, starając się dla dodania sobie otuchy głośno tupać butami. Tylko że na tej promienistej i gąbczastej (choć twardej niby) podłodze i tak nic z tego nie wychodziło.

Tym razem przez zarysowaną zielonym światłem „przechodnią” ścianę jako pierwsza przeszła do niebieskiego korytarza Ika. Groszek jednak trzymał się jej tak blisko, że ani na chwilę nie znikła mu cała z oczu.

Zielone światło teraz wiodło ich w przeciwną niż przedtem stronę korytarza. Szli za nim — coraz wolniej jednak, coraz niechętniej. Migotało niby wesoło. Zapraszało jakby: „no proszę, no chodźcie”. Ale oni — nie bardzo nawet o tym wiedząc — zwalniali kroku. Bo przecież już za chwilę, za sekundę, za trzy czy cztery kroki mieli spotkać... No co? Właśnie NIE

## WIADOMO CO! JAKIEŚ WIELKIE NIEZNANE!

Nie dziwcie się więc, że w końcu zaczęli właściwie stawiać nogi tak ostrożnie, jakby ciemną nocą przechodzili przez kamienisty, rwący strumień.

— Och! — krzyknęła Ika.

Nad nimi było rozedrgane gwiazdami ciemnofioletowe niebo. Gwiazdy lśniły wszystkimi barwami — od bieli po rubinową czerwień. Po dwu stronach nieba widniały dwa seledynowe Księżyce.

A Srebrzysta Kula? Znikła, jakby rozwiął ją wiatr.

Oni zaś stali bez ruchu w fioletowych ciemnościach. Pod stopami cichutko skrzypiał drobny żwir. Jakiś niewielki ptak bezszelestnie przeleciał nad głowami. Powietrze było upalne, pełne nieznanymi zapachów. Oddychało się nim jednak dziwnie lekko. Mimo gorąca każdy haust powietrza orzeźwiał jak łyk wody.

— Co to tak szumi? — szepnęła Ika.

Groszek nie odpowiedział. Przysunęli się tylko bliżej siebie.

Istotnie coś szumiało. A mówiąc dokładnie, w tym szumie były aż dwa różne szумы. Jeden, bliższy, przypominał szelest gęstych, suchych trzciny, wiklin potrząsanych przez lekki wiatr, zarośli jesiennego lasu, na które opadają suche liście.

Drugi, dalszy, lecz bez porównania szerszy i głębszy, przypominał tylko jedno. I chyba mógł być tylko jednym szumem.

— To chyba morze — odpowiedział w końcu Groszek.

— Tak właśnie myślałam.

Ich oczy powoli oswajały się z ciemnościami. Blask dwu małych, seledynowych Księżyców niewiele pomógł. Ale mimo to coraz wyraźniej występowały z głębokich cieniów zarysy wysokich, sucho szeleszczących, pierzastych jak palmy drzew.

— Popatrz! — szepnął Groszek.

W stronie, z której najsilniej dochodził ich szum morza, było jaśniej niż w stronach innych. Unosiła się tam bardzo delikatna zielonkawa poświata. Przypominało to jakby chwile poprzedzające wschód Księżycy — a jeszcze bardziej: lunę dalekiego miasta. Miasta świecącego łagodnym, zielonym blaskiem.

— A więc gdzie my właściwie jesteśmy? — spytała pewniejszym już głosem Ika.

Groszek potarł czoło.

— To trzeba...

— Przemyśleć?

— Właśnie — powiedział. — To trzeba jeszcze przemyśleć.

— No to przemyśluj — roześmiała się.

Groszek jednak, jak we wszystkich poważniejszych wypadkach, wcale na ten złośliwy śmiech nie zwrócił uwagi. Tym bardziej że w gruncie rzeczy — niczego na razie nie przemyślał. W tej chwili bowiem o wszystkich najważniejszych sprawach nie mogły mu powiedzieć żadne najmańdrzejsze nawet myśli i pomysły — tylko USZY i OCZY.

Z nich dwojga on miał lepsze oczy, ona zaś lepszy słuch.

— Ty mniej mów — powiedział w związku z tym — a więcej słuchaj.

— Zamiast przemyślać?

— Właśnie.

Po jego słowach poznała, że mimo wszystko nie ma teraz czasu na żarty. Ale przekora jest przekorą — a Ika lubiła być przekorna.

— No to... zamieniam się — mruknęła.

— W co?

— A... w słuch! — powiedziała.

Groszek wzruszył tylko ramionami — i to, że nie zaczął zrzędzić, przekonało ją najle-

piej.

Wpatrywał się w mrok niczym czyhajaca na łup sowa. Co więcej — Ika czuła doskonale, że mimo pozorów spokoju czy pewnej obojętności, Groszek napięty jest jak cięciwa łuku. W końcu spytał:

— Co słyszysz?

— Właściwie... właściwie nic ciekawego. Są tu dwa szумы.

— No tak.

— Jeden — mówiła — taki, jakby szumiał zeschnięty las. A drugi, sam wiesz. Jak morze.

A ty...

— Co... „ja”?

— Czy coś zobaczyłeś?

— Nic — mruknął. — Poza tym zielonym blaskiem — nic.

— Więc co robimy?

— Idziemy.

— Groszek... dokąd?

— Naprzód trochę się rozejrzemy tutaj. A potem? Potem w stronę morza. Przecież nie będziemy tu siedzieć do świtu.

Ika nagle sobie coś przypomniała — i aż przysiadła.

— Groszek, jak rany. Do świtu? A mieliśmy być o ósmej na kolacji. Co powie ciotka Dydaktyka?

On zaś dopiero teraz nagle się zezłościł — i to ponad zwykłą miarę.

— Co powie? — zawołał. — Co powie ciotka Dydaktyka? Ty myśl o tym, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczysz. Czy w ogóle... czy w ogóle jeszcze Ziemię zobaczysz.

— Zie... Ziemię?

— Właśnie.

Ika umilkła — spojrzała w górę, ku gwiazdom, Słońcu i Ziemi — i Groszek od razu złagodniał. Ujął ją za ramię.

— No, nie martw się — powiedział najcieplejszym swym głosem. — Wystarczy, że ja się martwię. Zgoda?

Ale Ice nie udało się ukryć pociągnięcia nosem.

— Zgo... zgoda — westchnęła.

A potem? Potem od razu, swoim zwyczajem, otrząsnęła się ze smutku jak pies z wody.

— Idziemy — rzekła dzielnie.

— Sekundę — powiedział jeszcze Groszek. — Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Wyjął z kieszeni scyzoryk i szcęknął ostrzem. Ostrze błysnęło w fioletowym cieniu.

— Możemy iść — powiedział.

Ika jednak zapała się w miejscu.

— Żadne takie! — zagderała głosem jako żywo przypominającym głos ciotki Dydaktyki. — Nie będziesz się włóczył w ciemnościach z otwartym scyzorykiem. Nawet tutaj.

— Uff! — westchnął Groszek i... zamknął scyzoryk. — Ja idę przodem — dodał.

— Scyzoryk zamknięty?

— Tak.

— No to... jazda.

Żwir skrzypiał pod stopami — skrzypiał melodyjnie i sycząco. Jak...

— Jak śpiewające węże — szepnęła Ika.

Zbliżali się powoli ku ciemnym zarysom wysokich, pierzastych drzew.

— To jest coś w rodzaju polany — powiedział Groszek.

Rzeczywiście. Obchodzili szeroki, pokryty żwirem krąg otoczony ścianami suchych palm i niższych gęstych zarośli.

Groszek szedł przodem, pół kroku za nim Ika. Żwir ciągle śpiewał pod stopami. Raz i drugi mignęły nad nimi bezszelestne, widmowe, lekko promieniujące opalowym światłem sylwetki jakichś latających stworzeń.

Po kierunku, w którym widniała zielona poświata, Groszek zorientował się w końcu, że obeszli żwirową polanę dookoła.

A więc pierwsze rozpoznanie zostało już dokonane. Teraz zatem — w stronę morza.

Idąc śladem zielonej łuny na niebie ujrzeli w końcu pewną jakby przerwę wśród drzew i zarośli — niczym zwyczajną, ziemską przecinkę w lesie. Nie była chyba prosta, bo w jej głębi ciemność gęstniała nawet. Ale musiała wieść do morza (lub do tego, co szumiało niby morze), bo właśnie tędy, jak korytarzem, biegł ku nim nieustający, wyraźniejszy niż w jakimkolwiek innym miejscu szmer fal.

— Ale ciemno — szepnęła niespokojnie Ika. — Masz zapalki?

— Mam.

— No to poświeć.

— Powoli... powoli. To trzeba przemyśleć.

W głosie Iki tym razem zabrzmiał taki ton, jaki miała jej mama, kiedy na przykład bardzo się śpieszyła do miasta, a ojciec zasiadał właśnie do gazety, nie słysząc, co się doń w ogóle mówi, zapominając o godzinie wyjścia, o tym, co miał załatwić — i tak dalej, i tak dalej.

— Ty! — powiedziała. — Ty w końcu kompletnie zbzikujesz z tym swoim przemyśliwaniem.

Ale Groszek był niewzruszony.

— Masz uszy? — spytał.

— Zdaje się, że mam.

— No to powiedz: jak ten tutejszy las szeleści? Jak mokra olszyna czy jak suchy jałowiec?

— Aha... — mruknęła Ika.

— A właśnie: „aha”! Chcesz się upiec na pieczeń cielęcą?

— Dlaczego cielęcą?

— Przemyśl to sobie sama.

— Mądry jak... — Ikę aż zatkało.

— Przepraszam — spytał grzecznie Groszek — czy zapalić zapalkę?

— N... nie — powiedziała po chwili. — Nie gniewaj się, Grosiu. Miałeś rację.

— No dobra, dobra... — uśmiechnął się. — Idziemy.

Ale teraz dla odmiany Ika wykazała, że i ona też czasem potrafi coś przemyśleć.

— Czekaj — powiedziała. — Nabierz tego żwiru do kieszeni i rzucaj przed sobą. Skąd można wiedzieć, co za lichy tam siedzi w ciemnościach? Rzucisz... przynajmniej przestraszy się.

Groszek schylił się i zaczął upychać żwir po kieszeniach.

— Słusznie — powiedział w końcu. — Ale...

— Ale co?

— Ale tu jest jedna rzecz bardzo nie w porządku.

— Co znowu?

— No bo przemyśl to sobie tylko: lecieliśmy jakimś cudem technicznym, grawitacja, pralnia chemiczna, te dzióbki od butelek i tak dalej... co tu dużo gadać? W ogóle mocna rzecz.

— Pewnie, że mocna rzecz.

— No właśnie. A wysadzili nas w środku jakiejś niby puszczy a niby morza. Ani śladu techniki, ani żadnej w ogóle istoty. Ciemno jak u fioletowego Murzyna w nosie... i w ogóle prawie Sahara. Powiedz sama: jest to w porządku?

— A skąd wiesz, jakie tu oni mają porządki?

— Właściwie... nie wiem.

— A może się po prostu pomylili? Myślisz, że przy takiej technice to już nie można się pomylić?

— Chyba... można.

— No to już! — powiedziała niecierpliwie. — Grunt, żebyśmy się zanedo nie pomylili i spróbowali wrócić, jeśli, nie na kolację, to przynajmniej na Ziemię. Która godzina?

— O rany — stęknął Groszek.

— Co?!

— Nie idzie. Zegarek nie idzie.

— Eee... — zezłościła się. — Jak on nie idzie, to my przynajmniej chodźmy. Dostyc gadania. Rzucaj żwir i chodźmy.

Groszek miał jednak strasznie nieszczęśliwy głos.

— Co ja powiem Rudemu?

— Powiesz mu „dzień dobry” albo „dobry wieczór”. Zależy, kiedy wrócimy. Idziesz czy nie?

— Idę, idę...

Żwir poleciał w ciemność — zagrzecotał i... nastąpiła cisza.

Groszek ruszył więc przodem. Szedł zaś zapomniawszy właściwie o wszystkim. Bo choć znalazł się tu, gdzie noc była fioletowa, na niebie świeciły Księżycy dwa oraz nigdy nie widziane gwiazdy biało-złoto-różowo-czerwone, a Ziemię i w ogóle wszystkich ludzi zostawił nie wiadomo gdzie — to jednak pożyczony zegarek był pożyczonym zegarkiem. I ten oto pożyczony zegarek nie szedł.

Groszek zamartwiał się zgoła nieludzko.

— No skąd ja mogłem wiedzieć — jęknął — że polecimy w jakieś zatracone gwiazdy?

Ika tupnęła nogą.

— Przestań!

I poszła przodem, znowu rzucając garść żwiru przed siebie.

Ale właśnie wtedy coś, tuż obok nich, gwałtownie zaszeleściło. Dał się słyszeć jakiś na pół syk, na pół gwizd. W mroku na ułamek sekundy błysnęły jaskraworubinowe światła, jakby troje osadzonych w jednym rzędzie oczu, i owo coś — po szeleście sądząc to „coś” musiało mieć rozmiary wielkiego psa — rzuciło się... wielkim skokiem.

W ciągu tego ułamka sekundy Ika natychmiast znalazła się przy Groszku, a Groszek wyciągnął przed siebie rękę z otwartym ostrzem scyzoryka).

Na szczęście owo „coś” o rubinowej trójce oczu rzuciło się wielkim skokiem — d o u c i e c z k i.

Słychać było coraz dalszy, coraz słabszy chrzęst jego biegu, podzielonego na szereg szybkich, sprężystych skoków.

— C... co to było? — szepnęła po bardzo długiej chwili Ika.

Groszek z trudem odchrząknął. Ale jego głos nadal był schrypnięty.

— Skądże ja mogę wiedzieć?

— Pędziło... pędziło całkiem jak kot.

— Jak w i e l k i kot — poprawił ją. — Jak lampart albo tygrys...

— Och, Groszku — szepnęła. — Chodźmy, chodźmy już. I... nie zamykaj już scyzoryka.

Los jednak im sprzyjał. Żaden z następnych rzutów żwirem nie obudził już żadnego nowego licha. Wprawdzie raz i drugi przemknęły nad ich głowami lśniąca mglistą bielą ptaki, ale do nich się już przyzwyczaili.

I oto po kilkunastu nowych rzutach żwirem i kilkadziesiąt coraz śmielszych krokach nagle ciemność pojaśniała.

— Morze! — krzyknął Groszek. — Patrz! A tam... chyba miasto!

Wyszli, a raczej wybiegli na szeroki brzeg morski.

Zwir zdobniał — zamienił się w piasek. Noc pojaśniała, bo spokojna, choć szumiąca fala morska odbijała drżące na niebie morze gwiazd i Księżyc, i przede wszystkim przeciwległy, bardzo niedaleki brzeg. Jarzyło się na nim mrowisko jasno- i ciemnozielonych światel — nieruchomych i ruchomych, większych i drobnych, rzucających seledynową poświatę na morze i niebo. Tak właśnie, jak światła naszych nadmorskich miast odbijają swe blaski w dwu mglistych lustrach Ziemi, w lustrach morza i nieba.

Jakiż to był zachwycający, piękny, pełen otuchy widok!

Z miejsca zapomnieli o trójkim tygrysie, o ciemnościach i wyschłym, niesamowitym lesie pierzastych drzew. Groszek zapomniął nawet o zegarku Rudego.

— Morze! Morze! — krzyczeli biegnąc na brzeg gładkiej jak asfalt plaży.

— Miasto! — krzyczeli. — Miasto!

Pierwsza dobiegła do wody Ika. Śmiejąc się zanurzyła w niej rękę.

— Groszek! — zawołała. — Słowo daję! Oni tu mają ogrzewane morze. Czekaj — powiedziała zdumionym głosem. — To jest morze z bąbelkami. Słowo daję. Morze sodowej wody.

Nim zdołał ją powstrzymać, podniosła dłoń z zaczerpniętą wodą do ust.

— A hi! — skrzywiła się. — To nie sodowa, tylko mineralna. Całkiem jak „Zuber” z „Janem” w Krynicy. Oni tu muszą być cholernie zdrowi... te tutejsze istoty.

Ale Groszek tupnął nogą.

— Wypluj to! — rozkazał. — Skąd wiesz, czy ten „Zuber” z „Janem” nie jest trujący?

— Eeee... — powiedziała. Ale wypluła.

Teraz Groszek pochylił się nad wodą, zanurzył w niej rękę, potem podniósł do ust i ostrożnie, samym końcem języka, spróbował smaku.

— Raczej „Słotwinka”... — mruknął do siebie.

— Groszek! — powiedziała Ika. — To trzeba przemyśleć.

— Nareszcie jakieś rozsądne zdanie — przytaknął. — Tylko co? Co trzeba przemyśleć?

Ika nie odpowiedziała na zaczepkę. Była jak w natchnieniu.

— Po pierwsze... jak dać znać do miasta, że tu jesteśmy? Po drugie... jak się tam przedostać? Ciiiiicho — nie dała sobie przerwać. — Widzisz, co tam jest? Groszek! Tam jest łódź.

Zazwyczaj Groszek o wiele lepiej widział w ciemnościach. Tym jednak razem Ika pierwsza wypatrzyła o kilkanaście kroków dalej jakiś ciemny, regularny kształt — i rzuciła się ku niemu.

— Ostrożnie! — wrzasnął Groszek. — Może to jakiś zwierz.

Podchodzili zatem ostrożnym, powolnym krokiem. Groszek cisnął zwirem raz, drugi, trzeci — i nic. Nie drgnęło nawet.

Podeszli więc bliżej.

— Zapal zapałkę — rozkazała Ika.

W spokojnym powietrzu zapałka świeciła jasnym i wysokim płomykiem. Jej blask wydobyl z mroku jakby wielką miskę czy nieckę, na pół wyciągniętą z wody, a na pół leżącą na fali. Niecka była jakby z korka czy z gąbki. Lekka jak piórko. Znajdowało się tam nawet coś w rodzaju sztywnego steru i nieduża łopatka — niby wiosło.

Niecka miała tylko jedną, ale za to najgorszą wadę. A mianowicie: miejsca w niej było tyle, co na pojedynczą, i to bardzo niewielką osobę. Akurat tylko tyle, co na samego Groszka albo na samą Ikę.

Zaczęli próbować. Zdjęli buty, skarpety — zepchnęli nieckę na wodę. Trzymała się świetnie bez obciążenia. Trzymała się równie świetnie na łagodnej fali, gdy wsiadła do niej Ika.

Gdy jednak Groszek tylko spróbował przysiąść na jej brzegu, od razu zaczęła się zanurzać. I nic nie pomagało — przysiadali na przeciwległych krawędziach, żeby dobrze rozłożyć ciężar, próbowali wspólnie kucnąć w samym środku.

Na nic — skończyło się tylko na przemoczeniu szortów — i Iki, i Groszka. Zdawało się, że dokonali wielkiego niby odkrycia... a tymczasem — nici.

— Tfu! — splunął w końcu wściekły Groszek. — Przecież ani ja sam do tych światel nie popłynę, ani ciebie samej tam nie puszcę.

— A ognisko? — spytała Ika.

— Gdzie masz znowu ognisko? — zdumiał się.

Puknęła go palcem w czoło.

— Oj, ty przemysłicielu — powiedziała. — Starożytne ludy dawały sobie na odległość znaki ogniskami. A my teraz i tutaj jesteśmy typowy, starożytny lud. Rozpalimy ognisko. Istoty z tego „Zielonego Miasta” zobaczą ognisko... A jeśli się nawet pomyliły z lądowaniem całej tamtej kuli, to jak zobaczą ognisko i n a s przy ognisku, od razu przyślą tu jakąś delegację.

— A może ministra spraw zagranicznych?

— Nie wygłupiaj się. Mam rację czy nie?

— Akurat.

— Aha! — krzyknęła. — Mówisz „akurat”. To znaczy, że mam rację.

Groszek poskrobał się w głowę, potem poklepał po mokrych szortach — w końcu powiedział:

— Pewnie, że masz.

— No to jazda. Ognisko!

— Powoli! — zatrzymał ją. — Po pierwsze, naprzód trzeba sprawdzić, czy tu się w ogóle coś będzie palić.

— Sam mówiłeś, że...

— A teraz mówię, że trzeba sprawdzić. Po drugie, trzeba zbierać drzewo (kto wie, co to za drzewo?) przez materiał, najlepiej przez moją wiatrówkę albo przez poskładaną chustkę. A po trzecie, naprzód spróbujemy, i to nad samą wodą, rozpalić kilka gałązek... a dopiero potem się zobaczy, co dalej...

Ika słuchała tego wszystkiego z otwartymi ustami.

Groszek zaśmiał się.

— Zamykaj buzię, bo ci świecący ptak do niej wleci.

— Nieżle to pomyślałeś — powiedziała?

— Mowa — mruknął dumnie.

Ze zbieraniem materiału na ognisko nie było wiele kłopotu.

Gałęzie i gałązki małych i większych krzewów rosnących na skraju lasu, u stóp pierzastych palm, dawały się wyłamywać z dziecinną wprost łatwością. Dawały się zresztą wyłamywać gołymi rękami. Były tylko o tyle dziwne, że nie rosły w skrętach i skrzywieniach, jak gałęzie ziemskich krzaków i drzew. Przypominały raczej trzciny i wikliny — o suchych jak pieprz, prostych wtkach.

Co dziwniejsze, dawały się z największą łatwością wyłamywać u samej nasady. Natomiast w środku, mimo suchości i pozornej kruchości, stawiały opór niczym lane żelazo. Zaś nawet te największe, najgrubsze i najdłuższe — ze trzy razy dłuższe niż na przykład Groszek — lekkie były jak ptasie pióra.

Groszek lubił porządek.

Kierując zbieraniem gałęzi kazał poukładać je w trzy grupki. Najcieńsze i najkrótsze — w jednym miejscu. Średnie — o dobre dziesięć metrów dalej. Kilkanaście zaś najdłuższych i najgrubszych ułożył nad samą wodą.

Wreszcie przyszła wielka chwila.

Ustawili małe stosiki z najcieńszych i najdrobniejszych, Groszek wyjął pudełko zapałek (które, przełożywszy przed wypróbowaniem „łodzi” do kieszeni wiatrówki, uchronił na szczęście przed zamoczeniem) i powoli przytknął płomień do spodu najcieńszej gałązki.

Przez chwilę płomień osmalał tylko cienki patyczek nie chwytając go w ogóle.

Ika już chciała załamać ręce, Groszek zaś miał już odrzucić zapałkę, która zaczęła piec w palce — gdy nagle rozległ się cichy syk, potem głośniejszy trzask... i oto drobnutkie, cienkie patyczki buchnęły nagle ostrym, oślepiającym płomieniem.

Odskoczyli gwałtownie. Ale nic poza tym się nie stało. Tylko kilkanaście patyczków zaczęło płonąć z przenikliwym trzaskiem i siać niebieskie iskry całkiem jak sztuczne ognie z choinki.

Ika na ów widok zaczęła podskakiwać i klaskać w ręce.

— Zimne ognie! — wołała. — Zimne ognie!

— Ładnie zimne! — przerwał jej Groszek i zaczął szybko odciągać średnie gałęzie jeszcze dalej od ogniska.

Czynił o tyle rozsądnie, o tyle przezornie, że od niewielkiej przecie kupki palących się patyczków szło gorąco niczym od wielkiego stosu jałowca. A w dodatku — patyczki paliły się nie tylko bardzo jasno i w wielkim żarze, ale wbrew wszelkim zwyczajom ziemskiego chrustu spalały się niezwykle wolno.

— Ty widzisz? — spytała Ika. — Widzisz, jak one wolno się spalają?

Groszek milczał. Zwrócił twarz w stronę Zielonego Miasta.

Brzeg, na którym widniały jego światła, nie leżał chyba dalej niż kilometr, może półtora kilometra od ich plaży. Ostry blask ogniska musiał być stamtąd widzialny. *M u s i a n o* go dostrzec, jeśli tylko ktoś tam miał rozum i oczy.

— Oczy! — szepnął do siebie Groszek. — A jeśli oni nie mają oczu?

Ika też ucichła. Stali oboje wpatrzeni w dalekie, ruchome i nieruchome, jaśniejsze i ciemniejsze światła. Tam było, tam musiało być życie. Na pewno właśnie tam żyły owe istoty mądre, niezwykle, doskonałe. Powinny więc ich dostrzec, zbliżyć się ku nim.

Tymczasem mijały minuty. Stosik wciąż płonął oświetlając żółty las, a od strony Zielonego Miasta nadal nie pojawił się żaden sygnał, żaden nawet ślad dowodu, że ich zauważono.

— Odsuń się, Ika — powiedział Groszek surowo.

Odsunęła się posłusznie.

On zaś wybrał kilkumetrowy, gruby pręt i ostrożnie zanurzył jego koniec w ognisku. Czuł, że serce mu bije niemal w gardle — ale przemyślał sobie i postanowił jedno: musi dać sygnał ruchomy. Widocznie takie nieruchome ognisko nie jest tutaj niczym niezwykłym.

Musiał czekać bardzo długą chwilę. Ale w końcu włożony w ogień pręt rozżarzył się i buchnął iskrami i blaskiem jak spawalnica.

Wtedy Groszek uniósł go w górę i nie dbając o rozsypujące się wokół iskry, zaczął nim poruszać. Jeden ruch — pauza. Dwa ruchy — pauza. Trzy ruchy — pauza. Cztery ruchy...

Zatrzymał się nagle.

— Co? — spytał. — Czemu krzyczysz?

— To nie ja — powiedziała zdławionym głosem Ika.

A krzyk — ten krzyk tak podobny do głosu Iki — odezwał się znowu. Był to krzyk przerażenia i rozpacz.

Ktoś krzyczał jak w śmiertelnym strachu. A potem? Potem podniósł się przeraźliwy syk — gwizd, taki sam, jaki wydał ów rubinooki ogromny kot. Tym jednak razem był rozwścieczony i groźny.

I znowu ten głos:

— O ke sat! — krzyczał ktoś. — O ke sat!

— To tam! Na polanie! — wołała Ika. — Ktoś błaga o ratunek! Groszek! Ktoś woła o ratunek!



Jak długo trwała chwila zastanowienia? Sekundę? Pół sekundy? Trwała nie dłużej niż pół sekundy.

Groszek cisnął płonący drąg o ziemię, wyrwał z żaru małego ogniska jeden z patyczków (który przez cały ten czas spalił się zaledwie w jednej dziesiątej), otworzył ostrze scyzoryka.

— Czekaj tu! — krzyknął do Iki.

I popędził w stronę żwirowej polany.

Biegł zacisnąwszy zęby: nie pamiętał o niczym. Słyszał tylko ten głos wołający o pomoc. Ten głos tak niezwykle, tak zdumiewająco podobny do głosu kogoś bliskiego. Kogoś, kogo trzeba ratować w niebezpieczeństwie, bronić i chronić za wszelką chyba cenę.

Kilka padających z płonącej gałązki iskier sparzyło żywym ogniem. Nawet tego nie poczuł. Ów płomień przecież dawał w tej chwili nie tylko światło. Przede wszystkim dawał nadzieję, że właśnie nim, właśnie ogniem będzie można walczyć i bronić. Ogień zawsze był groźbą i bronią, zawsze bały się go dzikie koty.

Może więc i tu...

Droga, którą przedtem w ciemnościach szło się tak niezmiernie długo, teraz okazała się krótką, lekko skrzywioną w łuk alejką między dwoma ścianami palm.

Żwir skrzeczał i jęczał pod stopami, a Groszek gnał jak szalony. Nie zdziwiło go nawet to, że mała gałązka daje coraz większy, ostrzejszy i rozedrgany blask.

Tuż za nim biegło jakby echo jego własnych kroków. Blask rósł, ktoś znów wołał „O ke sat! O ke sat!” — ktoś tuż obok dyszał głośno.

Groszek wpadł na polanę, która cała rozświetliła się niebieskim światłem, aż po najwyższe czuby palm.

Co ujrzał?

Ujrzał scenę, która na moment wstrzymała go w pół kroku i zaparła dech w piersiach.

Oto na samym środku polany jakaś drobna, nie większa niż on sam istota padała właśnie na ziemię przytłoczona ciężarem zwierzęcia, którego długi, straszliwy pysk błysnął trójką rubinowych oczu.

— O ke sat! — rozległ się raz jeszcze rozpaczliwy, osłabły okrzyk.

Tak — tu nie było wątpliwości. Ten, co krzyczał, miał paść ofiarą morderstwa. Napadł zaś nań stwór o trojgu rubinowych oczu, krokodylim, obrośniętym sierścią pysku i sześciornym, węzowo-kocim cielsku drapiezczy.

Blask ognia zaskoczył napastnika. Cofnął się nieco. Wtedy jego ofiara uniosła się trochę na rękach, a polana pojaśniała nagle w sposób niezwykle. Jakby spadła na nią niebieska roziskrzona gwiazda.

Groszek widział dokładnie, że ów ktoś krzyczący to długowłosa, niezwykle smukły chłopak o prawie ludzkiej twarzy. Jego bardzo szeroko rozstawione, niemal na skroniach, ciemne oczy rozszerzał teraz strach i błaganie o pomoc. Na jasnoniebieskiej skórze widać było granatowe rany i szramy. Białą biodrową przepaskę splamiła też granatowa krew.

— O ke sat! — jęknął po raz ostatni i... padł na twarz. A straszliwy kot-nie-kot siejąc przenikliwe światło ze swych czerwonych oczu przysiadł na czterech tylnych nogach. Przysiadł do skoku. Z jego pyska wydobył się syczący gwizd.

— Groszek! — krzyknęła ze szlochem rozpacz i wściekłości Iki. — Naprzód!

Nadbiegła z tyłu, wymachując ową porzuconą przez Groszka, ogromną, płonącą na szczycie żerdzią.

Groszek skoczył za nią.

— Naprzód! — wrzeszczał. — Naprzód!

Drapieżnik najwyraźniej się zawahał. Groszek cisnął mniejszą gałązką — i niby-kot z przeraźliwym wściekłym piskiem uskoczył w bok.

Wtedy Groszek wyrwał z rąk Iki płonący drąg.

— Prowadź go nad morze! — krzyknął.

Zwierz cofał się trochę, najwidoczniej jednak nie zrezygnował jeszcze z napaści. Nastąpił wprawdzie znów na małą gałąź i znów rzucił się w bok z przeraźliwym gwizdem bólu. Ale widać było po blasku rozjarzonych oczu, że jego wściekłość jeszcze bardziej wzrosła: krótki ogon zadudnił o żwir, pazury darły ziemię, jedna z tylnych łap odrzuciła płonącą gałązkę szerokim łukiem aż pod palmy.

Ale równocześnie Groszek dostrzegł z niezmierną ulgą, jak Ika dźwiga na nogi zemdłego Niebieskiego Chłopca, jak wyprowadza go ku wyjściu z polany

Syk drapieżnika wybuchł nagle — jak syk przelatującego granatu.

Groszek dojrzał podrywające się w górę węzowe ciało, rozpięte w skoku niczym nietoperz, rubinowy błysk oczu i rozwarłego pyska. I wtedy... wtedy Groszek z szerokim zamachem ramion walnął płonącym końcem żerdzi prosto w pysk napastnika. Gwizd strachu i wściekłości wznosił się niemal do granic słyszenia. Zwierz zaczął kręcić się w kółko jak oślepiiony, a potem jednym, ogromnym susem, nadal sycząc i gwizdząc, rzucił się między drzewa.

— Hip, hip, huraaa! — wrzasnął Groszek. I chciał jeszcze dwukrotnie powtórzyć swój okrzyk, gdy nagle zabrakło mu tchu w gardle.

Oto ujrzał bowiem u podnóża jednej z palm wyrastający z ostrym trzaskiem, nowy niebieski płomień. I — zrozumiał. W jednym rozpaczliwym przeblasku myśli zrozumiał, że jeśli pożar ogarnie cały ten las, to przy tak wysokiej temperaturze ognia, jaką tu już poznali, żadna siła ich na tym lądzie nie uratuje. Że spłoną od samego powiewu gorąca.

Przez długie sekundy stał jak wryty, patrząc przed siebie.

A tymczasem co chwila rozlegał się nowy, coraz głośniejszy trzask. Niebieskie iskry z pnia pierwszej rozpalającej się od spodu palmy padały już na środek polany...

Groszek cisnął żerdź o ziemię. Zapomniał nawet o tym, że odpędzony drapieżnik może przecież czyhać jeszcze gdzieś na drodze, w lesie, albo czaić się na plaży.

Teraz jedynym niebezpieczeństwem był tylko ogień i jego straszliwa temperatura. Jak dotąd płonęła zaledwie nasada pnia jednej tylko palmy i niewielki krzew u jej stóp. A już blask szedł pod samo niebo, zaś żar ognia palił w twarz, niczym żar hutniczego paleniska.

Groszek zawrócił na pięcie i dysząc ciężko popędził za Iką.

Niebieski Chłopiec nie ocknął się jeszcze z omdlenia. Dawał się wprawdzie prowadzić, ale nogi o dziwnie drobnych stopkach co chwila załamywały się pod nim i co chwila bezwładnie zwisał na ramieniu Iki. Gdyby nie to, że był niezwykle lekki, nie dałaby sobie rady. A zresztą i tak zaczęło już jej brakować tchu.

— No chodź — błagała. — Chodź. Nie bój się... i chodź! Groszek nas obroni... Mówię ci, że obroni!

Czy jednak naprawdę potrafi obronić ich i siebie? Czy sam siebie potrafi obronić?

Dobiegł ją przeraźliwy syk i gwizd drapieżcy. Przystanęła, a zaraz potem w upalnym, nieruchomym powietrzu zaczęły się rozlegać jeden za drugim ostre i suche, niczym pistoletowe strzały, trzaski.

Nad lasem podniosła się niebieska łuna.

— Groszek! — krzyknęła. — Groszku!

Niebieski Chłopiec znów wymknął się jej z rąk i osunął na ziemię. Pochyliła się nad nim.

— Groszek!

Jakież to było szczęście, kiedy tuż obok, w alejce, rozległ się tupot kroków i zdyszane wołanie Groszka:

— Jestem! Ika, jestem!

Wyciągnęła ku niemu ręce. Ale od razu opuściła je, bo w niebieskim świetle pożaru

twarz Groszka była szara jak popiół.

— Bierz go! — rozkazał chwytając Niebieskiego Chłopca za ramiona. — Słyszysz? Musimy uciekać! Szybciej, las się pali! Szybciej, bo zginiemy!

— Dokąd?

— Do łodzi!

We dwójkę dźwignęli chłopca z łatwością.

Był nadal nieprzytomny, głowa opadała mu na ramiona, spod cienkich, sinych powiek błyskał tylko wąski skrawek ogromnych, ciemnobrazowych oczu.

Nieśli go niemal biegiem. Ognisko na plaży nadal płonęło jasnym światłem i nadal od strony Zielonego Miasta nie nadchodził żaden sygnał ani ślad życia. Nie ukazywał się żaden dowód na to, że ich dostrzeżono.

— Do łodzi! — powtarzał Groszek. — Do łodzi!

Donieśli Niebieskiego Chłopca na brzeg morza, Ika zmoczyła chustkę w wodzie, zaczęła zmywać jego twarz, piersi. Chłopiec jęknął cicho. Zamrugał powiekami, ale nie otworzył oczu.

Dopiero teraz przyjrzeni mu się z bliska. Był mniej więcej wzrostu Iki. Miał aksamitnie gładką, błękitną skórę, całe ciało o niezwykle drobnym kościcu, malutkie bardzo stopy i dłonie o długich, chwytnych s z e ś c i u palcach. To nie był człowiek. Coś bardzo jednak pięknego i ludzkiego kryło się w tej smukłej i drobnokościstej budowie, w twarzy o skośnych, zachodzących na skronie oczach, prościutkim nosie, ustach drobnych, ciemnoszafirowych i okrągłych, o wysokim, gładkim czole, znad którego spadały aż na ramiona niezwykle miękkie, puszyste włosy o kolorze czerwonego złota.

W pierwszej chwili wydawało się, że ubrany jest bardzo prymitywnie, niczym hinduscy chłopcy z opowieści Kapitana. Przepaska na biodrach, sandały... — i to niby wszystko.

Ale teraz zauważyli, że przepaska na biodrach związana była niezwykle misternie, spięta jakąś bardzo piękną, rubinową klamrą, z której patrzyła na nich wycięta kilkoma kreskami twarz tego właśnie chłopca, a proste sandały miały jednak kształt wymyślny i kolor taki, jak jego włosy.

— Groszku! — szepnęła Ika. — Jaki on śliczny.

— Śliczny, nie śliczny... — mruknął z niezadowolaniem Groszek. — Tak... to musi być jeden z nich, i teraz...

— Co teraz?

— Musimy go ratować. Jego i siebie! Czujesz to gorąco?

Istotnie, pożar rozszerzał się bardzo powoli i nad lasem rosła coraz szersza i groźniejsza łuna. A choć płomienie nie dotarły jeszcze na skraj plaży, to jednak już teraz czuło się powiew idącego ku nim — mimo zasłony drzew — palącego żaru. Już teraz zaczynało brakować płucem oddechu.

— Siadaj do łodzi! — rozkazywał Groszek. — Siadaj do łodzi i bierz go na kolana... tego ślicznego!

— A ty?

— Ja popłynę za wami... co to jest przepłynąć kilometr?

— A jakiś prąd? Albo... Groszek! A rekiny?

— Akurat... — bąknął — od razu: rekiny! To nie Ziemia!

— A „tamto” w lesie to co?! — krzyknęła. — Strach na wróble?

Groszek rozejrzał się bezradnie. Zielone Miasto nadal milczało i nagle... Groszek pogroził w jego stronę pięścią.

— Głusi jesteście? — krzyknął. — Ślepi jesteście?

Rozejrzeni się oboje, bo w powietrzu rozległ się jakby jakiś kryształowy lekki śmiech kobiety. Musiało to być jednak złudzenie, a może ptak?

— Groszku! — powiedziała łagodnie Ika.

Uspokoił się natychmiast, ale złość go nie opuściła.

— Widzisz? — sarknął. — Wielka technika, cuda, grawitacje... a jak co do czego, to sami musimy kręcić głową. Siadaj do łodzi! Już!

— Czekaj — chwyciła go za ramię.. — A te drągi i gałęzie? Przecież muszą być lżejsze od wody!

Nie dbając o buty wbiegła z jedną gałęzią do wody po kolana. Zanurzyła ją do dna, przytrzymała przez chwilę, puściła.

Gałąz wyskoczyła z wody jak nadęta powietrzem piłka.

— Tratwa! — krzyknęła Ika.

— Ale jak... — zaczął jeszcze nieufny, ale już pełen nadziei Groszek.

— Jak?... O tak!

Nakreśliła palcem na piasku rysunek: dwie długie związane paskami wiązki, przeplecione poprzecznymi prętami.

Policzki jej płonęły — i właśnie wtedy Groszek zrobił rzecz niesłychaną: złapał Ikę za ramiona i — u c a ł o w a ł — właśnie w te płonące policzki.

— Zwariowałeś? — krzyknęła.

Ale Groszek nie zamierzał się peszyć.

— Nie zwariowałem! Ale, Ika... Ty jesteś Kopernik i Kolumb. Bez kawału! To był wielki, wielki pomysł!

I już bez słowa rzucili się do pracy.

Czternaście najdłuższych gałęzi (po siedem w każdej wiązce) ściągnęli dość luźno paskami. Następnie w szpary owego luzu powtykali poprzecznie gałęzie średniej długości, klinując je przy pomocy najdrobniejszych.

Zar się wzmagał coraz bardziej.

— Uff, jak gorąco! — jęknęła Ika.

— Patrz! — krzyknął Groszek.

Na skraju lasu, graniczącym z plażą, błysnął pierwszy niebieski płomień. Gorąco buchnęło na nich nagłą, wysoką falą.

— Bierz tratwę! — dyrygował Groszek. — Jazda! Nad głowę i... mocno o ziemię.

— Oszalałeś?

— Ika! To próba wytrzymałości!

— Aha!

Ogromna, pięciometrowej długości tratwa nie ważyła chyba więcej niż dwadzieścia kilogramów. Dzięki poprzeczkom nie powinna być na wodzie wywrotna. A co z wytrzymałością?

Wzniesli ją lekko w górę, potem rzucili z rozmachem o piasek plaży i... i spojrzeli na siebie z radością. Z lewej wiązki wypadły zaledwie dwa małe kliny.

Umocowanie ich — to już była dosłownie kwestia sekund.

— A teraz? — spytała trochę bezradnie Ika.

— Proste — powiedział Groszek. — Chłopca kładziemy do łodzi. Sami... na środek tratwy. O masz! Będiesz holować łódź na linie, a ja biorę wioselko... i płyniemy. Rozumiesz? Holujemy łódeczkę i pchamy się na Zielone Miasto.

Ika usiadła nieco bliżej tyłu tratwy — tak, by móc wygodnie holować łódkę z ciągle jeszcze nieprzytomnym Niebieskim Chłopcem. Groszek zaś brodząc w wodzie po pas wypchnął w pierw tratwę, potem łódkę na głębszą falę.

Wreszcie sam wdrapał się na swoje miejsce i ujął wiosło w rękę.

Wiosło było krótkie, więc niezręczne, nieporęczne do wiosłowania, szczególnie z tratwy. Szczęściem trafili chyba na odpływ, bo stosunkowo szybko zaczęli się oddalać od brzegu.

A czas? Czas był już po temu najwyższy.

Skraj lasu wybuchał co chwila nowym źródłem iskier jak pod deszczem zapalających pocisków artyleryjskich. W określeniu tym nie ma zresztą przesady. Pożar dudnił jak artyleryjska bitwa. Ogień rozrywał większe drzewa — niczym granaty — i rozrzucał ich żarzące się szczątki na wszystkie strony.

Właśnie musiało wybuchnąć jakieś wysokie, wielkie drzewo, bo ponad czarnym w świetle pożaru lasem wznosiła się oślepiająca raca. — Potem druga, trzecia...

— No — mruknął Groszek. — Na tamtej polance to już chyba można teraz wytapiać domowym sposobem stal.

I nagle się zdenerwował.

— To właściwie skandal!

— Co? Co znowu? — zdumiała się.

— Że oni tu mają takie wybuchowe lasy, a nie mają żadnej leśnej straży pożarnej. Przy takich warunkach? Coś mi dziwnie zaczyna wyglądać ta ich „najwyższa technika”...!

— Ale to jest śliczne... — szepnęła Ika.

— A tfu! — zezłościł się jeszcze bardziej. — Chłopiec dla ciebie śliczny, pożar też śliczny... a najśliczniej to mogliśmy się wszyscy troje upiec w tych wszystkich twoich ślicznościach!

— Wszyscy troje na... pieczeń c i e l ę c ą? — spytała naiwnym głosikiem.

— Znowu zaczynasz?!

— Nie zaczynam, Grosiu — powiedziała tym samym tonem. — Ale może byś ty... zaczął... troszkę wiosłować?

I w gruncie rzeczy rozbroiła go. Chciał jeszcze coś mruknąć, sarknąć, warknąć (tym bardziej że dłonie zaczęły już solidnie piec od wiosła), ale skończyło się na tym, że... — wyobraźcie sobie! — ...że z tej złości i gniewu wybuchnął śmiechem. Całkiem jak ojciec, który zazwyczaj tak właśnie kończył domowe sprzeczki.

— Dobra jest! — powiedział. — Płyniemy!

Zaczęło się robić jasno jak w dzień. Pożar miał rzeczywiście niezwykłą i dosłownie nieziemską siłę żaru i światła. Przypominało to równoczesną pracę kilkunastu sypiących iskrami spawalnic, których blask sprawia, że niebo blednie, a gwiazdy nikną.

Woda morska stawała się coraz bardziej niebieska i przejrzysta...

— Raz — mrucał do siebie Groszek — i dwa! Raz... i dwa! Raz i dwa!

Każde pchnięcie wiosłem zbliżało ich coraz bardziej ku wybrzeżu Zielonego Miasta. Jego światła były coraz wyrazistsze — z mroku wyłaniały się jakieś zarysy kopulastych budowli, wiszących mostów i ogromnych, zawieszonych w powietrzu kul.

— Naturalnie — zastanowił się półgłosem Groszek. — Jeśli „oni” panują nad przyciąganiem, to mogą... to mogą sobie budować w p o w i e t r z u! Raz... i dwa! W... powietrzu!

Nagle rozległ się krzyk Iki. Rozpaczliwy, bezradny krzyk.

Groszek obejrzał się, rażony tym krzykiem jak kulą. To, co ujrzał, sprawiło, że utracił na moment zdolność myślenia, ruchu, głosu...

Oto tuż koło łodzi z Niebieskim Chłopcem wychynał ślepy, lecz psi pysk jakiejś ryby. Psi — bo zębiasty i... w a r c z ą c y!

W przezroczystej wodzie widać było, że cała ryba jest właściwie niewielka. Nie szersza niż ramię mężczyzny, nie dłuższa niż metr. Musiała być jednak bardzo silna. Wypukłym grzbietem zaczęła podwahać jedną burtę łódki z Niebieskim Chłopcem — tak, by ją przewrócić i wciągnąć ofiarę w morską przepaść.

Rozkołysała łódkę dość niebezpiecznie. Coraz bardziej bezwładna postać Chłopca poczęła się przesuwac ku burcie drugiej.

Łódka płynęła teraz w wyraźnym przechyleniu. Jeszcze pięć, dziesięć sekund — i...

W tej chwili Groszek wspomniacł wszystko. Małego Jacka i Saharę, rodziców i kolegów szkolnych, walkę z Rubinowymi Oczami i ulubione książki. I wspomniacł też opowieści o

łowcach rekinów z mórz południowych, o wspaniałych, dzielnych Polinezyjczykach, którzy z nożem szli na morskie tygrysy i — zwyciężali!

Tu nie było nic do przemyślenia. Ani dla niego — ani dla nikogo.

Ika borykała się w milczeniu z tratwą, chcąc wyrwać jedną z poprzeczek — by przynajmniej tą niezdarną bronią odeprzeć napastnika. Zagryzła wargi, chyba do krwi. Twarz miała białą, ale groźną.

Nie zdążyła. Bo oto Groszek zerwał wiatrówkę i koszulę, zsunął błyskawicznie buty — i rozwarłszy największe ostrze scyzoryka rzucił się z otwartymi oczami, z rękami nad głową i nożem w zębach, najbardziej klasycznym startowym skokiem prosto w morze.

Nie dosłyszał już nawet przerazonego wołania Iki.

Ujrzał tylko, jak psio-rybi, ślepy pysk cofa się od łodzią jak zwraca się ku niemu.

Jeszcze dwa ruchy rąk!

Ryba trwała nieruchomo, Groszek pochwycił nóż w rękę...

I właśnie w tej chwili stało się coś absolutnie, ale to absolutnie i całkowicie nieprzewidzianego.

Oto nagle znikło gdzieś morze, płonąca wyspa i Zielone Miasto. Fale morskie spłynęły, jakby rozstąpił się pod nimi ład całej planety. Przepadła nawet gdzieś ryba o ślepym, psim łbie i warczącym pysku.

Pozostał tylko Błękitny Chłopiec. Pozostali też oczywiście Ika i Groszek z otwartym jeszcze scyzorykiem w dłoni.

Znajdowali się na wielkim, okrągłym podeście, a Błękitny Chłopiec stał tuż obok Groszka i najwyraźniej uśmiechnięty, błyskając wspaniałymi białymi zębami, trzymał go za rękę — rękę tę, jak na meczu bokserskim, unosił wysoko w górę!

Wokół zaś nich otwierał się widok na ogromną kulistą halę o kilku wypukłych migocących całą tęczą barw ekranach, halę zapełnioną od krańca po krańce sylwetkami smukłych postaci, rozświetloną tysiącami drobnych światełek, kuszącą tysiącami radosnych i wesołych głosów.

Błękitny Chłopiec coś powiedział.

Ika jednak i Groszek — jak ogłuszeni — stali bez ruchu, niczego nie pojmując, niczego jakby nawet jeszcze nie widząc.

Tylko z ręki Groszka wysunął się nóż i padł na podłogę.

— Ika — spytał Groszek — czy ty widzisz to samo co ja?

— Tak — szepnęła.

— Ika — powiedział Groszek. — Kiedy my się wreszcie zbudzimy?

Chciał jeszcze dodać „uszczypnij mnie, ale mocno”. Nie zdążył jednak. Bo właśnie przez jakieś wielkie, ale niewidoczne megafony zaczęły płynąć niczym echo ich własne głosy. Ich własne — a równocześnie wypowiadające słowa całkiem nie znanego, niezwykle śpiewnego języka.

W chwili gdy głosy te umilkły, światła ogromnej hali znowu się rozmigotały i ze wszystkich stron zabrzmiał jakby wielki śmiech.

Równocześnie Błękitny Chłopiec ujął ich dłonie i położył sobie na piersiach.

Wtedy okrzyki, hałas i śmiech podniosły się w hali do tego stopnia, że nie można już było usłyszeć nawet własnych myśli. Ekranów znów zaczęły migotać — i w końcu rozległ się głęboki dźwięk jakiegoś niby-dzwonu, niby-gongu.

Od razu nastała cisza. Hala przygasła. Zaś nad jej milczeniem zapanował tylko jeden głos. Głos ten zaczął mówić w tamtym, śpiewnym jak melodia, niezrozumiałym języku. Ale niemal równocześnie Ika i Groszek usłyszeli tuż obok siebie ten sam głos, wypowiadający słowa jak najbardziej zrozumiałe:

— Przedstawiciele Vegów!  
— Słyszysz? Nazywają się Vegowie! — szepnęła Ika.  
— Ciii... — syknął Groszek.  
— Przedstawiciele Vegów! Pozwólcie, że młodych Ziemian...  
— To my — mruknął Groszek.  
— Ciii... — syknęła tym razem Ika.

— ...że młodych Ziemian — ciągnął dalej głos — powita troje Przedstawicieli: ja, jako Przewodniczący, profesor Lalos i poetka Meda. A więc Przedstawiciele numer 1, 37 i 1801... Oczywiście weźmie też udział w powitaniu nasz znakomity aktor Teatru Dzieci — Oneo.

— Aktor? — zachnęła się Ika. — Oni z nas tu teatr sobie zrobili?  
— Ciii... — syknął znowu Groszek.

Niestety, Ika wypowiedziała to zdanie zbyt głośno.

I od razu jakiś niewidoczny mikrofon musiał je pochwyć, bo natychmiast „ten drugi”, wzmocniony megafonami, obcojęzyczny głos Iki powiedział (tym samym, zdenerwowanym tonem) kilka słów.

Równocześnie cała hala rozjaśniła się nie wiadomo skąd płynącym światłem. Wtedy ujrzeli tysiące i tysiące Vegów bajecznie kolorowo odzianych w krótkie tuniki, siedzących na zawieszonych w powietrzu fotelach, unoszących w górę dłonie, roześmianych — roześmianych przyjaźnie i wesoło.

Kiedy rozległ się nowy wybuch śmiechu po tamtych obcojęzycznych słówkach „drugiego głosu” Iki — Ika poczerwieniała. Ale nie tylko ze wstydu. Także ze złości. Gorączkowo zaczęła układać nawet jakieś zdanie o tym, że „ostatecznie należy szanować ludzkie nerwy”... ale nie zdążyła.

Oto bowiem zarówno z sali, jak od prezydialnego rzędu podpłynęły ku nim szybkim lotem trzy... fotele. Z foteli tych zaś zeskoczyło troje Vegów. Uczynili to z niewymownym, tanecznym wdziękiem — a potem podeszli ku Ice i Groszkowi, którzy ciągle jeszcze stali wraz z Niebieskim Chłopcem Oneo na samym środku podestu.

Jacy byli ci Vegowie? Bardzo wysocy i smukli, o takiej samej błękitnej skórze jak Niebieski Chłopiec.

Pierwsza podbiegła ku nim poetka Moda. Na jej widok Groszek poczuł zapierające oddech wzruszenie — nigdy bowiem nawet nie podejrzewał, że może ujrzeć kogoś aż tak pięknego. I dopiero po długiej chwili dostrzegł dwu idących o krok za nią starszych Vegów. Po czym poznał, że byli starzy? Twarze mieli gładkie, bez zmarszczek — w ich oczach jednak krył się już wyraz znużenia, a ramiona niższego trochę pochylały się ku przodowi.

W końcu wszyscy znaleźli się od siebie o krok. Wtedy najwyższy z Vegów przemówił w swym języku — i od razu tuż obok Iki i Groszka rozległ się jego „drugi głos”, mówiący ich własnym językiem:

— Młodzi Ziemianie! Witamy was w imieniu Wszystkich Vegów na ojczystej naszej planecie.

Groszek oblizał wargi, w gardle mu zaschło. Veg uczynił małą pauzę. Wypadało zatem odpowiedzieć.

Odpowiedział więc:

— Proszę Vegów! — rzekł. — To znaczy... proszę Wszystkich Vegów! My też gorąco i serdecznie witamy!

W hałasie, jaki znów się podniósł, zaledwie dosłyszał szept Iki: „Dobra jest, Grosiu!” — a potem zdarzyło się coś bardzo, bardzo miłego. Otóż Meda pochylała nad nim swą cudowną twarz i na moment ślicznym, pełnym czułości ruchem przytuliła swój policzek do jego policzka.

Pierwszy mówca długo uciszał ruchem ręki ogromną salę.

— Ależ ona śliczna... — szepnął Groszek w zachwyceniu.

Ika jednak lekko wzruszyła ramionami.

— Tak, tak — mruknęła. — Tylko że gidiowata.

Groszek zdrzął, że jej „drugi głos” to powtórzy.

Na szczęście jednak nie stało się nic podobnego. Znow nastąpiła cisza — i znow zabrał głos ów pierwszy z Vegów:

— Musimy was przeprosić — mówił z lekkim uśmiechem — ale dla waszego i naszego dobra postanowiliśmy poddać was próbie. My, Vegowie, chcieliśmy się przekonać, jacy są mieszkańcy Ziemi.. Dlatego zaprosiliśmy was tutaj.

Groszek i Ika poczuli znow na swych dłoniach uścisk delikatnych palców stojącego między nimi Niebieskiego Chłopca.

— My, Vegowie — mówił dalej tamten — wiemy, że prędzej czy później spotkamy się z Mieszkańcami Ziemi. Wiedzieliśmy, że ludzie są różni. Ale na przykładzie dwojga młodych Ziemiaków, takich właśnie jak wy... i właśnie na waszym przykładzie chcieliśmy się przekonać, czy ludzie potrafią i zechcą zbliżyć się do kogoś z nas. Wy to potrafiliście... i wy nas przekonaliście.

Groszek skromnie odchrząknął i spuścił oczy, Ika jednak podniosła głowę i uśmiechnęła się.

— Przepraszamy was — mówił pierwszy z Vegów — i za to, że naraziliśmy was na pozorne niebezpieczeństwo.

Groszek nagle poderwał głowę.

— Pozorne? — spytał ostro. — Jak to „pozorne”?

— Właśnie — powiedziała Ika. — Ładne pozory.

Przewodniczący Vegów uśmiechnął się jakby z zakłopotaniem.

— Prawdziwego niebezpieczeństwa — rzekł — nie było. Nigdy byśmy zresztą nie posunęli swej próby aż tak daleko.

Ale Groszka zaczął ponosić już gniew.

— Dobrze, dobrze — przerwał. — A ten napad na Niebieskiego Chłopca...

— Nazywam się Oneo — wtrącił Chłopiec łagodnie.

— Właśnie — oburzyła się też Ika. — Ten napad na Oneo... i pożar... i morze...

Wtedy Przewodniczący dał jakiś znak.

I oto znow znikła im z oczu owa wielka sala — i znow znaleźli się na tamtej nadmorskiej plaży. Znow huczał pożar lasu jak kanonada artyleryjskiej bitwy i buchało na nich straszliwe gorąco, z zarośli zaś na skraju lasu błysnęło nagle... troje Rubinowych Oczu.

Groszek rozpaczliwie rozejrzał się za jakąś płonąca gałęzią. Ujrzał jednak u swych stóp tylko scyzoryk. Schylił się poń... a gdy podniósł znow oczy...

— Co... co to jest?! — krzyknął nieprzytomnie.

— Co to właściwie znaczy? — szepnęła Ika.

Oto znow znajdowali się na podeście, na środku ogromnej hali.

— To jest — powiedziała (głosem, jak głos skrzypiec) poetka Meda — to jest po prostu coś w rodzaju waszego kina. Tylko że u nas uczeni wymyślili już takie kino i takie filmy, w które można wejść, wejść do środka. I przeżywać wszystko jak naprawdę.

— Wszystko? — sapnął groźnie Groszek.

— Wszystko — uśmiechnęła się Meda. — I smak, i zapach, i dotyk... i w ogóle wszystko... jak w życiu.

— Więc... więc to znaczy... — jąkał Groszek.

— Tak — powiedziała Meda — to wszystko był jakby film, bez prawdziwego niebezpieczeństwa, bez prawdziwego pożaru i morza, bez napadu. Tylko nasz najlepszy aktor Teatru Dzieci, Oneo, był prawdziwy. I dlatego...

Groszek i Ika spojrzawszy na siebie opuścili głowy na piersi. To była zła chwila. Gnębił ich wstyd, gnębiła gorycz. A więc to wszystko, co tu przeżyli, było tylko takim niby-filmem?



A więc cały ich strach, wysiłek i rozpacz nie zdały się na nic? Tylko na pokaz?

— Proszę was, drodzy moi — prosiła Meda — spójrzcie na mnie.

Pierwszy usłuchał Groszek, potem Ika. Ich twarze mówiły jednak wyraźnie, co myślą — a gorzkie to były myśli.

— Nie! — zawołała jakby w odpowiedzi Meda. — Dwie najważniejsze rzeczy były dla was i dla nas w tym wszystkim p r a w d z i w e. Tak prawdziwe, jak samo życie. Najprawdziwsze pod światłem wszystkich słońc wszechświata. Wasza dobroć i wasza dzielność.

Jej głosowi nie można się było oprzeć. Pierwsza rozjaśniła się nieco Ika. A Groszek?

— Ja myślę, że... — bąknął czerwieniejąc z radości.

— ...że to znowu nic takiego — mruknęła z takim samym rumieńcem Ika.

A Groszek:

— Bo i my tacy znowu co dzień nie jesteśmy, i...

— ...i w ogóle na Ziemi — wtrąciła się znów Ika — wszystkie dzieci by tak zrobiły.

— Ty — szepnął Groszek — tylko bez propagandy!

Na szczęście nie dosłyszano go. W tej samej bowiem chwili zabrał głos profesor Lalos.

— Przepraszam — powiedział. — Ale my w i e m y o tym, że wy sami czasem bywacie niezbyt... z naukowego punktu widzenia... doskonali. A nawet czasem... wprost przeciwnie.

— Fakt! — mruknął Groszek patrząc znacząco na Ikę. — Trudno, ale... się zgadza.

— Wiemy też — mówił tamten — że ludzkość w ogóle ma na sumieniu nie tylko rzeczy dobre, ale także czyny okrutne i niszczycielskie.

— To prawda — powiedziała cicho Ika. — My się tego wstydzimy. Ale... to jest prawda.

Wtedy odezwał się znów Przewodniczący Vegów.

— Drodzy Ziemianie — rzekł już bardzo uroczyście. — Wiemy, że prawda jest właśnie taka. Ale teraz już wiemy i to, że przed ludzkością jest nadzieja. Że znajdą się tacy wśród was, którzy potrafią obronić Ziemię przed nieszczęściem.

Groszek nerwowo splótł palce.

— Cóż my potrafimy... — zaczął — my jesteśmy... jeszcze...

Przerwała mu jednak Ika. Przeżywała bowiem teraz chwilę. Taką chwilę, kiedy nagle porywa człowieka wzruszenie nieoczekiwane i odwaga, kiedy idący przez całe ciało dreszcz uniesienia napędza łzy do oczu.

Wspięła się na palce i uniosła obie ręce w górę.

— Potrafimy!! — krzyknęła. — Właśnie, że potrafimy!

Owacja całej sali trwała, dobrych kilkanaście minut. Na podest spłynęły nowe fotele, jacyś inni Vegowie unieśli ich oboje na ramiona — z całej ogromnej sali płynęły ku nim roje latających, drobnutkich, cudownie pachnących kwiatów.

A potem, na wielkim dywanie Ika, Groszek, Oneo oraz tamta trójka opłynęli powolnym lotem całą halę, wzdłuż tysięcy foteli, roześmianych vegańskich twarzy, nowego deszczu kwiatów. Gdy w końcu — półprzytomni z hałasu i wzruszenia — znaleźli się z powrotem na podeście, nad halą rozbrzmiał dwukrotny dźwięk raz już słyszanego niby-dzwonu, niby-gongu.

Zaś przewodniczący Vegów powiedział ku sali:

— Ogłaszam głosowanie: kto jest za uznaniem Ziemi za planetę nadziei?

Na ogromnym ekranie w przeciągu sekundy zabłysnął zawiły kropkowany wzór.

— Osiem tysięcy! — stwierdził profesor Lalos. — Jednogłośnie!

Przewodniczący uniół rękę.

— Vegowie! — rzekł. — Nadzwyczajny Zjazd Vegów ogłaszam za zamknięty i kończę go pozdrowieniem dla Ziemi.

Hala rozbłysła tysiącami złocistych świateł — i w tej samej chwili ogromna jej kopuła rozchyliła się bezszelestnie.

A potem? W przeciągu kilkunastu sekund wszystkie fotele z Przedstawicielami uniosły się w górę niczym mgławica gwiazd, pomknęły we wszystkie cztery strony wegańskiego świata.

Groszek trącił Ikę łokciem.

— Słyszałaś? Oni tu też jeszcze ciągle mają głosowania i zebrania. Marny widok z tym postępem.

— Ciii... — skrzywiła się groźnie, ale nic tym razem nie pomogło: zarówno trójka dorosłych Vegów, jak Oneo dosłyszeli „drugi głos” Groszka mówiący to właśnie zdanie — i zaczęli się strasznie śmiać.

Przewodniczący dostał niemal ludzkiej czkawki z tego śmiechu.

— Ależ — powiedział — ależ weźcie pod uwagę, że jest to pierwsze zebranie Wszystkich Vegów od stu dziesięciu wegańskich lat.

Groszek kiwnął głową.

— A tak, to co innego — zgodził się.

— Nie masz lepszych tematów do rozmowy? — zdenerwowała się Ika.

— Wszystko trzeba przemyśleć — mruknął.

A Ika już zwróciła się do najmiłszego jej zdaniem profesora Lalos.

— Przepraszam — spytała — jak to jest, że się rozumiemy?

Profesor Lalos rozłożył ręce.

— Nie potrafisz, kochanie, zrozumieć dokładnie zasady — rzekł. — My to nazywamy... Mechaniczny Tłumacz. A działa na zasadzie...

— Profesorze — przerwała mu poetka Meda. — Ja sama niewiele rozumiem ponad to, że Mechaniczny Tłumacz tłumaczy mechanicznie. I to mi wystarcza. Powinno więc wystarczyć naszym gościom. Prawda? — zwróciła się do Groszka.

— Prawda — szepnął wpatrując się zachwyconym wzrokiem w oczy Medy. Jego spojrzenie wcale jednak nie spodobało się Ice. Dygnęła mimo to bardzo uprzejmie.

— Jak pani uważa — powiedziała. — Prawda, Oneo?

Oneo raz jeszcze ujął jej rękę i przycisnął do piersi.

— Kocham was bardzo — powiedział.

— Was albo i nie was — szepnął już tylko na własny użytek Groszek i odruchowo spojrzął na zegarek.

Zegarek tym razem s z e d ł.

— Rany boskie, Ika! — krzyknął. — Już siódma!

— Wieczorem czy rano? — spytała wpieryw machinalnie, patrząc z czułością na Oneo, gdy nagle uświadomiła sobie, co to znaczy: siódma godzina. I aż zbladła.

— Siódma? A... a o ósmej... — powiedziała zrozpaczonym głosem.

Profesor Lalos położył im dłonie na ramionach.

— Tylko spokojnie — uśmiechnął się szeroko. — Wyjechaliście nie tylko poza przestrzeń ziemską, ale i poza czas ziemski. Na kolację o ósmej zdążycie...

— Bo... ciotka Dydaktyka... — bąknęła Ika.

Poetka Meda zaśmiała się, jakby ktoś zagrał pasaż na flecie.

— Ach, moi kochani. Każdy ma swoją ciotkę Dydaktykę. U nas także.

Przewodniczący Vegów skrzywił się lekko, profesor zaś tłumaczył dalej:

— Zostało nam jeszcze pół wegańskiej godziny na zwiedzenie środkowej Delii... a potem wracacie. Zgoda?

— Zgoda! Zgoda! Zgoda! — zawołali z entuzjazmem i po raz pierwszy w tej przygodzie z doskonałą wprost zgodnością.

Wtedy profesor Lalos powiedział jakieś słowo do umieszczonego na palcu pierścienia z

opalowym kamieniem.

Ów „kamień” musiał być jednak czymś w rodzaju mikrofonu, bo po kilku sekundach przez rozarty dach sali spłynęła w ślizgowym locie świecąca zielonym światłem łądz powietrzna — łądz z sześciu wygodnymi, szerokimi fotelami i stolikiem, na którym znów ujrzeli kilka „butelek” z różowym płynem i zamknięte naczynia z owocami.

— Siadamy — rzekł profesor.

Usiedli.

A gdy łądz wzbiła się pod rozgwieżdżone, ciemnofioletowe niebo, rozpoczynając podróż nad środkową Delią, zarówno Ika, jak Groszek, z westchnieniami szczęścia i znów doskonale zgodni, pochwycili za „butelki” z różowym płynem.

— Smakuje? — zaśmiała się Meda.

— Hmm... — odpowiedzieli.

Jakże jednak opowiedzieć o zwiedzeniu środkowej Delii? Trwało niby tylko pół wegańskiej godziny. Cóż można obejrzeć i zwiedzić w takim przeciągu czasu? W gruncie rzeczy prawie nic.

Jeśliby jednak chciało się opowiedzieć o tym „prawie, nic” bardzo dokładnie — trzeba by tu zacząć pisać całkiem nową książkę o całkiem nowej przygodzie. Spróbujmy więc krótko.

Zwiedzanie — jak to zwiedzanie.

Obejrzeli w pierw w przeciągu pięciu minut największą, samodzielnie wynalazczą i samoczynnie kierowaną fabrykę Srebrzystych Kul, czyli pojazdów pozaprzestrzennych, służących do wypraw gwiazdnych.

Fabryka wisiała w powietrzu na wysokości ogromnej, prawie już poza atmosferą. Prowadziła jednak do niej sztuczna droga normalnego ciśnienia i normalnej atmosfery. Otaczał ją zaś cudowny ogród latających kwiatów.

Kiedy tam przybyli, Główny (i jedyny) Kontroler Fabryki układał sobie właśnie główny klomb w kompozycję kolorystyczną.

— Jestem trochę malarzem z amatorstwa — wyjaśnił im z lekko zawstydzonym uśmiechem.

A ze szczytu fabryki wylatywały w odstępach dwusekundowych Srebrzyste Kule, kierując się samodzielnie ku swym miejscom przeznaczenia.

Potem? Potem profesor Lalos pokazał im szkołę dziecięcą.

W łóżeckach szkoły leżeli drobni, śpiący twardo Vegowie.

— Jak pilnie śpią — rozczuliła się Meda.

— J... jak to? — spytał Groszek wytrzeszczając oczy.

— Ależ to proste — rzekł dobrotliwie profesor Lalos. — Nauka trwa w czasie snu. Poduszki od poszczególnych przedmiotów nadają fale wiadomości... i mali Vegowie w ten sposób zdobywają je. Tylko lenie budzą się w czasie nauki.

— No, no, profesorze — pokiwała mu palcem Meda — dla mnie poduszki matematyki względnej były zawsze tak nudne, że budziłam się wbrew swym najlepszym chęciom.

— Widać to po rytmice niektórych pani wierszy — mruknął sucho profesor, ale Meda udała, że nie słyszy.

Na koniec (łądz zamknęła się jak kielich kwiatu) spłynęli do jednej z podmorskich miejscowości wypoczynkowych.

Na cudownie piaszczystym dnie morza kwiaty i domki niby bajeczne kolorowe ule, plaża, małe sztuczne słońeczko w bani powietrza, nad którą otwierał się cudowny i tajemniczy widok morskiego życia. Było to tak, jakby całe to osiedle znajdowało się w ogromnym dzwonie — z tym, że ściany tego dzwonu zbudowano po prostu z... powietrza.

Co chwila ktoś z opalających się pod sztucznym słońcem plażowiczów wdziewał maskę

podwodną i przekraczał granicę między powietrzem a wodą, by sobie trochę popływać lub zapolować z fotoautomatem na co ciekawszą podwodną zwierzynę.

— Może trochę popływamy? — spytała Meda.

Ale Groszek i Ika milczeli. Trudno — tego wszystkiego było jednak zbyt wiele. Po prostu „zamurowało ich”.

Odpowiedział za nich sam Przewodniczący:

— Czas! — przypomniał. — Nie mamy już czasu!

I dopiero gdy łódź znów wychynęła z cytrynowożółtych fal morza, Groszek odzyskał mowę.

— Przepraszam — powiedział. — Ale chciałbym tu jedną rzecz przemyśleć.

— Jaka? — spytali równocześnie Przewodniczący, Meda i profesor Lalos.

— Czy wy tu już w ogóle nie pracujecie?

Wszyscy troje, a nawet siedzący obok Iki w upartym milczeniu Oneo, roześmieli się.

Odpowiedział zaś profesor:

— Pracujemy! — wyjaśniał z poważną już miną. — Wszyscy pracujemy. Ale nikt z nas nie robi tego, co można wykonywać mechanicznie, czyli przy pomocy maszyn. Nasza praca polega wyłącznie na wymyślaniu całkiem nowych pomysłów... całkiem nowych.

— Wszyscy tak potraficie? — zdumiał się Groszek.

— Każdy po swojemu — odpowiedział profesor. — Jedni zajmują się drobiazgami... inni sprawami o zasięgu całych światów.

Groszek opuścił głowę. Było mu i smutno, i wstyd. Za ludzi. Za Ziemię.

— Tak — westchnął. — Czym wobec was jesteśmy?

Ale wtedy Meda objęła go ramieniem.

— Myśl o czym innym — rzekła.

— A można wiedzieć, o czym? — spytała cierpko Ika.

— O tym — powiedziała Meda, a jej złote oczy rozbłyły piękniej od najpiękniejszych gwiazd — o tym, czym b ę d z i e c i e!

I w tej właśnie sekundzie łódź podpłynęła na powietrznej fali do znajomej już Srebrzystej Kuli.

Przewodniczący wstał — i spoważniał. Spoważnieli wszyscy. Nastąpiła przecież chwila pożegnania.

Groszek i Ika pobledli. Trzeba było prędko przełknąć ślinę i kilka razy głęboko odetchnąć — po prostu dlatego, by się nie rozbeczeć. Zresztą i Meda, i Oneo sami na chwilę przymknęli oczy, zaś głos Przewodniczącego najwyraźniej drżał.

— Żegnamy was, Ziemianie — powiedział. — Żegnamy was!

I wtedy Ika rzuciła się na szyję Medzie.

— Taka jesteś śliczna! — powtarzała. — Taka cudowna!

Pożegnali się bez słów.

Znów zamknął się za nimi niebieski korytarz, znów minęli „przechodnią” ścianę i podbiegli do dolnego okna znajomej sali.

Jeszcze przez mgnienie oka widać było łódź z czworgiem Vegów, złote oczy Medy, uniesioną dłoń Onea.

A potem wszystko znikło — Srebrzysta Kula runęła w gwiazdną przepaść, ku Ziemi, z pozaczasową i pozaprzeźrzoną szybkością myśli.

Vegowie patrzyli w górę.

— Jest mi bardzo smutno — szepnął Oneo.

Meda pochyliła się nad nim.

— Jeszcze ich spotkamy, Oneo — rzekła.

Przewodniczący zaś zwrócił się do profesora.

— Profesorze — powiedział — trzeba dokonać w ich pamięci zatarcia całego tutejszego

pobytu, bo mogliby zostać uznani za kłamców lub co gorsza za psychicznie chorych.

— Przewidziane — skinął głową Profesor.

Ale wtedy Meda schwyciła ich za ręce.

— Ja proszę — odezwała się głosem, któremu nie można się było oprzeć. — Proszę ogromnie. Zatrzyjcie szczegóły. Ale niech im pozostanie jedno: nieokreślone, niewyraźne, najbardziej mgliste nawet wspomnienie piękna i przygody. Niech im pozostanie takie wspomnienie i przecucie, jak u poetów przecucie najlepszego w życiu wiersza.

— Tak! — zawołał Oneo. — Tak!

Przewodniczący i Profesor patrzyli na nich uważnie.

W końcu Przewodniczący skinął głową.

— Niech tak będzie — rzekł.

Podnieśli znów oczy w górę. Niebo miliarda gwiazd było milczące i czyste. Zaś Profesor Lalos wskazał na drobne skupisko ledwo widocznych, mglistych światłek.

— Tam jest Ziemia — powiedział.

Patrz, już dziesięć po siódmej — powiedział Groszek.

Siedzieli na wielkiej, pustej polanie przed ruinami zamku kazimierzowskiego. Niebo drżało od gwiazd

Pochłodziło — wieczorny mrok gęstniał coraz bardziej.

— Już? — zdziwiła się zamyślona Ika.

— Taaak — przeciągnął Groszek. — Zasiedzieliśmy się, jak... jak... dwa zające pod miedzą. Cośmy właściwie robili?

— No co? Spacer, potem ruiny... Właściwie nic.

— Rzeczywiście.

— Ale było ładnie.

Groszek skinął głową z głębokim przekonaniem.

— Bardzo ładnie.

— Wiesz co? — zaczęła znów Ika.

— Co?

— To musi być... — mówiła rozmarzonym głosem — to musi być duża rzecz, tak na przykład... na przykład umieć napisać wiersz. Jak to było? „Oczarowanie oczu... lubię jesieni pożegnalny smutek...” To musi być wielka rzecz. Prawda, Grosiu?

— Na pewno — powiedział z powagą.

Pomilczeli chwilę. Wreszcie Groszek wstał.

— Pora na nas.

I poszli. Szli, co chwila unosząc głowy ku niezmiernie wysokiemu niebu.

— To jest mgławica Oriona — powiedział Groszek.

— A... a ja — szepnęła Ika — nazwałabym ją mgławicą... na przykład mgławicą Medy.

— Dlaczego?

— Bo ja wiem? Bo ładnie.

— Rzeczywiście ładnie — przyznał Groszek, przystając. Zamyślił się nawet na chwilę, tak jak ktoś, kto bezskutecznie chce sobie przypomnieć swój sen.

W końcu nagle się ocknął.

— O rany! — krzyknął. — Ika! Za dwadzieścia ósma.

Talerze już stały na stole, a na czole ciotki Dydaktyki rysowała się pierwsza, delikatna jeszcze zmarszczka — gdy wbiegli na werandę restauracji.

— Ósma za minutę! — krzyknął Groszek zwycięsko.

— Fakt — przyznał Rudy.

A więc czoło ciotki Dydaktyki rozpromieniło się, oczy zaś zabłyśły na widok uśmiechu

Rudego. I nikt nic na to nie mógł poradzić, że ciotka w ową złotą swoją i rudą jesień rzeczywiście wypiękniała.

Kolacja była — jak mówią — prima. Ale jakoś nikt poza Rudym nie miał apetytu. Ciotka Dydaktyka próbowała trochę i bezustannie pogderać, ale Rudy nie pozwolił.

— Daj im spokój, kochanie. Taka cudowna jesień... wzięło ich.

I roześmiał się.

— Wyglądacie, jakbyście spadli z gwiazd.

Zaś ciotka Dydaktyka uniosła tajemniczo palce w górę.

— Mam dla was niespodziankę — rzekła.

— No?

— No co?

— Ciooociu!

— Ciotuuniuuu! — zaczęli się wdzięczyć.

Ciotka robiła jeszcze miny, jeszcze dawała się prosić, gdy na werandę wszedł ktoś znajomy: jak zwykle uśmiechnięty, ugrzecznony i nie ogolony Lokator z Pierwszego Piętra.

— Dobry wieczór miłym państwu — powiedział. — A więc jedziemy? Mój Kapitanik czeka.

— Kapitan?! — wrzasnęli Ika z Groszkiem wybiegając na rynek.

Tak — to był K a p i t a n. Stał spokojny, milczący, zakurzony i pięknie wyremontowany tuż koło studni. I czekał.

Niespodzianka zaś polegała na tym, że Lokator ofiarował się z przewiezieniem całego towarzystwa do Warszawy jeszcze tego wieczoru.

Był to pomysł piękny i propozycja szlachetna, gdyż w przeciwnym razie wycieczkowi-  
cze musieliby się tłuc pociągiem nocą lub o świcie. A tak? A tak powrót stawał się dodatkową przyjemnością.

— Nasz kochany Kapitan! — rozczuliła się Ika.

Wyjechali o dziewiątej, Ika z Groszkiem i lirycznie milczącą ciotką na tylnym siedzeniu — Rudy zaś obok Lokatora na przednim.

Lokator był dumny z Kapitana i nie krył tego.

— Staruszek — mówił — proszę miłych państwa. A dużo jeszcze potrafi. Czujecie, jak ciągnie?

Ika z Groszkiem trącili się łokciami — co on tam wie.

Zaś Kapitan, mrużąc motorem jakąś piosenkę o szosach pustynnych i palmach uciekających z drogi jak strusie, o smaku benzyny i pięknym połysku cylindrów — pędził przez noc.

Drzewa biegły w tył z cichym szumem, reflektory cięły ciemność.

Ika i Groszek zaś oparli wygodnie głowy i przymknęli oczy, by myśleć o jakichś całkowicie nieokreślonych, mglistych i dziwnych sprawach, które jednak kiedyś w końcu trzeba będzie sobie przypomnieć.

— A może nie przypomnieć — szepnął do siebie Groszek — tylko o d k r y ć?

— Tak — powiedziała też do siebie Ika. — To trzeba jeszcze przemyśleć.

## **SPIS TREŚCI**

PRZYGODA PIERWSZA	03
PRZYGODA DRUGA	39
PRZYGODA TRZECIA	76